

Adam Fijewski

Skarby ukryte, ludzie pogrzebani

Splątane losy kilku rodzin
uwikłanych w wielką historię



Bożymowie
Czterwertyńscy
Dąbrowscy
Fijewscy
Grocholscy

Adam Fijewski

Skarby ukryte, ludzie pogrzebani

Adam Fijewski

Skarby ukryte, ludzie pogrzebani

Splątane losy kilku rodzin
uwikłanych w wielką historię

Bożymowie
Czetwertyńscy
Dąbrowscy
Fijewscy
Grocholscy

Opowieść dedykuję
memu śp. ojcu
Mieczysławowi Fijewskiemu

Adam Fijewski, Skarby ukryte, ludzie pogrzebani
Copyright © Adam Fijewski
Copyright © Towarzystwo Nauki i Kultury Libra, 2021

Skład i projekt okładki
Przemysław Krupski

Korekta
Adam Świć

Wydawca
Towarzystwo Nauki i Kultury Libra
ul. Szeligowskiego 8/97
20-883 Lublin
www.tonik-libra.pl



**INSTYTUT
BRONISŁAWA
SZLUBOWSKIEGO**

KOZIRYNEK 

ISBN 978-83-64857-18-8

Druk
Elpil, Siedlce

Wstęp

Najpierw było spotkanie mego ojca Mieczysława Fijewskiego z księżną Elżbietą Czetwertyńską, była właścicielką majątku ziemskiego we wsi Kopina na Podlasiu. Elżbieta przyjechała z Kanady w konkretnym celu - chodziło o odnalezienie skrzyń z cennymi przedmiotami, ukrytych w lesie w przeddzień jej wyjazdu z Polski w 1939 roku. Kontakty księżnej z ojcem zaczęły się od korespondencji w 1989 roku, w następnych latach Elżbieta odwiedziła ojca kilkakrotnie i w końcu udało im się zlokalizować miejsce zakopania skrzyń i je wydobyć. Potem był film Krzysztofa Zanussiego pod tytułem „Skarby ukryte”. Bohaterką filmu była Elżbieta Czetwertyńska - przedstawiona pod postacią Róży granej przez Maję Komorowską, a w rolę - ni to mego dziadka, ni to ojca - wcielił się Wojciech Siemion. Film opowiadał historię owych ukrytych „skarbów” i losy ludzi w tę historię uwikłanych. Ojciec bardzo przeżył ten film. Napisał do Elżbiety emocjonalny list, w którym usiłował przedstawić prawdę o swym ojcu, o jego zaangażowaniu w ruch oporu na Lubelszczyźnie i o jego śmierci w Kl. Auschwitz. Elżbieta w odpowiedzi tłumaczyła, że film Zanussiego nie przedstawia żadnej prawdy historycznej i nie jest dokumentem, że reżyser zrobił ten film tylko luźno inspirowany się opowiedzianą przez nią historią.

Później nastąpiło przekazanie mi przez moją rodzinę domu po mojej babci Ludwice. Dom stał we wsi Kopina, był stary i chylił się już ku upadkowi. Przez kilka lat przyjeżdżałem tutaj z żoną Ewą, chodziliśmy po obejściu zastanawiając się, co z tym „majątkiem” zrobić. W końcu decyzja - trzeba to wyremontować i jakoś zagospodarować, aby w przyszłości można było korzystać z tego miejsca na ewentualne wakacyjne pobyty - myśleliśmy, że może jeszcze ktoś z rodziny także się tym domem zainteresuje, jako miejscem pochodzenia swoich przodków. Znałem oczywiście historię rodziny, wiedziałem, kto budował ten dom, kto w nim mieszkał. Znałem tragiczne losy mego dziadka, znałem trochę szczegółów z życia pozostałych mieszkańców domu z opowiadań mojej babci, a później ojca. Z domem babci, z Kopiną, byłem związany emocjonalnie także dlatego, że od wczesnego dzieciństwa do młodości spędzałem tam z moim młodszym bratem Januszem prawie wszystkie wakacje. Poznałem mieszkańców Kopiny, poznałem wiejskie życie, tak różne od tego, które znałem z miasta. Nauczyłem się różnych wiejskich prac, niektóre z nich na czas pobytu u babci weszły w zestaw moich

normalnych obowiązków, które niczym nie różniły się od obowiązków dzieci wiejskich. Chętnie w tym wiejskim życiu uczestniczyłem, tym bardziej, że miałem wokół wielu rówieśników, którym towarzyszyłem we wszystkie ich obowiązkach – przy sianokosach, żniwach, zwózce plonów, omłotach, orce, wykopkach, opiece nad zwierzętami. Zajęcia te dla dorosłych były ciężką pracą, dla mnie i moich rówieśników także doskonałą zabawą. Najlepszymi towarzyszami moich dziecięcych zabaw byli Marek, Jurek i Zbyszek Pana-siukowie - synowie ciotki Janiny, młodszej siostry naszej babci Ludwiki. Jej nieco starsze od nas dzieci, Basia i Leszek, może nie uczestniczyły w naszych zabawach, ale byli oni doskonałymi przewodnikami, wprowadzającymi nas w szczegóły życia na wsi i uczącymi różnych wiejskich prac. Po sąsiedzku mieszkali Bogdan i Stasiek Tymosiewiczowie oraz liczni kuzyni Bożymowie. Z nimi spędzaliśmy czas na nieustających zabawach i emocjonujących wyprawach, poznawaliśmy przyrodę ogrodów, sadów, pól, łąk i lasów, odkrywaliśmy miejscowe tajemnice, poznawaliśmy ludzi i historię. Śladów nieodległej historii było wokół pełno. Przy wielu studniach rolę poidła dla bydła i koni pełniły połówki pojemników po bombach przeciwpiechotnych, kury jadły ziarno i piły wodę z niemieckich hełmów, dzieci bawiły się maskami gazowymi i wojskowymi bagnietami. W wielu miejscach można było znaleźć łuski po nabojach i całe, sprawne naboje. Kąpać się chodziliśmy do dołu, który był pozostałością po potężnym wybuchu spowodowanym przez chłopców z Kopiny, którzy wysadzili skład niewybuchów pozostawiony tutaj przez rosyjskich saperów.

Po przejęciu w 2004 roku odziedziczonego po babci domu natrafiłem na strychu, obok bogatej kolekcji różnego rodzaju mniej i bardziej przydatnych przedmiotów, na drewnianą skrzynię zawierającą kilkaset listów, zeszytów, podręczników i starych dokumentów. Zaciekały mnie szczególnie listy. Prawie wszystkie były z okresu międzywojennego, adresowane do różnych członków rodziny. Okazało się, że wśród tych zapomnianych papierów były też dokumenty szczególnej wagi, dotyczyły bowiem losów mego dziadka Stanisława Fijewskiego z ostatniego roku jego życia - od momentu aresztowania go we wrześniu 1940 roku aż do jego śmierci w Kl. Auschwitz w 1941 roku. Po odczytaniu tych tekstów, co było trudne, gdyż były pisane na skrawkach papieru i bardzo zniszczone, oraz po zebraniu i uporządkowaniu informacji dotyczących relacji mego ojca z księżną Elżbietą - zaczął mi się układać w głowie, jak myślę, prawdziwy przebieg wydarzeń, które z jednej strony doprowadziły mego dziadka do przedwczesnej śmierci w Oświęcimiu, a z drugiej zainspirowały znanego reżysera do zrobienia filmu. Tekst poniżej to ta sama historia, którą opowiedział Krzysztof Zanussi, ale już uzu-

pełniona o fakty zapamiętane i opowiedziane przez mojego ojca - bezpośredniego świadka wszystkich opisywanych wydarzeń, a także odczytane lub wydedukowane z dokumentów i tekstów źródłowych, do których udało mi się dotrzeć.

Las Szpakowizna - 28 października 1996 r.

Elżbieta idzie tą drogą trzeci raz i nie jest już tak bardzo wzruszona jak wtedy, gdy przyjechała tutaj pierwszy raz, po prawie pół wieku przymusowego pobytu zagranicą. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, nie mogła powstrzymać łez na widok zielonych pól i lecącego bociana, i jadącej drogą furmanki, zapachu łąki i śpiewu skowronka, i szumu drzew. Wtedy szukała samotności i w trakcie długich spacerów odnajdywała najważniejsze dla siebie miejsca. Wieś jej nie pamiętała. Spotykani ludzie mijali ją obojętnie - tylko niektórzy odrobinę dłużej zatrzymywali na niej wzrok, ale patrzyli tak jak patrzy się na ludzi spotkanych w miejscu, gdzie obcy byli rzadko widywani.

Teraz udzieliła jej się ekscytacja odkrywcy, który wie, że od dawna poszukiwany skarb jest już na wyciągnięcie ręki. Jest późna jesień i błotnista droga biegnąca wzdłuż ściany ciemnego lasu. Ona - wysoka, trzymająca się prosto osiemdziesięciolatka, trzyma pod rękę Mieczysława - kilkanaście lat od niej młodszego, postawnego mężczyznę, dawnego mieszkańca pobliskiej wsi. Kilka kroków za nimi dwoje jej kuzynów, których zabrała ze sobą na tę odkrywczą wyprawę. Przyjechali „maluchem” Mieczysława - wypożyczone w Warszawie auto, którym podróżowała po Polsce ze swoją kuzynką i chrześniakiem, zostawili w Radzynie, aby nie budzić nadmiernej ciekawości mieszkańców pobliskiej wsi. Przyjechali z zamiarem dokończenia prowadzonych od kilku lat poszukiwań. Są odpowiednio przygotowani, mają robocze ubrania, szpadel, saperkę oraz kilka dużych toreb.

Wieś widoczna na północnym horyzoncie nazywa się Kopina. Jej nazwa, według podań, pochodzi od kopin siana, które były stałym elementem okolicznego krajobrazu - choć złośliwi sąsiedzi mówili, że nazwa pochodzi od kopin zboża - że to jej mieszkańcy gospodarzyli w taki sposób, że im się rodziły kopiny, a innym kopy zboża. Samochód postawili na zarośniętym podwórku dawnej leśniczówki. „Maluch” Mieczysława nie wzbudza tutaj niczyjzego zainteresowania. Mieczysław stąd pochodzi, tutaj mieszkała jego matka. Okoliczne pola, pomiędzy którymi wiedzie droga, którą przyjechali - także las, do którego zmierzają - należały niegdyś do Elżbiety i jej męża Włodzimierza Czetwertyńskiego. Pobrali się w 1933 roku. W umowie przedślubnej młodzi dostali od Seweryna Czetwertyńskiego - ojca Włodzimierza - pola i las, rodzice Elżbiety sfinansowali budowę dworu. Dwór został ukończony w 1935 roku. Dla Elżbiety, młodej dziewczyny z rodu Wielopolskich, wychowanej w ziemiańskiej tradycji, dwór i majątek w Kopinie były spełnieniem marzeń. Wchodząc do rodziny Czetwertyńskich zyskiwała prawo

do tytułu księżnej, co nie było obojętne nawet dla niej, potomkini znanego rodu Wielopolskich. W Kopinie znalazła się w końcu na swoim, mogła bez przeszkód realizować własne wyobrażenie idealnego ziemiańskiego gospodarstwa. Szczęście trwało jednak krótko. Jesienią 1939 r. Elżbieta wyjechała stąd w pośpiechu i nie przypuszczała, że upłynie ponad pół wieku, kiedy to ponownie będzie mogła tutaj przyjechać.

Elżbieta dowiedziała się o istnieniu Mieczysława w 1989 roku, gdy dotarł do niej jego pierwszy list. Od lat starała się znaleźć kogoś, kto mógłby jej pomóc w rozwikłaniu sprawy, która czekała na wyjaśnienie już prawie 60 lat. Żyjąc na emigracji często myślała o swoim życiu w Kopinie, tęskniła za tym miejscem tak bardzo, że stworzyła z mężem drugą Kopinę, nazywając tak stworzony przez nich w Calgary pensjonat dla narciarzy. Z Kanady pisała listy do szkoły, która, jak się dowiedziała, została utworzona w jej dworku. Odpisywała jej kierowniczka szkoły, pisała trochę o życiu wsi, o ludziach, o uczących się w jej dworku dzieciach. W latach siedemdziesiątych Elżbieta zdecydowała się odwiedzić Polskę po raz pierwszy. Zrobiła to możliwie dyskretnie. W Kopinie zatrzymała się w domu chrześniaka swego męża, odwiedziła dwór i spotkała się z uczącymi się tam dziećmi. Potem była długa przerwa i dopiero po prawie dwudziestu latach otrzymała list od Mieczysława. Mieczysław napisał, że o Elżbiecie dowiedział się od swojej matki, która została zaproszona do miejscowej szkoły na Dzień Seniora. Na tym spotkaniu powiedziano, że do szkoły przychodzą listy z Kanady od dawnej dziedziczki. Mieczysław poszedł do szkoły i poprosił o adres księżnej, napisał, że jest synem Stanisława Fijewskiego – jednego z ludzi pracujących przed wojną w majątku, że pamięta lata wojny, że chętnie jej opowie o wszystkim, co się wydarzyło w Kopinie po jej wyjeździe. Bardzo ucieszyła się z tego listu, uznała, że jest szansa na wyjaśnienie największej rodzinnej zagadki. Postanowiła ponownie zorganizować podróż do Polski. Namówiła na wyprawę swego chrześniaka z Warszawy, przyjechali do Radzyna Podlaskiego i wtedy po raz pierwszy spotkała Mieczysława. Mieczysław zawiózł ich do jej majątku. Wróciły wspomnienia, ze wzruszeniem patrzyła od tak dawno nie widziany i tak bardzo różny od kanadyjskiego krajobraz. Te wąskie pola, ten ciemny las w oddali, dwór i ta wieś, i te... owce, zupełnie takie same merynosy jak te, które tuż przed wojną zostały sprowadzone do jej nowej owczarni, no i ten krzyż, który upamiętniał pierwszy rok ich wspólnego gospodarowania w Kopinie.

Nie pamiętała o krzyżu, Mieczysław zatrzymał samochód niespodziewanie w połowie drogi pomiędzy Wohyniem i Kopiną wskazał na stary krzyż stojący kilka metrów od drogi na zaoranym polu i spytał czy Elżbieta

pamięta. Nagle wszystko sobie przypomniała, całą tę uroczystość, modlitwy i świętowanie we dworze. Wieś też świętowała. Przecież dwór to praca, to szansa na lepsze życie. Krzyż został uroczyście wkopany na granicy ich pól od strony Wohynia. Miejsce było widoczne z daleka, bo akurat w tym miejscu droga zakręcała pod kątem prostym. Krzyż stanął w 1936 roku, w którym to oficjalnie rozpoczęli swoje gospodarowanie w Kopinie. Teraz także był widoczny, choć trochę mniej, gdyż drogę przebudowano, zakręt zaokrąglono, zrobiono nasyp, więc krzyż, który stał pierwotnie tuż przy drodze, teraz był w pewnym od niej oddaleniu. Łzy zakręciły się jej w oczach. Dopiero z bliska mogła ocenić, jaki jest wielki i jaki już stary. Był lekko pochylony, drewno, z którego był zrobiony było już mocno zmurszałe, a ramię krzyża przekrzywione. Nawet figura Jezusa wisiała tylko na jednej ręce. Był jeszcze widoczny napis „Ave Maryja” i mocno zatarta data „14 VII 1936”. Odmówiła krótką modlitwę, wsiedli do samochodu i pojechali w stronę wsi. Ustawienie krzyża to był jej pomysł, a wykonał go ojciec Mieczysława – Stanisław, zaprzyjaźniony z nimi bardzo zdolny cieśla, stolarz i w ogóle „złota rączka”. Stanisław formalnie gospodarował na swoim, miał kawałek pola, ładny dom, ale praktycznie całą swoją aktywność zawodową wraz ze swoim ojcem koncentrował na różnych pracach we dworze. Początkowo był zatrudniony przy budowie dworu, dał się wtedy poznać jako bardzo solidny i pomysłowy cieśla. Dwór został ukończony, ale Włodzimierz nie zamierzał pozbyć się wartościowego pracownika i zaproponował mu pracę w majątku. Oficjalnie Stanisław był strażnikiem pól i lasów należących do majątku i nadzorcą dzikiej zwierzyny. Dostał strzelbę, jego obowiązkiem było przespacerowanie się od czasu do czasu po majątku i sprawdzenie, czy gdzieś nie działają jacyś kłusownicy, czy nie wałęsają się bezpańskie psy. Oprócz tego zajmował się wszystkim, co zlecał mu Włodzimierz a później Elżbieta. Ufała mu o wiele bardziej niż oficjalnemu rządcy w majątku, który – wszyscy to wiedzieli - był człowiekiem Seweryna - jej teścia i miała powody, aby w jego lojalność trochę powątpiewać, szczególnie od czasu, gdy zabrakło Włodzimierza i ze wszystkimi kłopotami musiała borykać się sama.

Później była wizyta w jej domu. Wjechali otwartą bramą. Piękny drewniany parkan otaczający niegdyś trzyhektarowy park był już w całkowitej rozsypce - gdziekolwiek tkwiły między krzakami jego smutne resztki. Podjechali pod sam dwór. Ten, na pierwszy rzut oka, był taki sam jak dawniej. Inny był tylko dach - dawne gonty zostały zastąpione blachą, na której widoczne były już brzydkie plamy rdzy. Ściany, dawniej jasne, teraz zostały pomalowane na olejno na brązowy kolor. Nawet nie wyglądało to źle przy białych framugach okien. Dwór był jej dumą. Można powiedzieć, że sama go

projektowała, gdyż dużo czasu spędziła z architektem dopracowując szczegóły. Ogólnie był w stylu bawarskim, z wysokim dachem, który skrywał nie tylko strych ale i całe pierwsze piętro z czterema dużymi sypialniami i obszerną łazienką. Do budynku można była wejść z trzech stron. Jedno wejście służbowe, drugie oficjalne - ulokowane na wprost szerokiej alei prowadzącej od zachodniej bramy, trzecie od wschodniej strony wiodące w kierunku kwiatowego ogrodu i basenu pływackiego, który nigdy nie został tak naprawdę ukończony i oddany do użytku, gdyż poniewczasie okazało się, że w okolicy nie ma dostatecznej ilości wody.

O tym, ile lat upłynęło od jej wyjazdu można było przekonać się po rozmiarach drzew w parku. Nawet te, które sama sadziła, miały teraz imponujące rozmiary. Sad wycięto, grabowy żywopłot oddzielający sad i ogród warzywny od reszty parku przekształcił się w gęsty szpaler drzew.

Nie wchodzili do środka, wolno okrążyli pałac, zajrzała przez okno na werandzie, zobaczyła, że ściany i podłogi są w dobrym stanie, oczywiście całe umeblowanie zniknęło. Mieczysław powiedział, że pałac jest raczej zadbane, że zachował się kominek w bawialni, ale niestety paradne schody - ozdoba wnętrza - zostały rozebrane. Do momentu, gdy powstała tu szkoła, pałacem zajmowało się państwo. Teraz stoi pusty, ale opiekuje się nim gmina, dokonując najbardziej pilnych napraw i zabezpieczeń.

Potem, w trakcie swojej trzeciej już wizyty w Kopinie Elżbieta idzie trzymając Mieczysława pod rękę. Mijają dawną leśniczówkę, a raczej miejsce po niej, gdyż ta została dawno rozebrana, rośnie tam tylko kilka owocowych drzew i mnóstwo krzaków. Wchodzą do lasu od północnej strony. Droga ze wsi do lasu została wytyczona jeszcze w czasach, gdy w Kopinie był jedynie folwark należący do dawnych właścicieli Lubiczów, wiodła w prostej linii do Suchowoli, sporej wsi, z której po pierwszej wojnie światowej jej teść Seweryn Czetwertyński uczynił główną siedzibę swego pokąźnego majątku.

Las jest duży, kiedyś prawie pierwotny, przez miejscowych został nazwany Szpakowizną. W jej czasach było w nim wszystko, co w lesie wartościowe: stare drzewa i mnóstwo grzybów, poziomek, jagód i leśnych malin. Okoliczna ludność miała prawo do zbierania tego dobra, także do chrustu, który dla wielu mieszkańców okolicznych wsi był podstawowym opałem w ich gospodarstwach. W lesie było też wiele rozmaitej zwierzyny, o którą kolejni właściciele bardzo dbali. Polowania były częste i zjeżdżali się na nie nieraz bardzo dystyngowani goście.

Wioski wokół były dość zamożne, może dlatego, że ziemia była dobra. Mieszkańcy nie cierpieli głodu, a jeśli na coś można było narzekać, to

tylko na fatalne drogi i duże przeludnienie. Dzieci u okolicznych gospodarzy rodziło się sporo, stąd wszędzie było ich pełno, dużo było też młodzieży. Młodzi wyjeżdżali w końcu ze wsi, zostawiali tylko ci, którzy mieli szansę objąć ojcowiznę. Ale i ci „miastowi” często przyjeżdżali, szczególnie w lecie, zjeżdżali całymi rodzinami, starsi pomagali w żniwach, a dzieci biegały po okolicy niczym nie różniąc się od dzieci wiejskich. Dzieci miały sporo czasu na zabawę, ale i miały swoje obowiązki. Do nich należało wyganianie krów z rana na pastwisko i przedwieczorne ich przyganianie. Musiały też napoić krowy – w tym celu trzeba było wyciągnąć ze studni kilka, czasami kilkanaście wiader wody. Nie była to łatwa sztuka, gdyż studnie zwykle były zaopatrzone w żurawie, a te wymagały sporo siły i zręczności. Dzieci poza tym karmiły drób, uzupełniały podściółkę w chlewach, stajniach i oborach, i oczywiście pomagały we wszystkich pracach polowych. Poza tym, według starej wiejskiej zasady, starsze dzieci zajmowały się młodszymi, pełniąc nad nimi opiekę, która polegała tylko na tym aby tym młodszym nic złego się nie przydarzyło.

Elżbieta знаła i lubiła te strony. Przyjeżdżała tu na zaproszenie swego teścia już w czasach narzeczeństwa z Włodzimierzem. Kopina - wieś wybrana przez teścia na ich dom, to typowa „ulicówka” - jak się zwykle określać wieś rozciągniętą wzdłuż głównej drogi. Główna droga piaszczysta i nieutwardzana biegła z zachodu od Wohynia na wschód do Milanowa. W środku wsi dwa ostre esowate zakręty, folwark i dwór przy bocznej drodze wytyczonej prostopadle do głównej w kierunku południowym. Na północ od wsi otwierała się szeroka panorama na leżące nieco w dole podmokłe łąki i pastwiska, szeroko rozlewającą się na wiosnę rzekę Piwonię, dalej na tarasowo wspinające się po niewielkiej pochyłości pola należące do widniejącej w oddali na horyzoncie wsi - Planty, w której miał siedzibę majątek jej kuzynów Gocholskich. Obie miejscowości łączyła wytyczona pomiędzy mokradłami, zbudowana na nasypie droga, która, mimo że przez wiele miesięcy w roku była praktycznie nieprzejezdna, nazywała się „paradna”, gdyż była malownicza, bo obsadzona wierzbami, które regularnie przycinane przez okoliczną ludność po to, aby pozyskiwać z nich gałęzi przydatne do wyrobu różnych koszy, stanowiły tak charakterystyczny dla wschodniej Polski element krajobrazu - gruby pień z licznymi dziuplami a nad nim pęk, jakby w nieładzie rozwichrzony czupryny, cienkich witek. Łąki i nieużytki po obu stronach Piwonii, były zarośnięte kępami łoziny, pomiędzy którymi rozsiane były oczka wodne - pozostałość po wyrobiskach, z których przez wieki pozyskiwano torf. Krajobrazu dopełniały liczne stogi z sianem, które stale odnawiane nie nikły z krajobrazu przez cały rok.

Folwark w Kopinie był duży, składający się z kilkunastu zabudowań - czworaków, obór, stajni, chlewni, owczarni, stodoł, spichlerza, stolarni, powozowni, kuźni i innych budynków gospodarczych - stanowił wyraźnie wyodrębnione centrum wsi, wyróżniające się i okazałymi budynkami i gęstością zabudowy. W folwarku mieszkało na stałe kilkanaście rodzin stałych pracowników. Warunki były typowe dla ówczesnych folwarków, niezbyt komfortowe, ale dla mieszkańców znośne. Większość mieszkań było jednoizbowych, tam na kilkunastu metrach kwadratowych mieściły się całe rodziny. Były i takie mieszkania, które dysponowały dwoma sporymi pomieszczeniami, z których jedno nazywano izbą białą, a drugie izbą czarną. W czworaku była dodatkowo wspólna z innymi mieszkańcami sień.

Domy gospodarzy były bardziej zróżnicowane. W zależności, z jakiego okresu pochodziły, liczyły od dwóch, do nawet czterech izb. Obowiązkowo każdy dysponował komorą, która służyła za spiżarnię. W obejściu kilka budynków gospodarczych, z których największymi były stodoły. Oprócz tego stojące oddzielnie lub powiązane jednym dachem z domem lub stodołą - stajnie, chlewy i obory, spichlerze, parniki i szopy, w których urządzano różnego rodzaju podręczne warsztaty. Blisko domów wszędzie były ogródki kwiatowe - ogrody warzywne zawsze uprawiane były gdzieś dalej w polu.

Ludzie ze wsi nie byli „ciemnym ludem”. Wielu z nich podróżowało po świecie - jeden mieszkaniec Kopiny był nawet trzy razy w Ameryce. Mężczyźni służyli w wojsku, część z nich z różnymi armiami przemierzyła sporo świata, znali obce języki, czytali, interesowali się polityką, sporo wiedzieli o świecie. W Kopinie działał dom ludowy i szkoła podstawowa ufundowana ze składek mieszkańców. Stała na działce подарowanej przez jednego z gospodarzy, zatrudniono nauczyciela. Mimo że szkoła była tylko czteroklasowa, umożliwiała wielu dzieciom dalsze kształcenie. Prawie z każdego domu wysyłano co najmniej jedno dziecko na dalszą naukę do miast.

Wchodzą do lasu. Poprzednim razem, gdy przyjechała tu z Mieczysławem na rekonesans, czuła się zagubiona. Wiedziała gdzie jest, ale las był zupełnie inny. Zniknęły ogromne drzewa zastąpione przez krzaki i młode sosny, nie było też potężnej jodły, która miała być ważnym punktem orientacyjnym na jej planie. Drzewo zostało dawno ścięte, karpa wykopana, ale widoczne było wyraźne zagłębienie w gruncie, w miejscu gdzie rosła. Korzystając z jej wskazówek Mieczysław wcześniej odnalazł miejsce po jodle i w ten sposób dotarł do tego rejonu lasu, którego szukali.

Pamiętała dokładnie tamtą jesienną noc trzydziestego dziewiątego roku - krzątanina, pośpiech, ładowanie kufrów na wozy, wyprawa do lasu. Miało się wszystko odbyć po cichu i w dyskrecji. Starła się, aby o sprawie wiedzia-

ło jak najmniej ludzi, ale i tak trzeba było zaangażować i pokojówkę, i lokaja, i furmanów, a i rządca wiedział o wszystkim, gdyż bez jego wiedzy nikt nie mógł zadysponować końmi i furmanami. Stanisław wszystko starannie przygotował, znalazł dogodne miejsce w lesie - piaszczysty pagórek - w pobliżu lisie nory i sporo świeżo wykopanego piaski. Wcześniej przygotował głębokie doły, wyłożył je gałęziami. Pamiętała doskonale tę podróż na ciężko kołyszącej się furmance, wilgotne zimno, ciemność, przenoszenie, opuszczanie do dołów, zakopywanie kufrów w świetle naftowej lampy, troskliwe zabezpieczanie ich przed wilgocią ziarnami prosa. Wszystko to przypominało jakiś tajemniczy pogański obrzęd, jej kojarzyło się z pogrzebem, którego uczestnicy nie chcieli świadków. W kufrach znalazło się wszystko, co uznała za najcenniejsze i czego nie mogła zabrać ze sobą w podręcznym bagażu. Jeden z kufrów zawierał mienie jej przyjaciółki, która uciekając przed wojną na wschód zostawiła cenne przedmioty w depozycie u niej w Kopinie. Specjalnie spakowała w oddzielnym kufrze kolekcję alkoholi swego męża. Mąż nie pił wiele, ale alkohole kolekcjonował. Nie był takim znawcą i pasjonatem jak jej teść, który przecież miał własną, znaną w Polsce i Europie, wytwórnię wódek w Suchowoli, ale i Włodzimierz zgromadził w swoim kredensie kilkadziesiąt różnego kształtu butelek najlepszych marek, wśród których najcenniejsze były te подарowane przez Seweryna, sygnowane jego herbem i jego marką. Było już prawie widno, gdy zakończyli prace. Stanisław starannie zamaskował miejsca, w których zakopano skrzynie i kufry. Nawet z bliska nie było widać, że coś tutaj się wydarzyło. Przy jego pomocy sporządziła dokładny plan lasu i miejsca zakopania skrzyń. On odmierzał krokami odległości, ona nanosiła wymiary na odręcznie sporządzony szkic. Następnego nocy przyjechali do lasu już tylko we dwoje i w innym miejscu zakopali pozostałe cenne przedmioty, które, jak uznała, powinny dla bezpieczeństwa być ukryte oddzielnie.

Teraz przemierzają z Mieczysławem tę samą drogę i prawie w ten sam sposób jak wtedy z jego ojcem - on odmierza kroki - sto kroków wzdłuż drogi od nieistniejącej jodły i 90 kroków w głąb lasu. Tak, to tutaj. Ten sam niewielki wzgórek, nawet lisie jamy takie same. Wtedy była noc i jesień, teraz środek dnia i las - zupełnie inny - ani jednej ogromnej sosny, których kiedyś las był pełen. Teraz wokół też sosny, ale rosną o wiele gęściej i są młodymi drzewami. Chyba nawet nie wysiały się tutaj w naturalny sposób, tylko zostały posadzone przez leśników. Zresztą cały las bardziej wygląda jak uprawa drzew, a nie jak naturalny, dziki las, jakim był kiedyś.

- Więc, pani Elżbieto, ta skrzynia była zakopana tutaj, widzi pani, to jest proso, proszę zobaczyć ile jego tutaj jest! Tutaj były te rzeczy, które znaleźliśmy.

Mieczysław odgarnia trochę liści pokazując wyraźne nieregularne zagłębienia w gruncie.

- Jak dotarłem tutaj po raz pierwszy, to nie mogłem dostrzec niczego charakterystycznego, dopiero zafrapowały mnie te zagłębienia. Miałem ze sobą taki metalowy szpikulec i nim zacząłem sondować te miejsca, okazało się, że tylko w tych zagłębieniach szpikulec łatwo wchodzi w ziemię - nawet po rękojęść. Uznałem, że właśnie tutaj musiały być kopane doły. Wtedy nie miałem ze sobą szpadla, ale po kilku tygodniach zabrałem ze sobą mego zięcia i rozkopaliśmy ten największy dół. W nim były te rzeczy, które pani przekazałem. O widzi pani resztki prosa? - to tyle, tyle tylko zostało w tym miejscu. Pod ziemią pozostały jeszcze deski z kufra - jeśli chcecie, to możemy jeszcze raz to rozkopać.

Nie chcą. Młodzi nie mogą się doczekać tego, co znajdą za chwilę w nieodkopanych jeszcze miejscach.

- Idźmy, więc - pokażę państwu te miejsca, oznaczyłem je po odnalezieniu.

- To do roboty - kopania będzie sporo...

Kopina - 16 października 1939

„Złota polska jesień” była piękna w tym roku jak nigdy, choć po długich tygodniach suchej i słonecznej pogody od kilku dni padało, drogi rozmiękły, a i wojna mimo swojej dojmującej obecności - jakby przygasła. Wszyscy już wiedzieli, że ostatnia bitwa Wojska Polskiego została przegrana, że pod niedalekim Kockiem generał Kleeberg podpisał kapitulację i że żołnierze się poddali i poszli do niewoli. Wiedzieli też, że cały polski rząd opuścił granice Polski i udał się na emigrację. Ale najgorszą informacją, która obiegła wioski była ta, że na tereny wschodniej Polski weszli Rosjanie. Wojna do wsi weszła więc nie z wojskiem niemieckim, ale z Armią Czerwoną, której wojacy pojawili się we wsi gdzieś około 25 września. Przyszli od strony Planty i szli polami i łąkami na południe w stronę cichostowskich łąk, później z jakichś powodów skręcili na wschód, minęli las i tam pod Milanowem stoczyli krótką potyczkę z polską kuchnią wojskową, a później sami ze sobą, bo im się coś pomyliło i oddział rozlokowany wzdłuż torów ostrzelał tych idących od strony lasu. Wiadomo już było, że polskie wojsko nie będzie walczyło w sposób zorganizowany z Rosjanami i że na zdecydowaną interwencję Anglii i Francji chyba też nie ma już co liczyć.

Do wsi zaczęli wracać wrześnieiwoi żołnierze. Przyszedł Stanisław Bózym - brat Ludwiki, żony Stanisława, 19-letni ochotnik, którego losy wojny rzuciły do Brześcia, gdzie bronił miejscowej twierdzy. Kilka dni później do domu przyszedł drugi brat Ludwiki - Sylwin, podoficer rezerwista. Przyszedł w mundurze, wzbudzając niejaką sensację. Opowiadał, że był w pułku ciężkiej artylerii, że walczył pod Wieluniem, brał udział w bitwie o Warszawę, tam trafił do niewoli, ale uciekł. Mówił, że uciec nie było trudno, byli słabo pilnowani i takich jak on uciekinierów było wielu. On wykorzystał dogodny moment, kiedy to maszerująca kolumna na łuku jezdni wyszła z części drogi oświetlanej przez samochód obstawy. Sylwin wskoczył do przydrożnego rowu i wszedł w przepust pod drogą. Wojsko przeszło, Sylwin wyszedł i idąc polami i lasami dotarł po tygodniu do domu. Podróżować po Polsce nie było jakoś szczególnie trudno, niemieckie wojsko trzymało się swoich jednostek, administracja i policja były polskie, na dobrą sprawę Niemców we wsiach i miasteczkach praktycznie się nie widziało.

Było już późne popołudnie, na dworze zmierzch, mokro. Stanisław przyszedł do domu o wiele później niż zwykle, ale zamiast sięść do stołu i zjeść późny obiad zaczął się pośpiesznie przebierać w niedzielne ubranie. Zdziwionej żonie Ludwice wyjaśnił, że musi iść do dworu, bo wzywa go księżna. Powiedział jej też, że do dworu przyszedł kuzyn księżnej jeszcze z trzema innymi ludźmi. Księżna co prawda miała już wyjechać, ale się jeszcze wstrzymała. Od rządcy dowiedział się, że tym kuzynem jest Remigiusz Grocholski. Grocholski był już widywany w Kopinie, przed dwoma laty odwiedził Czetwertyńskich, przywiózł nawet do Kopiny na kilka tygodni żonę i kilkoro dzieci. Stanisław wtedy go poznał, dowiedział się, że jest majorem, oficerem Wojska Polskiego, że był adiutantem Piłsudskiego. Major Grocholski bardzo się wtedy zainteresował działalnością Stanisława, który jako instruktor przysposobienia wojskowego organizował na terenie powiatów parczewskiego, lubartowskiego i radzyńskiego koła strzeleckie i szkolenia wojskowe dla młodzieży. Ludzie we dworze mówili, że Grocholski to bogacz, że na Ukrainie ma wielki majątek.

Stanisław założył białą koszulę i ulubioną szarą marynarkę od swego ślubnego garnituru, do tego bryczesy i długie buty oficerki. Buty zwykle stały w komorze z włożonymi w nie drewnianymi prawidłami. Przetarł je szmatką, aby się błyszcząły, zaczesał do góry czarne włosy, założył gabardynowy płaszcz, który przepasał szerokim wojskowym, skórzanym płaszczem. Wiedział, że dobrze wygląda. Mimo że dawno skończył 30-kę był szczupły, sprężysty, trzymał się prosto. Twarz zdobił od kilku lat modny kwadratowy czarny wąsik. Ludwice powiedział, że nie wie, kiedy wróci, ta nie protesto-

wała, bo wiedziała, że nic to nie da. Stanisław miał zawsze jakieś swoje ważne sprawy. Jak nie był w pracy, to gdzieś chodził, coś załatwiał, spotykał się z jakimiś ludźmi. W dzień, w domu raczej go nie było, ale na noc przychodził zawsze. Ludwika bardzo go kochała i była pewna, że i on ją także. Był młodszy od niej i na początku ich małżeństwa to ona miała więcej do powiedzenia i on bez protestów się na to godził. Teraz się zmieniło, pogodziła się z tym, że go nie ma w domu, że zajmuje się sprawami, o których czasami niewiele chciał mówić. Za to do domowych spraw się jej nie wtrącał, ona decydowała o wszystkim, co dotyczyło dzieci, rytmu pracy, ona też decydowała o wydatkach. Stanisław uczciwie oddawał jej wszystkie zarobione pieniądze, jak coś chciał kupić, to po pieniądze zawsze przychodził do niej. Zwykle nie miał jakichś ważnych potrzeb, ale raz uparł się i musiał stoczyć prawdziwą killkudniową batalię, żeby pozwoliła mu kupić myśliwską strzelbę. Strzelba była droga, ale i tak jej cena według niego była bardzo okazyjna. Broń była naprawdę piękna i rzadka, chyba nawet we dworze takiej nie mieli - belgijska dwunastka firmy Lebeau. W końcu uległa i dała mu te pieniądze, choć serce ją bolało, bo za taką sumę, przy oszczędnym wydawaniu, można było przeżyć ze dwa miesiące. Ale jej przeszło, gdy Stasiak wrócił ze strzelbą do domu. Jego dziecięca radość z tej zabawki była tak zaraźliwa, że i jej się w końcu udzieliła. A jak mąż ubrał się w swój myśliwski strój, nałożył tyrolski kapełusz, a przez ramię przewiesił nową strzelbę, to po prostu poczuła prawdziwą dumę. Takiego mężczyzny jak ona nie ma żadna inna kobieta w okolicy.

Do dworu Stanisław nie miał daleko, za jego gospodarstwem wiodła do folwarku wydeptana na ukos przez pola, nie całkiem legalna, ale przez wszystkich używana ścieżka. Poszedł tamtędy, więc na miejscu był za 5 minut. Pokazał się pokojówce, ta kazała mu poczekać, za chwilę wyszła do niego księżna Elżbieta i poprosiła, aby za nią poszedł. Nie spodziewał się, że zostanie zaprowadzony na piętro do całkowicie prywatnej części dworu. Na piętro oficjalnie wiodły szerokie, pięknie wykonane, paradne schody od bawialni. Tych schodów używali jedynie mieszkańcy domu i ich goście, ale na piętro można też było się dostać także wąskimi schodami od strony kuchni. Poszli tamtędy i za chwilę Stanisław został wprowadzony do jednej z sypialń. Pokój był duży, nowoczesnie umeblowany, przy stole na środku siedziało czterech mężczyzn, powstali na jego widok. Elżbieta powiedziała tylko, że to jest Stanisław, o którym rozmawialiśmy i wyszła. Grocholskiego poznał od razu, trochę się zdziwił, że wszyscy byli w polskich mundurach, a hrabia Grocholski w dystynkcjach majora Wojska Polskiego. Uścisnęli sobie ręce, Grocholski przedstawił swoich kolegów. Okazało się, że wszyscy byli oficerami, pochodzili ze wschodu, z ziemiańskich rodzin. Grocholski był

pewnie trochę starszy od niego, nieco niższy, blondyn, szczupły. Twarz zdołał wąski przystrzyżony wąs. Pozostali dużo młodszy, w podobnym wieku, choć różnili się wzrostem i kolorem włosów, to wszyscy byli w takich samych mundurach, w bryczesach i oficerkach.

- Stanisławie - mogę tak do was mówić? - rozpoczął Grocholski. - Zaprosiliśmy was tutaj, bo uznaliśmy po rozmowie z księżną, że tylko wam możemy zaufać. Jak widzicie jesteście polskimi oficerami. Do Kopiny przyszedliśmy kilka dni temu i nie ukrywam: jest nam potrzebna wasza pomoc. Jak wiecie, przed dwoma tygodniami pod Kockiem była wielka bitwa. Braliśmy w niej udział - choć nasze oddziały nie zostały rozbite, to i tak decyzją dowódcy musieliśmy złożyć broń. Nie poszliśmy do niewoli, mimo polecenia naszych przełożonych. Niemcy nie bardzo nam przeszkadzali, więc daliśmy wolną rękę naszym żołnierzom, część z nich rozeszła się do domów. Początkowo zamierzaliśmy pójść na wschód, ale tam już rozpanoszyli się Sowieci, więc uznaliśmy, że najlepiej zostać na Podlasiu. Losy wojny na pewno nie zostały rozstrzygnięte ostatecznie. Powinnością oficera, o czym z pewnością wiecie, jeśli nie trafił do niewoli i nie jest ranny, jest walka z wrogiem wszelkimi dostępnymi środkami. Co prawda oficjalnie złożyliśmy broń, ale nie poddaliśmy się. Wierzymy, że dalsza walka jest konieczna, co więcej wcale nie musi być skazana na niepowodzenie. Wierzymy w to, że zwycięstwo Hitlera w Polsce jest tylko chwilowe i wojna w Polsce jest tylko wstępem do prawdziwej wojny, w którą z pewnością zaangażują się światowe potęgi. Zobaczycie, może jeszcze nie teraz, ale na wiosnę ruszą Francja i Anglia, na pewno wypełnią zobowiązanie wobec Polski. Z Sowietami też sobie poradzimy, zaskoczyli nas - przyznaję, ale jeszcze tego pożałują, że sprzymierzili się z Hitlerem.

- Stanisławie, wiemy, że znacie się na wojsku, choć chyba nigdy w wojsku nie służyliście. Wiemy, że jesteście solidny, słowny i że potraficie dochować tajemnicy. Jednak zanim przejdziemy do dalszej części rozmowy jestem zmuszony poprosić was o złożenie przysięgi, że wszystko, o czym będziemy rozmawiać zachowacie w tajemnicy. Jest czas wojny i mam uprawnienia, aby każdego, kto złoży przysięgę uznać za żołnierza Wojska Polskiego i będę od was oczekiwał i wymagał wszystkiego tego, czego każdy dowódca wymaga do swego podwładnego. Stanisławie, czy jesteście gotowi wygłosić słowa przysięgi i tym samym stać się żołnierzem Wojska Polskiego i przyjąć na siebie wszystkie obowiązki, jakie żołnierz polski ma wobec ojczyzny?

Stanisław poczuł jak serce mu bije. Wiedział, że nagle znalazł się w sytuacji, której się nie spodziewał i że jeśli teraz powie „tak”, to jego życie może zmienić się radykalnie i bezpowrotnie...

- Tak jest! Panie majorze, jestem gotów – odpowiedział jednak szybko i wydawało się, że bez zastanowienia.

- Proszę podnieść dwa palce i powtarzać!

- Baczość! – wszyscy się wyprężyli, Stanisław uniósł prawą rękę...

- *Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna jego męka. Amen.*¹

Stanisław był mocno oszołomiony, ale bez wahania wygłosił słowa przysięgi powtarzając je po Grocholskim. Jeszcze raz uściślił sobie dłonie i dopiero teraz usiedli przy stole. Stanisław odniósł wrażenie, że to wszystko, w czym uczestniczył zostało wcześniej przygotowane. Mówił tylko Grocholski, ci trzej nie odezwali się dotychczas ni słowem. Grocholski wyjął papierosnicę i zaproponował papierosa. Zapalili.

- Mamy pewien plan, ale zanim zaczniemy go realizować należy załatwić kilka spraw organizacyjnych. Jak wiecie księżna za chwilę wyjeżdża. Księżę Włodzimierz jest w Warszawie, ale nie wiadomo, co się z nim teraz dzieje. Księżna Elżbieta uparła się go odnaleźć i uznała, że zdoła wyjechać z nim i resztą rodziny z kraju. Ja postanowiłem zostać we dworze w Kopinie. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, przyjedzie tutaj niebawem moja małżonka z dziećmi. Będzie wyglądało, że do majątku zjechała rodzina księżnej. Wiecie, że księżna to moja szwagierka? Moi koledzy nie powinni mieszkać we dworze, teraz dostali ten pokój nad garażem, ale jest on nieopalany i już teraz jest tam zimno. Na razie nic się nie dzieje, ale z uwagi na to, czym się mamy zajmować, musimy już teraz wykazać się wielką ostrożnością. Macie więc pierwsze zadanie. Do końca tygodnia proszę znaleźć coś odpowiedniego dla kolegów. O pieniądze na utrzymanie proszę się nie martwić. Pieniądze mamy.

Warszawa - 8 sierpnia 1997 r.

Elżbieta weszła do holu przez szklane drzwi, które przed nią otworzył elegancko ubrany portier. Tuż za nią, przytrzymując usłużnie drzwi, wszedł jej kuzyn Albert, a za nimi spory tłumek innych krewnych i kuzynów, z którymi od kilku dni świętowała Światowy Zjazd swojej rodziny. Przeszli przez

¹ Rota przysięgi wojskowej - ustawa z 18 lipca 1924 o podstawowych obowiązkach i prawach szeregowych Wojska Polskiego.

hol i kierowani przez obsługę weszli do zarezerwowanej sali na parterze.

- To było ulubione miejsce mego teścia Seweryna - zwróciła się Elżbieta do wchodzących - pamiętam jak po raz pierwszy z Włodzimierzem zostaliśmy tutaj przez niego zaproszeni. To oczywiście był zupełnie inny hotel, prawie nic nie przypomina tamtych wnętrz. Przede wszystkim pomieszczenia były chyba na dwa piętra wysokie, ściany pokryte malowidłami i sztukateriami, ogromne kolumny, łuki, ogromne okna, kryształowe żyrandole, ciemne rzeźbione meble, grube dywany, wielkie palmy, ciężkie zasłony, kotary - mówiąc to szerokimi gestami podkreślała minioną świetność tego miejsca. Elżbieta pierwsza siadła przy owalnym stole na krześle z wysokim oparciem.

- Nie wyobrażałam sobie, że tak ważne spotkanie jak dzisiaj mogłoby odbyć się w innym miejscu niż ten hotel, bo przecież... Pałacu Róży² już nie ma..., a do pałacu na Krakowskim Przedmieściu³ nie mamy wstępu...

Przyszli wszyscy najbliżsi, witali się ze sobą z wyraźną radością. Po wielu latach starań i zabiegów udało się w końcu zorganizować zjazd rodziny rozproszonej po całym świecie. Postanowiono spotkać się w Warszawie, a gospodarzem i głównym organizatorem uczyniono Alberta Czetwertyńskiego - syna Ewy i Stanisława. Przyjechało w sumie około stu członków rodziny. Elżbieta uznała, że jest to dobra okazja, aby z najbliższymi podzielić się swoją historią i poinformować o efektach poszukiwań. To, że miejscem spotkania będzie Hotel Europejski było dla niej sprawą oczywistą. Zawsze starała się odwiedzać to miejsce, teraz też zatrzymała się tutaj zaraz po przyjeździe z Kanady. Przyszło ze dwadzieścia zaproszonych osób. Niektórzy widzieli się po raz pierwszy w życiu, mimo to goście nie mieli żadnego kłopotu ze wzajemną identyfikacją.

- Jakby przed wojną tyle osób z wysokich polskich rodów zebrało się w jednym miejscu, byłaby to wielka towarzyska sensacja. Teraz - była tego pewna - ich spotkanie nikogo w mieście nie zainteresowało.

Powoli zajmowali miejsca przy stole. Wielopolscy, Przeździeccy, Grocholscy, Potoccy, Zamoyscy, Platerowie, Ankwiczowie, Czapski, Kossakowscy, Czartoryscy, Żółtowski - niegdyś wielkie nazwiska, wielkie rody, teraz zwyczajni obywatele, ale wszyscy bliscy jej sercu.

- Kochani - zaczął Albert - odbiegamy dzisiaj trochę od wcześniej ustalonego planu naszego zjazdu, ale sprawa, którą chcemy was zainteresować wydaje się ważna i zajmująca. Poprosiła mnie nasza ciocia Elżbieta - tu siedząca - abyśmy poświęcili jej trochę czasu, bo chce nam opowiedzieć o waż-

² Pałacyk w Alejach Ujazdowskich wybudowany w XIX dla senatora Wacława Wernickiego, później posiadłość kupiła Maria Branicka dla wnuczki - Róży Włodzimierzowej księżnej Czetwertyńskiej.

³ Pałac Uruskich Czetwertyńskich - przy ul. Krakowskie Przedmieście 30 w Warszawie.

nej dla niej sprawie. Historia, którą ja już poznałem jest niezwykła i bardzo charakterystyczna dla losów naszej rodziny.

- Ciociu, bardzo prosimy.

- Kochani – Elżbieta wstała, ale Albert położył jej dłoń na ramieniu i powiedział, że może mówić siedząc.

- Bardzo się cieszę, że znaleźliście czas, aby się tutaj zgromadzić. Mam wam tak dużo do powiedzenia, może to już ostatnia okazja, abym mogła się z wami spotkać...

- Ależ ciociu, z taką witalnością i energią! Spotkamy się jeszcze wiele razy! Jeszcze nas przeżyjesz! – odezwało się kilka głosów.

- Bardzo wam dziękuję, jesteście kochani – powiedziała z uśmiechem.

- Być może część z was zna losy moje i moich najbliższych, ale odczuwam wielką potrzebę, aby opowiedzieć wam o wojnie, losach na emigracji i o tym, co zastałam w naszym majątku w Kopinie.

- Zacznę od początku. Wojna zastała mnie w Kopinie, mój mąż był w wojsku. Zresztą w wojsku byli chyba wszyscy mężczyźni z naszej rodziny. Pamiętam jak armia Kleeberga pod koniec września przyszła ze wschodu, to szła akurat przez nasze ziemie i tak się złożyło, że nagle u nas we dworze spotkali się Włodzimierz, Stefan i Jerzy Czetwertyńscy, wszyscy oficerowie SGO Polesie zdążający z wojskiem, aby przyłączyć się do obrony Warszawy. W okolicy był ze swoim oddziałem także Remigiusz Grocholski, on już dwa lata wcześniej był z wojska zwolniony, ale skrzyknął kilkunastu swoich znajomych, dawnych podkomendnych i sformułował oddział - taki trochę partyzancki i zgłosił się pod komendę Kleeberga. Ten pozwolił mu przyłączyć się do swojej armii i walczyli razem pod Kockiem. W październiku, zaraz po kapitulacji, mój mąż Włodzimierz podporządkował się rozkazom i jako oficer ujawnił się Niemcom - no i trafił do oflagu. Być może to mu uratowało życie, bo wszyscy doskonale wiemy, co mogłoby się z nim stać gdyby trafił do sowieckiej niewoli. Mój teść Seweryn usiłował załatwić wyjazd całej rodzinie, ale sam został aresztowany. Wtedy razem z ojcem zatrzymana została moja szwagierka Maria Józefa - siostra Włodzimierza - która była żoną Michała Grocholskiego, właściciela Planty - brata Remigiusza, tego, którego zastrzelił kłusownik - w domu nazywaliśmy ją „Marjózia”. W Suchowoli aresztowano też starszego brata Seweryna - Ludwika Czetwertyńskiego - ten przebywał wtedy w Suchowoli z synem Stanisławem - ojcem obecnego tu Alberta. Ludwik szczególnie nie miał szczęścia, gdyż wcześniej został zatrzymany razem z żoną Różą przez bolszewików i siedział na Łubiance. Udało się ich uwolnić z bolszewickich łap dzięki staraniom Marii Róży Branickiej Radziwiłłowej, która przyjaźniła się z żoną króla Włoch - Emanuela.

Uwolnieni - nie bez przygód przyjechali do Suchowoli - i zaraz po przyjeździe trafili w łapy niemieckie. To był okropny dzień. Zostali wtedy aresztowani prawie wszyscy urzędnicy z Suchowoli - i... chyba wszyscy później zginęli. Jak Seweryna, Ludwika i Stanisława wzięli do obozu i jak Seweryn zachorował, to rodzina bardzo się starała, aby ich zwolnić. Seweryna zwolniono za osobistą interwencją Hitlera. U niego wstawił się za teściem hrabia Ciano, z którym także przyjaźniła się Maria Róża Radziwiłłowa, Ciano - wszyscy tu pamiętamy - był przy Mussolinim ministrem spraw zagranicznych i miał wtedy jeszcze ogromne wpływy. Seweryna przywieziono do Lublina i był pod strażą leczony w szpitalu przy ul. Staszica. Można go było odwiedzać, była z nim w tym szpitalu także „Marjózia”.

Ludwik niestety nie doczekał zwolnienia, zakatował go kapo, bo nie wykonywał norm przy jakiejś pracy. Stanisław wtedy powiadomiony o ciężkim stanie swego ojca, jakimś cudem przedarł się do tej części obozu, w którym przebywał Ludwik i jeszcze miał możliwość, aby się z nim pożegnać. Można powiedzieć, że Ludwik zmarł na jego rękach.

Stanisław, jak wszyscy wiemy, przeżył obóz i okupację. Po wojnie wrócił cały do Warszawy, zajął pałacyk przy Alejach Ujazdowskich, zaczął działać, próbował coś organizować - to go zaaresztowało UB. Zrobiono mu proces, dostał wyrok do odsiedzenia i skonfiskowano mu majątek. Ten pałacyk później kupili Amerykanie na swoją ambasadę w Warszawie, ale go szybko rozebrali i postawili, to co teraz jest ich ambasadą. Stanisław po odsiadce trafił do Kanady i z nim do jego śmierci wielokrotnie się spotkałiśmy - ale o tym wszystkim, to może więcej opowiedzieć Albert.

- Tak, to wszystko prawda. Jeśli ciocia pozwoli, to uzupełnię. Przede wszystkim powinniśmy pamiętać o babci Marii Róży, która poświęciła ratowaniu rodziny cały swój ogromny majątek, a sama w końcu umarła w biedzie. Dzięki jej staraniom wszystkim naszym krewnym skazanym na śmierć, wyroki zamieniono na pobyt w więzieniu. W ten sposób potraktowano Seweryna i Stanisława, których przewieziono do Lublina. Mojej mamie Ewie, która mieszkała wtedy w Suchowoli, pozwolono praktycznie zamieszkać z ojcem na Zamku, bo formalnie przyjęto ją tam do pracy w charakterze pielęgniarki. Z Sewerynem praktycznie na stałe w szpitalu na Staszica przebywała Maria Józefa. W tym samym czasie najstarszego z braci Jerzego także zwolniono z Oświęcimia i przewieziono do Dachau, gdzie miał nieco bardziej znośne warunki.

- Wszystko się zmieniło w czterdziestym trzecim roku, wtedy to księcia Seweryna i mego ojca - Stanisława przewieziono z powrotem do Oświęcimia, ale na krótko, gdyż stamtąd trafili do Buchenwaldu i tam doczekali końca

wojny. Zostali uwolnieni w czterdziestym piątym roku przez Amerykanów. Mój ojciec od razu zgłosił się do wojska i szybko trafił do Szkocji do polskiej armii. Mógł zostać na Zachodzie, ale postanowił wrócić do Polski i po pokonaniu wielu przeszkód oboje z moją matką, w czterdziestym piątym, wrócili do Warszawy. Babcia Róża pojechała do Belgii do córek, które tam mieszkały na stałe, a Stanisławowi powierzyła pod opiekę swój pałacyk w Alejach, który dostała kiedyś od swojej matki - księżnej Biszety. W pałacu zaraz po wojnie, za zgodą Róży, rezydowało Polskie Radio. Róża niestety zmarła wkrótce w Belgii, więc jedynym administratorem pałacu został mój ociec - Stanisław. Dbał o niego, przeprowadził remont. Jednak ten spokój nie trwał długo. Stanisław - absolwent porządnego uniwersytetu, mówiący obcymi językami - dostał wkrótce dobrą pracę w Gdyni, gdzie się przeniósł z rodziną. Ale tutaj kończy się w miarę spokojny okres w ich życiu. Najpierw aresztowano w Sopocie naszego krewnego Jana Zamoyskiego, później nakazano ojcu wyjazd z Gdyni - powiedziano mu, że dla bliskiego krewnego takiego przestępcy jak Jan nie ma miejsca w Gdyni. Sprzedał, więc mieszkanie w Gdyni i powrócił do Warszawy i kupił dom w Aninie. Życie w Warszawie w tym czasie nie było łatwe. Bardzo pomagała nam rodzina z Belgii, która przysyłała paczki z odzieżą. Tę odzież sprzedawaliśmy, do tego dochodziły pieniądze z wynajmu pałacyku, więc jakoś dało się utrzymać sporą gromadkę domowników. Tak było do pięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy to aresztowano ojca. Wezwano go na przesłuchanie i już nie wrócił. Wtedy jeszcze nikt się nie domyślał, że chodziło o przejęcie pałacu Róży. Jak się później okazało pałacem zainteresowali się Amerykanie, bo chcieli tam urządzić biura swojej ambasady. Rząd polski był im winien jakieś pieniądze, więc wymyślono, że jak władze odbiorą Stanisławowi tę posiadłość, to będzie można ją podarować Amerykanom w ramach rozliczeń tego długu. I tak się stało, ojciec dostał wyrok ośmiu lat za szpiegostwo - Amerykanie przejęli pałacyk. Później jak wiadomo go zniszczyli i na jego miejscu wybudowali swoją ambasadą. Ojciec wyszedł z więzienia po dwóch latach i już nie chciał mieszkać w Polsce.⁴

- Ale przecież nie o mojej rodzinie i jej kłopotach mieliśmy dzisiaj rozmawiać. Ciociu, proszę opowiadać dalej. Co dalej się działo z tobą i twoimi najbliższymi...

- Seweryn w czterdziestym trzecim z Lublina wrócił najpierw do Auschwitz później do Buchenwaldu - przeżył, ale był w bardzo złym stanie i wkrótce po wyzwoleniu w czterdziestym piątym roku zmarł w Edynburgu. Mnie udało się opuścić Polskę, oszczędzę wam szczegółów jak tego dokona-

⁴ Informacje zaczerpnięte z książki „Arystokracja” Agnieszki Lewandowskiej - Kąkol

łam. Krótko mówiąc trafiłam z synkiem do swoich rodziców do Czechosłowacji, tam przeczekałam wojnę. Po wojnie jakoś odnaleźliśmy się z mężem i wyjechaliśmy do Anglii. Od razu staraliśmy się o wyjazd do Kanady, ale z jakichś powodów w owym czasie było to prawie niemożliwe. W Anglii urodziłam swoją najmłodszą córkę Krystynę. Krystyna była więc angielską obywatelką - a Anglicy mogli wyjeżdżać do Kanady. Kiedy córka miała kilka miesięcy poszłam z nią do ambasady kanadyjskiej w Londynie i powiedziałam: „Mi wcale nie zależy na tym, żeby tam do was jechać, tyle razy odmawialiście, więc zrezygnowałam, ale moja córka uparła się, żeby tam pojechać”. - „Pani córka? A ile ona ma lat?” - „Trzy miesiące”. Zaczęli się wszyscy śmiać i wystawili wizę dla całej rodziny. W Kanadzie trafiliśmy do Vancouver, tam przez kilka lat pracowałam jako sprzątaczką, a mąż też wykonywał jakieś proste prace fizyczne. Jednak wkrótce nasz los się odmienił, zdobyliśmy wystarczające fundusze, aby wybudować pensjonat dla narciarzy i nazwaliśmy go „Kopina”. Włodzimierz niestety wcześniej zmarł, po kilku latach pensjonat sprzedałam. Nadal mieszkam w Vancouver, ale wystarczy tych wspomnień o mnie. Po wiem teraz o tym, co w Kopinie.

Nasz dom w Kopinie nie był szczególnie bogaty, ale trochę wartościowych przedmiotów przez te kilka lat naszego małżeństwa udało się zgromadzić. Szykując się do wyjazdu wiedziałam, że będę mogła ze sobą zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Uznałam, że w pierwszej kolejności trzeba zadbać o dziecko, dlatego też resztę majątku mogłam zostawić albo spróbować jakoś go ukryć. Zebrało się tego kilka kufków. Wymyśliłam, żeby to zakopać w lesie. Pomagał mi w tym nasz pracownik, on wybrał miejsce, zorganizował transport i zaufanych ludzi do pomocy. Cały ten majątek zakopaliśmy w kilku miejscach. Najcenniejsze przedmioty - moją biżuterię, złote wyroby, monety, itd. ukryłam sama. Bałam się, że jeśli zabiorę to ze sobą, to szybko zostanę okradziona. W podróż zabrałam tylko pieniądze.

Jak wiecie przez wiele lat po wojnie nie było mowy o możliwości pojawienia się w Polsce i podjęcia próby znalezienia tych skrytek. Zaczęłam o tym myśleć na poważnie dopiero po '89 r. Już w latach siedemdziesiątych dowiedziałam się, że w naszym dworze została utworzona wiejska szkoła. Napisałam na adres tej szkoły kilka listów, początkowo nikt mi nie odpowiedział, później odpisała mi kierowniczką szkoły i ja tam pojechałam. Odwiedziłam szkołę, pomagał mi rolnik z tej wsi - chrześniak mego męża. Byłam w tej wsi jeszcze kilka razy, ale nie zdecydowałam się na szukanie moich skarbów. Wiedziałam, że sama nie poradzę sobie z takim zadaniem i jakoś nie miałam na tyle zaufania do ludzi tam mieszkających, żeby kogoś w to wtajemniczyć.

- Proszę sobie wyobrazić jak się mogłam ucieszyć, kiedy otrzymałam list, którego się nie spodziewałam. Napisał do mnie syn tego pracownika, który pomagał mi w ukrywaniu tych naszych rodzinnych skarbów. Napisał, że jego ojciec nie przeżył wojny, że został zamordowany w Oświęcimiu, że po moim wyjeździe prawie wszyscy pracownicy z naszego majątku zostali zaaresztowani, że wielu z nich zginęło. Że nasz rządcą prawdopodobnie współpracował z Niemcami i przyczynił się do rozbitcia tajnej organizacji wojskowej, którą tworzył w Kopinie z jego ojcem nasz kuzyn Remigiusz Grocholski.

- Od razu pomyślałam, że tego człowieka Bóg mi zasał, że nie znajdę nikogo bardziej odpowiedniego do znalezienia tych nieszczęsnych skrzyń. Wysłałam mu więc plan lasu z zaznaczonym miejscem ich zakopania i on... znalazł to miejsce. Oto co od niego otrzymałam.

Elżbieta sięgnęła po torbę, którą stała przy jej krześle i wyjęła na stół jej zawartość...

Kopina - 29 listopada 1939 r.

Dla Ludwiki ostatnie miesiące były bardzo trudne. W Stanisława po tamtej rozmowie w pałacu u Czetwertyńskich jakby coś wstąpiło. Znikał na całe dni, a czasami i noce, nie chciał mówić czym się zajmuje, co go tak absorbuje. W końcu powiedział.

Był późny wieczór. Siedziała w łóżku, jak miała w zwyczaju i się modliła - „Ojcze Nasz”, „Wierzę w Boga”, „Dziesięć Przykazań”, „Dwa Przykazania Miłości”, „Pod Twoją Obronę”, „Litania do Serca Jezusowego”, a jak miała czas, to i „Pięć Przykazań Kościelnych” i „Siedem Grzechów Głównych” i „Siedem Cnót Kardynalnych”. Wieczorna i poranna modlitwa to były dla niej najważniejsze punkty każdego dnia - nigdy ich nie opuszczała. Stanisław przyszedł zziębnięty i zmoknięty - ale nie sam. Razem z nim do izby weszli czterej ludzie. Jednego rozpoznała o razu, gdyż widywała go we dworze, bardzo się zdziwiła, gdyż był to przecież sam hrabia Grocholski, szwagier państwa Czetwertyńskich wysoki oficer, o którym było wiadomo, że był adiutantem samego Piłsudskiego. Trzej inni, młodzi - tych nie знаła, jeden z nich ledwie trzymał się na nogach.

Synowie Ludwiki już spali w jednej izbie razem z dziadkiem Wawrzyńcem i babcią Aniela - rodzicami Stanisława. Aniela od razu ubrała się i wyszła do przybyłych. Ci siedzieli już na ławie pod ścianą i na krzesłach przy stole. Stanisław stał na środku, był wyraźnie poruszony. Powiedział, że jego kolegów trzeba dzisiaj przenocować i że jeden z nich jest bardzo

chory. Ten siedział skulony, oczy miał przymknięte, cały się trząsał. Ludwika szybko podsyciła tłący się żar w piecu, podrzuciła pod fajerkę drewna, ogień zapłonął. Lampa ledwie się tliła, nikt jej nie podkręcał, w izbie panował półmrok rozjaśniony nieco płomieniem widocznym przez uchylone drzwiczki od pieca. Ludwika była w lekkiej panice, ale domyśliła się, że sprawa musi być poważna. Nie pytała o nic. Razem z babcią zaniósł trochę żaru do drugiego pieca w alkierzu. Ten rozgrzewał się wolno, ale jak już się rozgrzał, to ogrzewał dwa sąsiednie pokoje i był ciepły jeszcze następnego dnia. Węgla nie było, ale drewna mieli dość, więc Stanisław wziął kosz i poszedł po nie do drewni. Dom był jak na standardy wsi duży - czteroizbowy i wygodny. Ludwika ze Stanisławem spali w kuchni, za ścianą w drugim pokoju przy piecu stało łóżko Mietka, obok spał dziadek, a przy przeciwległej ścianie babcia z małym Tadzkiem. Dwa pokoje były więc wolne, tylko zwykle nieogrzewane i w zasadzie nikt tam bez potrzeby nie zaglądał. Teraz trzeba było je szybko przygotować na przyjęcie gości. Grocholskiemu zaproponowano najlepsze łóżko w najlepszym pokoju. Stały tam meble, których zazdrościli Ludwice wszyscy sąsiedzi. Zaraz po wykończeniu domu przed czterema laty Stanisław zamówił u stolarza Laszewskiego w Milanowie łóżko, stół na toczonych nogach, cztery krzesła oraz wspaniałą szafę, wszystko obłożone fornirowymi ozdobami. Na ścianie nad łóżkiem wisiał wełniany kilim, na nim ich ślubny portret w ozdobnej ramie, nad głową najnowszy obraz ze świętym Antonim, który Ludwika kupiła tuż przed wojną, naprzeciwko duży obraz przedstawiający nocny widok gór oświetlonych księżycem w pełni, dar ślubny od siostry Stanisława. Przy drzwiach stał duży kufer z pościelą, a kilka kwiatników, wykonanych własnoręcznie przez Stanisława, dopełniało umeblowania. Z tego kufra Ludwika z babcią zaczęły wyjmować pościel dla przybyłych. Grocholski jednak natychmiast zaprotestował. Powiedział, że temu choremu trzeba zapewnić jak najlepsze warunki, poza tym to powinien przebywać sam w pokoju, bo nie wiadomo na co zachorował. Najlepiej by było jakby Stanisław znalazł coś dla niego u kogoś z sąsiadów - bo i tak tutaj jest was dużo, a i łóżek nie starczy dla wszystkich. Teraz Ludwika zaprotestowała.

- Gdzie też księżę będzie się teraz tułał po nocy, jakoś się pomieścimy, u nas skromnie... Choć teraz jest wojna i nie zawsze można mieć takie wygody jak w pałacu - Ludwika powiedziała to, choć według niej jej gościnnie pokój niczym nie ustępował tym, jakie widziała we dworze.

Stało na tym, że dzisiaj wszyscy przenocują u Ludwiki, jutro być może trzeba będzie jeszcze coś znaleźć.

- Gospodyni, proszę nam wybaczyć, ale okoliczności zmusiły nas do tego, że tak tutaj do was wtargnęliśmy po nocy. Jesteśmy w potrzebie – zaczął Grocholski kiedy już chory leżał w łóżku w gościnnym, a oni siedzieli przy stole, jedząc odsmażone na oleju bułki z kapustą, które kilka dni temu Ludwika upiekła w większej ilości.

- W tych okolicznościach nie ma co ukrywać i trzeba powiedzieć prawdę. Ci trzej ludzie od początku listopada mieszkają w lesie w szałasie. Kryją się tam przed Niemcami. Ja także nie pokazuję się nigdzie i to, że dzisiaj tutaj przyszedłem, to tylko dlatego, że mam zaufanie do Stanisława i do was. Wiem, że naszą wizytę zachowacie wszyscy w tajemnicy i że będziecie mogli pomóc temu choremu. To jest bardzo ważne, co robimy i niestety bardzo niebezpieczne, dlatego musimy zachować największą ostrożność. Proszę zadbać o to, aby o naszym pobycie tutaj nikt się nie dowiedział. Mam nadzieję, że wasi synowie i dziadkowie, także nikomu nic nie zdradzą.

- Ależ panie hrabio...

- Proszę mnie tak nie tytułować – przerwał Grocholski - proszę do mnie mówić - Brochwicz.

- Dobrze – panie Brochwicz, mój teść to były żołnierz i jemu nie trzeba tłumaczyć, co to tajemnica, babcia i starszy syn także potrafią trzymać język za zębami, a najmłodszy – Tadzio, przecież to malutkie dziecko ma niespełna cztery latka...

- Dobrze Ludwiko, nie sprawimy kłopotu. Wyniesiemy się od was tak szybko jak to tylko będzie możliwe.

- Temu choremu panu trzeba postawić bańki – powiedziała Aniela, a i trochę spirytusu z miodem i masłem też się przyda. To dobre na gorączkę i na kaszel.⁵

Stępków - 8 stycznia 1940 r.

Był wczesny mroźny poranek. Maria⁶ trochę się zdziwiła widząc wjeżdżające na jej podwórko sanie zaprzęgnięte w dwa konie. Takimi saniami jeździli tylko ludzie ze dworów, a ona przecież ostatnio z żadnym dworem nie miała nic wspólnego. Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy z sań wysiadł Stanisław. Znali się, co prawda dobrze z dawnych czasów, ale od kilku lat nie

⁵ Grocholski następnego dnia przeniósł się do domu Piotra i Anieli Szpilów, pozostali trzej mieszkali u Ludwika kilka tygodni. Po wojnie w latach 70-tych jeden z nich odwiedził Ludwikę, powiedział, że tylko on przeżył wojnę, pozostali koledzy zginęli.

⁶ Maria Oleszczuk - nauczycielka ze Stępkowa.

mieli ze sobą kontaktu. Stanisław uwiązał konie u płotu, założył im na głowy worki z obrokiem i wszedł do kuchni. Maria nie była sama w domu, mieszkała w Sępkowie u rodziców z małym synkiem, jej mąż w 1939 r. trafił do niewoli. Przed wojną była nauczycielką, udzielała się gdzie tylko mogła społecznie, więc i ze Stanisławem spotkała się kilka razy w czasach, gdy ten jeździł po wsiach i organizował szkolenia wojskowe dla młodzieży. Rozmawiali ze sobą sporo, roztrząsając najczęściej sprawy polityczne. Zapamiętała Stanisława jako orędownika silnej Polski, ale i los zwykłych ludzi bardzo leżał mu na sercu. Bardzo emocjonalnie wypowiadał się o różnych nieprawidłowościach i niedogodnościach życia na polskiej wsi. Żałował, że sam nie mógł się kształcić i mówił, że trzeba zrobić wszystko, aby dzieci wiejskie takie jak jego synowie mogli się uczyć w dobrych warunkach. Opowiadał jak jego starszy syn, który ma do szkoły 5 kilometrów, idąc kiedyś ze szkoły w zimie na piechotę, niemal nie zamarzył przy drodze i tylko szczęśliwy przypadek uratował mu życie, bo przejeżdżał tamtędy jakiś człowiek i zauważył dziecko siedzące pod drzewem w czasie zawiei. To się musi zmienić - mówił Stanisław - a ona przyznawała mu rację.

Stanisław wszedł do kuchni, przywitał się ze wszystkimi, odmówił zaproponowanej herbaty, tylko od razu poprosił, aby mógł z Marią porozmawiać sam na sam. Przeszli do pokoju obok. Stanisław zamknął drzwi, usiedli. Przez chwilę nie mówił nic, tylko patrzył jej głęboko w oczy.

- Pani Mario, przyjechałem do pani, bo sprawa jest najwyższej wagi...

- Pani Mario! Polska pani potrzebuje! - powiedział to w taki sposób, że nie miała najmniejszej wątpliwości, że rzeczywiście sprawa jest poważna.

Stanisław wziął do ręki leżącą obok czapkę i wyjął z jakiegoś jej zakamarka złożoną karteczkę.

- Proszę to przeczytać.

Karteczka była niewiele większa niż pudełko od zapalek. Na niej drukowanymi literami napisany ołówkiem był tekst: „POSIADACZ NINIEJSZEGO JEST DOWÓDCĄ OŚRODKA ORG. BROCH. WSZYSCY OBYWATELE RPE W POLSKIEJ PRAWDZIE I PO POLSKU CZUJĄCY WINNI W JEGO ODRYNKU PODPORZĄDKOWAĆ SIĘ JEGO ROZKAZOM I OKAZAĆ POMOC. PROSZĘ DO CZYNU! DOWÓD TOŻSAMOŚCI: ODCISK KCIUKA - 2.XI.39 I PODPIS NA ODWROCIE: BROCHWICZ” i pieczęć z wizerunkiem krzyża.

Na odwrocie podpis Stanisława i dwa odciski palca.

- Czy pani zrozumiała? - zrozumiała, że właśnie wydarzy się coś, co może zaważyć na jej przyszłym życiu.

- Czy mogę mówić dalej?

- Tak, panie Stanisławie - powiedziała cicho.

- Nie mogę powiedzieć wszystkiego. Jak pani już wie, działałam w podziemnej organizacji wojskowej, której celem jest walka z okupantem. Tworzymy właśnie punkt kontaktowy w Lubartowie. Oficjalnie otwieramy sklep z materiałami piśmiennymi, przy sklepie jest mieszkanie, w którym powinna zamieszkać rodzina właściciela sklepu. Właścicielem będzie jeden z naszych, a jego żoną będzie pani. Wiem pani Mario, czego od pani żądam, ale nawet czasu na zastanowienie nie mogę pani dać. Jeśli się pani zdecyduje, to jeszcze dzisiaj mam panią zawieźć z dzieckiem do Parczewa, tam zostanie pani zapoznana ze wszystkimi szczegółami i stamtąd pojedziecie do Lubartowa.

- Jak ja to wytłumaczę rodzicom? - pomyślała.

Matka nie zrozumiała - po prostu najpierw na nią nakrzyczała, później się rozpląkała. Ojciec wysłuchał jej tłumaczeń, ale się nie odezwał. Wiedziała, czuła, że jej życie już nie będzie takie jak dotychczas.

Stanisław siedział na ławie i już nic nie mówił, nikt też już nie proponował mu nawet herbaty. Spakowała się w pół godziny, ubrała synka owinęła go pierzyną zabraną ze swego łóżka i pojechali. W Parczewie byli w południe. Podjechali do plebanii przy parczewskim kościele. Weszli do środka, synek był niespokojny, marudził już od godziny. Wewnątrz zastali dwóch mężczyzn - księdza nie widziała. Jeden z mężczyzn, niezbyt wysoki, szczupły, wyraźnie od niej starszy. Drugi, mniej więcej w jej wieku. Maria bezwiednie pomyślała - ciekawe, który ma być moim „mężem”?

Starszy przywitał się z nią uściskiem dłoni i powiedział, że bardzo jej dziękuje, i że Ojczyzna jej tego nie zapomni. Dał jej godzinę na zajęcie się dzieckiem i odpoczynek. Stanisław nawet nie siadając pożegnał się i szybko wyszedł.

Po godzinie siedziała w saniach obok tego starszego, młodszy powoził.

- Pani Mario - powiedział - przed nami długa podróż, proszę się o nic nie martwić. Zadbamy o panią i pani synka. Będzie dobrze.

- Tylko jak Stanisław wróci do domu skoro my jedziemy tymi samymi saniami, którymi on przyjechał do Stępkowa - pomyślała. Jak nic poszedł do Kopiny na piechotę, ciekawe, o której będzie w domu, przecież to kilkanaście kilometrów?

Kopina - 31 maja 1940

Pierwsza była Katarzyna, przyjaciółka Ludwika - przyszła z rana, stanęła jak zwykle przy drzwiach i spytała czy słyszeli.

- O czym? - zaciekała się Ludwika. Mina Katarzyny nie zdradzała

żadnych emocji, ale ona zawsze wyglądała tak samo, mówiła mało, nigdy się nie uśmiechała, ale i płaczącej Katarzyny też nigdy nikt nie widział.

- Niemcy wymordowali ludzi w Rudnie. Podobno wyłapali wszystkich mężczyzn, pognali do planterskiego lasu i tam zabili.

Później przyszedł sąsiad Janek, on także słyszał, o czym mówi się we wsi.

- Ponoć spędzili ludzi pod kościół, zabrali też księdza. Powiedzieli, że to kara za zabicie tego Niemca, kolonisty z Okalewa, którego znaleziono w tamtym tygodniu przy torach pod Milanowem.

- Ale ludzie mówili, że nikt go nie zabił, że on sam wypadł z pociągu!

- Ja tam nie wiem jak było, powtarzam tylko, co ludzie gadają.

Stanisława nie było w domu - poszedł gdzieś z dziadkiem zaraz po wschodzie słońca, chłopcy jeszcze spali. Ludwika nie mogła usiedzieć w domu. Powiedziała babci Anieli, żeby dała śniadanie chłopcom jak wstaną, nałożyła chustkę na głowę, zawiązała ją pod brodą i poszła do dworu. Tam w stolarni znalazła męża, teścia, braci - Tadeusza, Staśka i Sylwina i jeszcze kilku mężczyzn, którzy z ożywieniem ze sobą rozmawiali. Nie była to rozmowa jak zwykle - głośna, przeplatana żarcikami, jak to ze sobą rozmawiają mężczyźni, kiedy się zbiorą w większym gronie. Część z nich siedziała, część stała, wszyscy w ciasnym kręgu, rozmawiali cicho, na twarzach malowało się napięcie. Zresztą atmosfera we wsi już dawno w niczym nie przypominała tej sprzed wojny. Ludzie zamknęli się w swoich chałupach, przestali gromadzić się na drodze, przy sklepie, młodzież nie przesiadywała na gankach. Jeśli się rozmawiało, to tylko z najbliższymi sąsiadami i tylko o sprawach najważniejszych lub o całkowicie nieistotnych. Takie zgromadzenie jak teraz w stolarni ostatnio raczej się nie zdarzało.

Zamilkli jak ją zobaczyli. Ludwika była pewna, że rozmawiają o tym, co się wydarzyło w Rudnie.

Stanisław podszedł do niej od razu - chodźmy do domu - powiedział. Wziął ją pod rękę - opowiem ci po drodze.

- Pamiętasz tych dziewięciu zabitych na torach. Wiemy, kto to zrobił. To byli Niemcy z Okalewa i Cichostowa. Umyślili sobie, że teraz to oni będą mogli się mścić na wszystkich swoich wrogach. Teraz oni mają siłę, wielu wstąpiło do niemieckiej policji, chodzą w mundurach, przy broni. Wiedzą, że wszystko im wolno. Zabili tych dziewięciu - i co? I nic! Nawet nikt nie przyjechał. Rodziny pochowały zabitych i cisza. Nie wiem, kto zabił tego Niemca pod Milanowem trzy dni temu. Przyszli we dwóch na stację, obaj pijani, zaczęli się awanturować, robili jakieś rewizje. W awanturze brało udział kilku ludzi i przyjezdni i miejscowi. Potem się wszyscy rozeszli, a po kilku godzi-

nach ktoś znalazł w lesie Górki przy torach volksdeutscha z Okalewa - Strzeleckiego. Jeśli go ktoś zabił, to na pewno nikt z nas i na pewno nikt z Rudna.

- Wczoraj do sołtysa Milanowa zadzwonili żandarmi z Radzyna. Nakazali, aby wszyscy ludzie zebrali się na pastwisku pod lasem. Zaraz dowiedział się o tym ten nowy wójt Lüttke⁷, przyszedł pod las, kazał wszystkim, co się już zebrali, wracać do domu. Sam tam został i czekał na żandarmów. Przyjechali dwoma samochodami, było ich z 90 żandarmów z Radzyna - najwięcej tych z Cichostowa i Okalewa i bahnschutze z Lublina. Lüttke jakoś ich przekonał, że nikt z Milanowa nie jest winien śmierci Strzeleckiego, więc ci wsiadli na samochody i pojechali. Nie wiadomo dlaczego upatrzyli sobie Rudno. Być może zasugerował im to sam Lüttke. W Rudnie był dwa tygodnie temu Dykow, uparł się, że jest tam przechowywana broń, bo przecież w Rudnie przed wojną działało koło strzeleckie. Kazał sobie wydać broń. Broni rzecz jasna nikt mu nie wydał, a on się odgrażał, że wieś jeszcze tego pożałuje. Teraz ustawili się po obu stronach wsi, jeden samochód zatrzymał się od strony Kostrów, drugi od strony szosy wisznickiej i z obu stron ruszyli między chałupy, wylapywali wszystkich mężczyzn i pędzili pod kościół. Wyciągnęli z plebanii także księdza, a ze szkoły dwóch nauczycieli. Zebrali ich wszystkich pewnie ze 150. Później kazali im usiąść na ziemi. Siedzieli tam dłuższy czas, bo Niemcy na plebanii kazali sobie zrobić śniadanie. Cała wieś zebrała się wokół pojmanych. Kobiety płakały, część z nich zaczęła przynosić jedzenie i ubranie, wszyscy chyba myśleli, że chodzi o łapankę na roboty. W końcu Niemcy popędzili wszystkich w kierunku Czarnego Lasu. Po drodze zrobili selekcję, uwolnili najstarszych i najmłodszych, resztę zabili w planterskim lesie. Mówi się, że 50... Zabili też księdza Ryczkowskiego i obu nauczycieli, w tym kierownika szkoły Zagańczyka. Strzałów w Rudnie nie było słyhać, ale dobrze je słyszeli ludzie w Plancie. Gajowy Gołaś mówi, że widział jak ich zabijali. Wieść już się rozniosła, ale na miejsce gdzie ich zabito nikt chyba jeszcze nie poszedł. Ludzie się boją, że Niemcy pilnują i że będą strzelać, tak jak strzelali do kobiet, które chciały iść za pędzonymi do lasu.⁸

- Mój Jezu! Stasiu! Widzisz, co się dzieje, zaklinam cię, nie narażaj się, nie wiem, co bym zrobiła jakby coś ci się stało. Widzisz, że z Niemcami nie ma żartów. Ludwika była blada i roztrzęsiona.

⁷ Friedrich Lüttke.

⁸ K. Sokół i in., Pacyfikacja wsi Rudno 30.05.1940, Rudno 2015

Kopina - 8 września 1940

Stanisław już od dawna nocował poza domem. Przychodził co kilka dni, zwykle mówił coś uspokajającego żonie, żeby się nie martwiła, że nie jest źle, że Niemcy nie są tacy silni jak wyglądało, że wielu ludzi się organizuje i szykuje do walki, że on się nie naraża, gdyż zajmuje się tylko sprawami organizacyjnymi, ma zbierać polskie mundury po żołnierzach, którzy nie poszli do niewoli, ma werbować ludzi do organizacji, zbierać informacje. Przynosił też czasami jakieś gazetki, których fragmenty czytał Ludwice. Raz z tymi gazetkami wysłał Mietka do odległego o 8 kilometrów Zbulitowa, aby je komuś tam przekazał. Ludwika jak się o tym dowiedziała zrobiła mężowi awanturę i ten więcej już gazetek do domu nie przynosił.

Czasami coś opowiadał zabawnego: - „A wiesz, że oni byli we dworze szukać Grocholskiego i go spotkali na schodach, on był w szlafroku i jego pytają - gdzie tu jest Grocholski? A on, że właśnie go widział jak wychodził ubrany, pewnie poszedł do folwarku i oni zaraz wszyscy poszli do tego folwarku łapać Grocholskiego, a on złapał jakieś ubranie wyszedł wejściem do parku i tyle go widzieli”. Lub chwalił się, jakie przemyślnie skrytki przygotował na rzeczy, które powierzono jego opiece.

Do ich domu przychodziło początkowo wielu ludzi, część z nich znała, większość widziała pierwszy raz w życiu. Zawsze jak ktoś taki przychodził, to Stasiak zamykał się z nim w pokoju i nie pozwalał, aby ktoś tam wchodził. Rozmawiali cicho, czasami tylko kilka minut, czasami dłużej. Zauważyła, że nie zdarzyło się ani razu, żeby Stasiak przyjmował więcej niż jednego gościa na raz, ci co przychodzili, zawsze przychodzili w pojedynkę. Ostatnio gości było o wiele mniej, choć zdarzali się całkiem nieoczekiwani i nieoczekiwane historie jak ta, kiedy to późnym wieczorem przyszedł hrabia Grocholski prowadząc za uzdę konia wierzchowego, zastukał w okno. Stasiak pewnie wiedział o co chodzi, bo od razu się zerwał i wyszedł. Ludwika widziała przez okno, że tego konia hrabia wprowadził do maleńkiej komórki przy stodole, w której Ludwika trzymała drewno opałowe. Dziwiła się bardzo jak ten koń się tam zmieścił. Rano konia poszedł oglądać Mietek. Uchylił lekko drzwi, koń stał niemal opierając się łbem o drzwi. Koń wykonał ruch jakby chciał wybiec, ale uзда przywiązana była do belki, więc nie mógł się ruszyć. Takiego konia Mietek widział pierwszy raz w życiu. Szczupły, ale wyraźnie umięśniony gnadosz, na długich nogach, niewielka głowa, aksamitne ciemne chrapy, duże oczy. Koń został w komórcie przez następny dzień. Stanisław zaniósł mu wiązkę siana i wiadro z wodą, powiedział Mietkowi, że to wyjątkowy koń, a raczej kobyła, że nazywa się Haiti i pochodzi ze stajni

księcia Czetwertyńskiego z Suchowoli, że to bardzo cenny koń wyścigowy i że hrabia postanowił go uratować. Ma już dla niego jakieś pewne miejsce, ale jeszcze nie mógł go tam zaprowadzić. Następnego ranka konia już nie było. Ludwika nie widziała, kto go zabrał, a Staśka nie pytała. Razem z koniem zniknął i Stasiak, ktoś przyszedł i powiedział, że on na razie nie będzie przychodził do domu, że jakby coś się ważnego wydarzyło, to niech pyta u Wacka Szpila.

Tej nocy jak zwykle Ludwika spała w kuchni. Za ścianą babcia i chłopcy, dziadek przeniósł się do alkowy od północnej strony, bo mówił, że mu za gorąco.

Najpierw pukanie. Zanim wstała i namacała w ciemności chustę, aby się nią okryć, ktoś się wyraźnie zniecierpliwiał, bo pukanie zmieniło się w walenie pięścią. Wiedziała już, co to znaczy, przeżyła już to kilka razy. Drzwi zamknięte były jak zwykle na klucz i solidną zaszczipkę. Zanim otworzyła z odgłosów zza drzwi domyśliła się, że przyszli w kilku. Słychać było, że ktoś przeszedł pod oknami, tak jakby chciał się dostać na drugą stronę domu.

Otworzyła, weszli we dwóch świecąc latarką, obaj w mundurach, nie знаła żadnego. Ten z latarką nic nie mówiąc minął ją i od razu poszedł w głąb mieszkania. Ten drugi - jak się okazało Polak lub Niemiec doskonale mówiący po polsku kazał jej zapalić lampę. Zrobiła to starając się zachować spokój, choć ze zdenerwowania, nie mogła znaleźć zapalek. Podał jej swoje i dopiero za trzecim razem udało jej się podpalić knot, drżącą ręką założyła szkiełko. Podkręciła lampę, aby jaśniej świeciła i postawiła na okapie pieca.

- Gdzie mąż?

- Męża nie ma, nie widziałam go od dawna. Nie wiem gdzie jest.

Wrócił ten z latarką i coś powiedział po niemiecku. W progu stanął rozbudzony Tadzio, ale w tej chwili chwyciła go babcia i zniknęła z nim z powrotem w ciemnym pokoju obok.

- Co wy sobie myślicie, ile razy będziemy tu przyjeżdżać?

Milczała.

- Dość tego, ubieraj się - warknął. - Ten ton niczego dobrego nie wróżył...

- Jedziemy do Radzyna, pogadamy inaczej. Masz pięć minut. - Kiwnął na tego drugiego i wyszli.

Tego się nie spodziewała. Krzyknęła do babci, żeby przyszła. Wyszedł Mietek, babcia z Tadzim, który wystraszony trzymał się jej koszuli. Z drugiego pomieszczenia wyszedł dziadek. Stanął w drzwiach opierając się na lasce.

- Mamo, słyszeliście, zabierają mnie - powiedziała cicho. - Zajmijcie się chłopcami, mnie nic nie będzie. Jakby co, to pieniądze znajdziecie w pudełku

pod łóżkiem – wiecie gdzie. Niech Mietek z samego rana pójdzie do Stopniaka i powie co się stało. Stasiak niech będzie tam, gdzie jest. Niech się nie pojawia. Wszystkich wypuszczali, to i mnie wypuszczą. Nie martwcie się.

Mówiła to, starając się, aby jej głos nie zdradzał niepokoju, założyła spódnicę i bluzkę, spod łóżka wyjęła buty. Chustka na głowę i druga do okrycia. Postanowiła niczego więcej ze sobą nie zabierać.

Przyszedł tylko ten mówiący po polsku, stanął w drzwiach.

- Wychodzić! – wyszli.

Noc była chłodna, niebo po wschodniej stronie nieco pojaśniało, domyślała się, że jest już po pierwszej. Na podwórzu stali jeszcze dwaj mundurowi i palili papierosy. Nie zauważyła żadnego pojazdu – pewnie przyszli tutaj piechotą. Czym oni przyjechali do wsi? – pomyślała. - Na pewno nie samochodem, bo nie słyszała warkotu silnika – może furmanką? Furmanką do Radzyna? – będziemy jechać ze trzy godziny... W tym momencie dostrzegła rowery oparte po drugiej stronie płotu. Jak oni mnie będą wieźli – na ramie...? Przyjechali, bo musieli, pewnie nie spodziewali się, że zastaną Staśka - bo jak, by go wieźli...?

- Stańcie tam – zwrócił się do niej ten aktywny i wskazał miejsce o kilka kroków dalej przy drzwiach obórki. Stanęła.

Odwrócili się od niej i coś mówili ściszymi głosami. Rzucili w końcu niedopałki.

- Powiedzcie mężowi, żeby się do nas zgłosił, im dłużej będziemy go szukać, tym gorzej dla niego. Nie będziemy tu przyjeżdżać po nocy w nieskończoność. Nasza cierpliwość w końcu się skończy – powiedział ten gadający.

Postali chwilę milcząc...

- Wracajcie do chałupy.

Kopina - 12 września 1940 r.

- Mietek! Mietek! Twoją matkę zabrali – wołała babcia Marianna Bożymowa z głębi sadku za płotem.

- Leć do Ściborów, ona tam siedzi na furmance.

Mietek szedł do domu od strony drogi nieogrodzonym podwórkiem Kudłów. Wracił od Wacka Szpila, bo tam wysłała go matka, gdyż spodziewała się wieści od ojca. Wacek niewiele powiedział, nie widział ostatnio ojca, ale wie na pewno, że ma się dobrze i że chyba jest dzisiaj w Kostrach.

Zerwał się biegiem. Okrążył stodoły Kudłów i dziadków Bożymów,

które stały od siebie w odległości jednego metra, wpadł do sadu Bolka Bożyma i przeskoczył przez płot na podwórko Ściborów. Dostrzegł matkę siedzącą na furmance na wiązce słomy. Wóz był zaprzęgnięty w jednego konia, który spokojnie żuł coś z worka z obrokiem zawieszzonego na jego głowie. Na podwórzu, oprócz siedzącej na furmance Ludwika, nie było nikogo.

Mietek rozejrzał się – pewnie są u Ściborów – pomyślał. Nie wiedział, czy podejść do matki, czy nie. Dostrzegła go i kiwnęła w jego stronę ręką – podszedł. Nikt się nim nie zainteresował.

- Wiozą mnie do Wohynia na przesłuchanie – powiedziała. - Idź do domu, weź sobie coś do jedzenia, powiedz babci, że ja ci kazałam. Idź do Kostrów do Cyranków, powiedz im, że mnie zabrali, niech powiedzą to ojcu. Niech on coś zrobi.

- Leć Mieciu, leć, zanim cię zobaczy.

- Kto mam?

- Bołba, Bołba⁹ mnie aresztował.

- Bołba cię aresztował?

- Bołba, Bołba!

Mietek znał Bołbę i z opowiadań i widział go jeź we wsi. Ot zwykły chłop z Ostrówek, który poczuł się od kilku miesięcy bardzo ważny. Jeździł furmanką po okolicznych wsiach, przekazywał jakieś rozkazy i polecenia, kontrolował i sprawdzał, czy wszystkie przepisy niemieckie są właściwie wprowadzane. Chodził po chałupach, wypytywał o wszystko, wszystko chciał wiedzieć. Jedni go zbywali byle czym, inni rzeczywiście traktowali go poważnie i opowiadali o czym tylko wiedzieli. Tak czy inaczej Bołba był niebezpieczny. Zdążył już wydać Niemcom kilku ludzi, podobno doniósł nawet na własnego brata i bratanka.

- Jak to cię aresztował? Dlaczego cię aresztował?

- To przez te gazetkę, którą znaleźli u Wróblewskiego – ale leć już Mieciu, leć!

Mietek przeskoczył ponownie przez płot do Bożymów, ale nie odszedł od razu, przykucnął za płotem i czekał. Matka kiwnęła jeszcze kilka razy na niego, w końcu zrezygnowała.

Po kilku minutach drzwi domu Ściborów się otworzyły, pierwszy wyszedł Bołba – lekko się zachwiał, za nim Władek Ścibor i stary Sokół. We trzech podeszli do wozu. Mietek nie słyszał, o czym rozmawiali, ale wyraźnie było widać, że ci dwaj o coś prosili Bołbę, ten nawet już im niczego nie tłumaczył tylko machał rękami. W pewnej chwili nawet odepchnął Sokoła od siebie.

⁹ Czesław Bołba

Podszedł do konia, zdjął mu worek ze łąba, wgramolił się na wóz – na matkę nawet nie spojrział. Kazał Władkowi podać sobie lejce owinięte wokół słupka w płocie, uderzył lejcami zad konia i ruszył. Ścibor i Sokół szli obok wozu, jeden mówił coś do Bołby drugi do matki. Zatrzymali się przed bramą, kiedy wóz skręcił w lewo w kierunku Wohynia.

Mietek nie wytrzymał, przeskoczył ponownie płot i podbiegł do obu sąsiadów.

- O Mieciu - widzisz, jaki sukinsyn, nie chciał nas słuchać. Plótl coś, że wypełnia rozkaz żandarmów z Wohynia, że kazali mu przywieźć Ludwikę na przesłuchanie. Mówił, że to w sprawie gazetki, którą znaleźli u Wróblewskiego.

- Chwali się, że to on o tych gazetkach znalezionych u Wróblewskiego doniósł. Mówił, że Wróblewskiego pobili i że powiedział, że je dostał od Wojciechowskiego, a ten ponoć pokazał gdzie je schował.

- Po co Wojciechowskiemu gazetki – przecież on nawet nie umie czytać?

- Wojciechowskiego też wczoraj zabrali i ten zeznał, że gazetkę znalazł.

A Bołba utrzymuje, że ta gazetka to sprawka twego ojca. Po co miałby mu Stach dawać gazetkę? – zastanawiał się Władek.

- Pewnie rzeczywiście gdzieś znalazł. Ale po co mieliby zabierać Ludwikę? Albo tylko tak wymyślają, żeby mieć pretekst. Szukają Stacha i kombinują jakby go tu wywabić.

- Władziu zaprzęgaj konia i jedź za nimi, zobacz co ten Bołba naprawdę wymyślił – powiedział Sokół. – A ty Mieciu idź do domy i w nic się nie mieszasz. Matkę wypuszczą, bo po co mieliby ją trzymać – jeśli rzeczywiście Bołba wiezie ją na posterunek... Władziu, przypilnuj ich i poczekaj w Wohyniu na Ludwikę. Zobaczysz, że ją puszczą!

Bołba, o dziwo, rzeczywiście zawiózł Ludwikę na posterunek do Wohynia. Władek jechał od nich w pewnej odległości, ale na tyle blisko, aby wszystko widzieć. W Wohyniu zatrzymał wóz przy młynie, uwiązał konia i na piechotę poszedł za wozem Bołby, ten podjechał prosto pod posterunek i się zatrzymał. Zsiadł z wozu i widać było, że każe zejść z niego także Ludwice. Weszli oboje do środka. Za chwilę wyszedł sam Bołba, wsiadł na wóz, zaciął konia i odjechał robiąc koło przed kościelną bramą w kierunku Planty lub z powrotem do Kopiny.

Ludwika wyszła z posterunku po godzinie. Władek nie od razu do niej podszedł, tylko obserwował z oddalenia jak ta poszła w kierunku kościoła. Wtedy dopiero poszedł za nią. Zastał ją klęczącą przed zamkniętymi drzwiami. Klęczała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, nie było widać, żeby poruszała ustami. Poczekał chwilę. W końcu do niej podszedł.

- Choć Ludwiko, mam furmankę, pojedziemy do domu.

Odwróciła się do niego gwałtownie. Na pewno nie spodziewała się go tutaj.

- Co ty tutaj robisz?

- Przyjechałem za tobą, chodź - jedziemy do domu.

Początkowo jechali w milczeniu. Ale jak skręcili na drogę do Kopiny zaczęła opowiadać.

- Niemcy zawzięli się na Stacha, chcą go złapać, bo myślą, że on wie gdzie jest Grocholski i wie coś o tych gazetkach, które znaleźli przy tym chłopaku na drodze do Wohynia. Mówię im, że ja tam nic nie wiem, że męża nie widziałam już nie wiem ile czasu. On we wsi się już wcale nie pojawia. Gdzieżby tam jeszcze miał po wsi roznosić jakieś gazetki?

- Potem pytali o tych ludzi, którzy przebywali w naszym domu. To im powiedziałam o tych Milerach z Radzyna, których Stasiek spotkał w Szpakowiznie i do nas przyprowadził, przecież oni tam koczowali z całą rodziną pod gołym niebem od czasu zbombardowania Radzyna. Powiedziała o Nowakach z Warszawy, którzy zatrzymali się u nas tym konnym furgonem, co im się popsuł i Stasiek go naprawiał. Do nas co chwilę ktoś przychodził, więc dawaliśmy cośmy mogli, czasami ktoś nocował.

- To im powiedziałam na posterunku - i mnie puścili. Powiedzieli to samo, co zawsze, że mam przekazać Staškowi, żeby się zgłosił, bu muszę go przesłuchać i sporządzić raport. Puszczą go jak wszystkich innych.

- A ten Bołba to straszna świnka. Całą drogę mi się przechwalał, jaki to z niego bohater i jak się wysługuje Niemcom. Mówi, że dopiero teraz to on coś znaczy, że wcześniej to tylko klepał biedę i wszyscy z niego kpili, to teraz on im pokaże, co to znaczy kpić z Bołby.

Kopina - 22 września 1940 r.

Krzętała się, jak co dzień po obejściu robiąc obrządek.

Wstawała zawsze o świcie. Rozpalała pod kuchnią, przynosiła wodę, nastawiała czajnik, a w żeliwnym garnku ziemniaki dla świń, szykowała śniadanie dzieciom i dziadkom potem szła na podwórko wypuścić kury z kurnika, później karmienie zwierząt, uzupełnianie podściółki, zbierania lebiody, pokrzywy, mlecza, krwawnika i innych jadalnych roślin, aby było czym uzupełnić karmę zwierząt, siekanie tych badyli w sieczkarni. Taka praca zajmowała jej czas zwykle do południa.

Teraz było jeszcze przed południem. Podjechał rowerem pod furtkę - wyskoki, szczupły, przystojny, rower oparł o płot. Ale nie wszedł na podwórze. Rozejrzał się tylko wokół, jakby się obawiał, że ktoś będzie go widział. Dom Ludwiki stał nieco na uboczu, poza stodołami należącymi do gospodarstw wybudowanych przy drodze. Ojciec Ludwiki pozwolił jej i Stanisławowi wybudować się w swoim sadzie za stodołą. Do zabudowań Ludwiki można się było dostać albo przez podwórko jej ojca, albo dróżką poza stodołami, która biegła od drogi cichostowskiej do sklepu. Tędy także wędrowali czasami ludzie chcący dojść najkrótszą drogą do dworskich czworaków, przejechać też się dało, choć przeszkadzały kieraty zamontowane niemal przy każdej stodole, więc trzeba było je omijać i forsować żelazne połączenia kieratów z urządzeniami w stodołach. Właśnie tą drogą przyjechał. Poznała go z trudem, gdyż był w mundurze. Nie pamiętała jak się nazywa, ale wiedziała, że mieszka w Okalewie. To, że wstąpił do niemieckiej policji było przykrym odkryciem, bo wiedziała, że ze Stanisławem znał go z przedwojennych czasów i darzył przyjaźnią.

- Dzień dobry gospodyni, pani tutaj podejdzie.

Podeszła niespiesznie.

- Mąż jest w domu? - zapytał.

- Nie, nie ma męża.

- Pani mnie posłucha. Pani wie, że jest poszukiwany? Wzięli już prawie wszystkich ze dworu, a pytają tylko o Grocholskiego. Ten gdzieś zniknął i oni przesłuchują wszystkich, którzy według nich mogą coś o nim wiedzieć. Widzi pani oni wszystkich po przesłuchaniu - wypuszczają. Wychodzi, że największą winą męża jest tylko to, że on się ukrywa. Pani wie, że dobrze mu życzę, sam przejrzałem całą dokumentację i mówię pani nie ma tam nic, co by obciążało Stanisława. Pani mu to powie. Lepiej dla niego i dla wszystkich byłoby jakby się sam zgłosił. Jak nic nie wie o tym gdzie jest Grocholski, to go puszcza. Pani przekaże mężowi, to co powiedziałem. Z nimi naprawdę nie ma żartów. Męża prędzej czy później znajdzie. Wtedy dobrze się to nie skończy... - a pani ma małe dzieci.... Zabiorą go, nie wiadomo jak długo będą trzymać i o co oskarżać.

- Pani nikomu nie mówi, że z panią rozmawiałem. Ja też się narażam. Lubię pana Stanisława, znamy się przecież od lat...

- Do widzenia.

Chwycił rower za siodło i kierownicę, odwrócił, wsiał i odjechał w kierunku cichostowskiej drogi.

Tego wieczora Stach przyszedł. Chłopcy jeszcze nie spali, więc przypadli do niego bardzo uradowani. Zanim jeszcze zdążył usiąść - Tadzio już

wgramolił mu się na kolana, obejmując za szyję. Mietek usiadł blisko przy ojcu na ławie przywierając do jego boku. Dziadek jak zwykle siedział w kącie i się nie odzywał. Ludwika nie okazywała radości, spytała tylko czy jest głodny, bo ma jeszcze zupę z obiadu, a jak chce, to może mu dać coś ze spiżarni. Powiedział, że zje zupę.

Zacząła babcia.

- Stasiu, tak nie może być, ty ciągle poza domem, tyle roboty, dzieci tęsknią, zobacz co się dzieje, tyle ludzi już aresztowali, ty się narażasz, co ty sobie wyobrazasz, jak to według ciebie ma dalej być?

Nie odzywał się, dając się matce wygadać. Ludwika postawiła przed nim blaszany talerz z zupą, nakroiła chleba i też się nie odzywała.

Zaczął jeść, chłopcy obserwowali dorosłych milcząco. Mietek dobrze wiedział, co się dzieje. Tazio z pewnością wyczuwał.

- Zostaniesz na noc? Spytała w końcu Ludwika.

- Tak, dzisiaj nocuję w domu. Musimy porozmawiać, potrzebuję twojej porady.

Nic już nie mówiono. I to, że ojciec przyszedł i to, że zamierzał nocować w domu było dla wszystkich sygnałem, że kroi się coś poważnego. Chłopcy bez protestu poszli do pokoju za ścianą, za chwilę dołączyła do nich babcia. Dziadek – jak to on - bez słowa począł do swojej alkowy. Zostali sami.

- Kładźmy się spać, powiem ci, co postanowiłem jak zasną chłopcy - powiedział cicho.

Podszedł do miednicy w kącie kuchni, nalał trochę wody z wiadra, zdjął koszulę i zaczął się myć. Ludwika sprząając ze stołu obserwowała go bez słowa. Poustawiała garnki na kuchni, opuściła wzorzystą tkaninę leżącą na okapie i w ten sposób zakryła wszystko to, co była na kuchennej płycie. Zawsze to robiła wieczorem i zawsze, gdy wygaszała ogień pod płytą. Starła okruszki ze stołu pokrytego ceratą w kratkę i zamiotła podłogę. Lubiła porządek, nigdy nie kładła się spać zanim nie uznała, że w mieszkaniu wszystko jest na swoim miejscu. Pilnowała swoich obowiązków, ale i nie pobrażała pozostałym domownikom. Każdy wiedział, co do niego należy, a ona pilnowała, aby to, co nakazane, zawsze było właściwie wykonane. Stanisław raczej nie był angażowany do prac domowych, więc i teraz, zaraz po umyciu się, po prostu położył się do łóżka i obserwował krzątającą się żonę. Wreszcie skończyła, przykręciła lampę pozostawiając jedynie ledwo tłący się na niebiesko płomyk. Nie dawał on wiele światła, więc i Stanisław niewiele widział, a jedynie się domyślał, że Ludwika zdjęła spódnicę i bluzkę, że została w samej koszuli, że wlała wody z czajnika do tej samej miednicy, której on używał, że się myła staranniej niż on przed chwilą. Przyszła, uklękła opierając dłonie na łóżku.

- Stasiu, zmów za mną dzisiaj pacierz.

Nie zaprotestował. Ukłękli obok siebie i półgłosem odmówili wszystkie modlitwy, jakie Ludwika znała na pamięć.

Położyli się – on od ściany, ona od brzegu. Przez chwilę oboje leżeli na plecach nic nie mówiąc. On już widział, co jej powie, nie wiedział jak. Ona się domyślała. Oboje czuli, że ta noc może być ostatnią przed ich dłuższym rozstaniem. To ważna noc i ważna rozmowa. Trzeba zdecydować o przyszłości możliwie najmądrzej i trzeba powiedzieć sobie o wszystkim najważniejszym, żeby niczego nie pominąć, o niczym nie zapomnieć.

- Wiem, że byli u ciebie Niemcy z Okalewa – zaczął Stanisław cicho.

- Byli też u Ławniczaka, jego też poszukują. Namawiają, aby się zgłosić.

- Mówią, że to tylko formalność, że nas przesłuchają, zrobią protokół i puszcza, że im to potrzebne, by mieć porządek w papierach. Nie bardzo im wierzę, nie wiem, co wyciągnęli od Wróblewskiego i innych. My w zasadzie działalność całkowicie zawiesiliśmy. Brochwicz, Tatuńcio i Kola, Edzio są dobrze zakonspirowani, nic im nie grozi. Ciebie nękają, na razie straszą, ale wiadomo, co im przyjdzie do głowy? Kobiet na razie nie biją, ale nie daj Boże jak im się odmieni i zaczną ciebie przesłuchiwać tak jak Ostrowskiego... Nie daj Boże! – powtórzył.

Milczała.

- Aresztowali po kolei wszystkich ze dworu. Wzięli lokaja – pobili i puścili, potem stróża – tego ponoć nawet nie bili. Zabrali też Ciompe, ten wrócił szybko i nie chce mówić czego od niego chcieli. No i zabrali ogrodnika - Ostrowskiego. Tego tak wystraszyli, że zaczął podawać nazwiska, jakie tylko znał. Niemcy ich łapali, zwozili wszystkich do Radzyna, przesłuchiwali, niektórych bili. Oskarżył w ten sposób mnóstwo ludzi, on wydał też tego dziadka Popławskiego, on miał już z 90 lat. Ostrowski mówił, że dziadek Popławski organizował jakieś szkoleniowe zebrania na łąkach. To się Niemcy zorientowali, że ten plecie, co mu ślina na język przyniesie i tych ludzi po kolei powypuszczali. Jak oni jeszcze byli na placu, to wyprowadzili tego Ostrowskiego i powiedzieli, że to on was wskazał jako wrogów. Dlatego w podzięce za to, że tutaj jesteście każdy ma dać mu po gębie i tak ci ludzie robili, jeden symbolicznie tylko go szturchnął, inny dołożył solidnie. Tego i tak zatrzymano, i zatrzymano jeszcze Ludwika Wojciechowskiego, który znalazł ten biuletyn. Ten Wojciechowski wziął go ze sobą i dał do przeczytania młodszemu bratu Wróblewskiego i do tego Wróblewskiego przyjechał Bołba. Zaczął go wypytywać o różne rzeczy. Między innymi ten się pochwaliał, że czytał nielegalną prasę, którą dał mu do przeczytania Wojciechowski. Tego Wojciechowskiego aresztowali, przywieźli go do Kopiny następnego

dnia i on gdzieś zza strzechy wyciągnął ten biuletyn i się zaczął. Oni nie wiedzą skąd ten biuletyn we wsi, ale wzięli nas wszystkich na celownik, bo ten chłopak z wołyńskiej drogi powiedział, że gazetki, które przy nim znalazły, to niósł do Kopiny.

Zamilkł. Po chwili kontynuował.

- Rozmawiałem z Ławniczakiem i uradziliśmy, że się zgłosimy. Ludzie z Okalewa powiedzieli, że w razie czego pomogą, że przecież tylu ludzi tam mają. Dykowa, jego żonę, teściową przecież znamy, jego brata też. Chyba pomogą? Ponoć też Ciompa obiecał, że się za nami wstawi. Tak powiedział Ławniczakowi. Ja jemu nie wierzę, że za mną będzie się wstawiał, ale za Ławniczakiem na pewno, przecież to szwagry – mnie na pewno nie zaszkodzi. Nie zawsze się zgadzaliśmy, ale nigdy nic złego mu nie zrobiłem.

- Stasiu, nie wiem. To takie okropne, a jak cie pobiją, jak cię zamkną, wywożą, co ja zrobię, zlituj się... Może rzeczywiście cię wypuszczą... A jak nie...?

I mimo że bardzo tego nie chciała – lzy pociekły jej po twarzy.

Leżeli w milczeniu, całkowita cisza upewniała ich, że wszyscy domownicy śpią.

- Luciu, spodziewam się, że mnie zaraz puszczą, ale jakby co, to pamiętaj, że na dworskim polu mamy kartofle do wykopania. Powiedz Ciompie, kiedy będziesz kopała i niech on da ci furmankę do zwiezienia. Będzie tego dużo, niech wujek Jasiek z Zabłocia zrobi ci kopiec. Mam zarobione 3 metry drewna opałowego. Jak ja bym nie wrócił, a wrócił Ławniczak, to on o wszystkim wie. Sam przywiezie ci to drewno – tylko Ciompie trzeba powiedzieć kiedy. Dziadek niech idzie do dworu, tam na pewno dadzą mu jakąś robotę, to się dziadek dołoży, już mu to kiedyś mówiłem. Mietka daj do szkoły jak gdzieś już jakąś otworzą. Nie martw się, nie zginiemy. Teraz jest ciężiej, ale dobrzy ludzie pomogą.

Przygarnął ją ramieniem, plecy jej drżały, płakała cicho.

- Na jutro rano mamy dostać z Ławniczakiem furmankę – Ciompa pozwolił... Jedziemy do Radzyna. To już postanowione... Trzeba teraz spać.

Wstali przed świtem. Postanowili nikogo nie budzić, ale babcia z dziadkiem usłyszeli ruch w kuchni i przyszli oboje. Babcia powiedziała, że ona zajmie się kuchnią i niech Ludwika wyszykuje Stasia.

- Nic wielkiego mi nie szykuj. Zabiorę tylko, to co na siebie i tak wszystko mi zabiorą jakbym miał tam zostać, a jak mam wrócić, to na wieczór będę. Daj mi tylko butelkę z wodą i coś do jedzenia na drogę.

Poszła na strych, znalazła stary kuferek podróżny dziadka – zeszła na dół, z szafy wyjęła dwie koszule, bieliznę na zmianę, skarpety, chusteczkę.

Z szuflady w stole wyjęła książeczkę do nabożeństwa, różaniec, dwa obrazki ze świętym Antonim i Matką Boską - włożyła je do książeczki. Nie wiedziała, co jeszcze. Może przybory do golenia - Staś zawsze golił się starannie, ale czy pozwolą mieć takie rzeczy? Najwyżej każą zabrać.

Stasiu, pojedź z tobą do Radzyna - powiedziała - chcę być z tobą, nie puszczę cię samego.

- Nie ma mowy! Pojedziemy we dwóch i we dwóch przyjedziemy. Ty masz co robić w domu. Nie ma mowy! Zajmij się chłopcami. Musisz być z nimi. Ja dzisiaj wrócę - tak czuję. Tego kufra nie biorę, bo od razu pomyślałam, że wybrałam się na dłużej - uśmiechnął się i mocno ją przytulił...

O tym, że wrócił tylko Ławniczak Ludwika dowiedziała się nazajutrz od dziadka, który przyszedł z folwarku, bo poszedł tam obgadywać robotę.

Boże - pomyślała - Boże! Co teraz będzie...?

Radzyń Podlaski - 28 września 1940 r.

Siedziała przy maszynie do szycia, ale robota jej nie szła. Ostatnio domem zajmowała się teściowa, jej wszystko leciało z rąk. Starła się być silna i nie okazywać emocji, ale czuła, że jest blisko rozpaczy, bo o Stachu nie miała żadnej wieści i od nikogo niczego nie można się było dowiedzieć. To siedzenie przy maszynie do szycia to była dla niej, oprócz czasu na sen i na modlitwę, jedyna okazja do tego, aby trochę odpocząć. Maszynę ustawiła w kuchni pod oknem. Miała z niego piękny widok na wschodnie, wysokie niebo i na malownicze sąsiedzkie stodoły, na sad, w którym sąsiad ustawił ule, na szeroko rozpostarte, aż po horyzont, pola. Widok zmieniających się pól w różnych porach roku, ptaków, które tłumnie zlatywały się na okoliczne podwórka, gniazdujących bocianów na stodole Tymosiewiczów zawsze był dla niej ukojeniem. Teraz nie był. Teraz nic nie było w stanie odgonić czarnych myśli.

Z zamyślenia wyrwał ją Mietek

- Mamo, jakiś chłopak przyszedł i mówi, że do ciebie. Jest przed furtką i nie chce wejść.

Wyszła - nie знаła tego chłopca, mógł mieć ze 14 lat.

- Wy jesteście Fijeska? - zapytał.

- A o co chodzi? - odpowiedziała pytaniem.

- Przesłali mnie z Okalewa i powiedzieli, żebyście poszli do dworu po furmankę i jak najprędzej przyjechali do Okalewa, tam jest delegacja, którą trzeba zawieźć do Radzyna w sprawie waszego męża.

- Delegacja w sprawie mego męża? – nie od razu zrozumiała.

- Tak, zebrali się ludzie i uradzili, żeby jechać do Radzyna wstawić się za waszym. Idźcie do dworu po furmankę, nie ma czasu.

- Poczekaj, tylko się w coś ubiorę...

Ruszyli prawie biegiem ścieżką na ukos zaoranych pól. Ścieżka w kilku miejscach była już przeorana, więc trzeba było iść po skibach lub po zabronowanym, ale i tak tędy było najszybciej. Postanowiła od razu iść do Ciompy. Znalazła go w jego kantorku w rządówce – obszernym czworaku najbliższym dworskich zabudowań.

- Co tam Fijewska, co wam trzeba? – zapytał nie wstając na jej widok. Powiedziała mu najukładniej jak umiała z czym przyszła.

- Coś kręcicie... Niemcy z Okalewa chcą się wstawić za waszym Stachem...? – A skąd ja wam wezmę nagle konie i wóz...? Nawet nie mam nikogo, kogo mógłbym posłać z wami na cały dzień. Nie podoba mi się to! A nie można tego załatwić jutro? Co taka gorączka...? – mówił to wszystko nie ruszając się miejsca.

- Proszę was, pomóżcie – prawie płakała. Jeśli oni z Okalewa chcą pomóc, to trzeba jak najszybciej tam jechać. Dajcie nam furmankę, przecież żadnej ważnej roboty chyba teraz w majątku nie macie?

- Jak to nie mam?! I co wam do tego, czy mam czy nie?! Dam albo nie dam! Idźcie pod wozownię i poczekajcie...

Czekali, chłopak ponaglał i bardzo się niecierpliwił. Ona odchodziła od zmysłów. Nie wiedziała, co robić. W końcu przyszedł bardzo niezadowolony, wyprowadził jednego konia ze stajni i niespiesznie zaprzął go do drabiniastego wozu – całe szczęście, że do tego z gumowymi kołami – pomyślała.

- Szybciej – ponaglała woźnicę, gdy jechali w stronę Okalewa, przecież oni nie będą tam czekać w nieskończoność. Woźnica wykazał się zrozumieniem i jadąc na skróty przez lasy w niecałą godzinę byli w Okalewie. Delegacja czekała, choć widać było, że są niezadowoleni, że tak długo musieli czekać.

Dojechali do Radzyna mocno po południu. Wjechali do miasta od strony Suchowoli, minęli pałac, skręcili w lewo i okrążając kościół dojechali – nie licząc pałacu i kościoła – do największego w mieście budynku stojącego najbliżej kościelnej dzwonnicy. Budynek miał złą sławę już przed wojną, teraz kojarzył się wszystkim tylko z najgorszym. Tutaj rezydowały najczarniejsze w owym czasie okupacyjne służby policyjne – SIPO i SD. Tutaj zwożono wszystkich zatrzymanych, tutaj ich przesłuchiowano, wielu bito i torturowano. Wielu zakończyło tutaj życie.

Przyjął ich Dykow i jeszcze dwóch Niemców w mundurach. Adolf Dykow, Niemiec z Okalewa, tutaj urodzony z prostego wiejskiego chłopaka stał się nagle wielką szychą i już dał się poznać jako ten, od którego wiele w tej instytucji zależy. Ludwice wydawało się, że wiedział o ich wizycie i na nich czekał. Był wręcz uprzejmy - nic dziwnego, przecież to sami jego znajomi i rodzina. W Okalewie się wychował, tam wyuczył się zawodu stolarza, stamtąd pochodziła jego żona. Od razu w 1939 roku zgłosił się do policji jako tłumacz, później szybko awansował do żandarmerii wojskowej i Gestapo. Nie miał oficjalnej nominacji, ale już wszyscy traktowali go jak zastępcę dowódcy - choć takiego stanowiska oficjalnie jeszcze nie było. Ludzie z Okalewa dość rzeczowo, po polsku, wyłuszczyli z czym przyjechali. Wygłosili, jak się wydawało przygotowaną wcześniej opinię o Stanisławie. Mówili, że go dobrze znają, że to dobry człowiek, że nigdy nikomu krzywdy nie wyrządził, że wielu z nich korzystało z jego protekcji. Jak mieli coś załatwić w dworze w Kopinie, Milanowie, nawet w Suchowoli, to Fijewski im pomagał, że wielu z nich dzięki Stanisławowi dostawało dobrą pracę i w lesie i na dworach. Wspomnieli także o tym, że się sam zgłosił, że jakby miał coś na sumieniu, to ukrywałby się jak inni. Dykow i pozostali wysłuchali nie przerywając. W końcu jeden z nich oznajmił, że to wszystko, o czym mówi delegacja jest ważne, że i oni też niczego ważnego na niego nie mają, że rzeczywiście Fijewskiego trzeba będzie zwolnić, ale dzisiaj go nie zwolnią, bo nie ma dowódcy - Fischera, a taką decyzję może podjąć tylko on.

- Jedźcie ludzie do domu, o nic się nie martwcie, będzie dobrze. Dopełnimy jeszcze kilku formalności i Fijewski wróci do domu.

Okalewiacy podziękowali i wyszli. Ludwice jakby skrzydła urosły i nagle ten zwykły wrześnieowy dzień stał się dla niej najpiękniejszym dniem w życiu. Ludwika nie posiadając się z radości zaczęła coś mówić o wdzięczności do tych ludzi, że ich chce zaprosić gdzieś tutaj na obiad - odmówili grzecznie mówiąc, że jest późno i trzeba wracać do domu.

W domu była późnym wieczorem. Wydawało się, że rodzina już śpi, bo lampy były wygaszone, ale oprócz małego Tadzia nikt nie spał. Opowiedziała ze szczegółami przeżycia całego dnia. Emocje już nie były takie duże jak po wyjściu z budynku Gestapo, ale i teraz opowiadając nie ukryła łez radości.

- To dobrze, oj, to dobrze, chwała Bogu - powtarzali babcia i dziadek na zmianę.

- Oj, aby się im tylko nie odwiedziało... - westchnął dziadek na koniec.

- Nie kracz! - ofuknęła go babcia Aniela. Nic im się nie odwiedzi, przecież przyrzekli.

- Obyście miały rację... - podsumował dziadek.

Radzyń Podlaski - 1 października 1940 r.

Stach nie wrócił. Nie przyszedł następnego dnia, nie przyszedł jeszcze następnego. Ludwika nie wytrzymała, trzeciego dnia wstała o czwartej, ubrała się i poszła do Radzyna. Obliczyła, że jeśli będzie iść bez odpoczynku to za cztery godziny powinna być na miejscu. Po drodze zatrzymała się jednak w Wohyniu, kościół był otwarty, weszła – usłyszała kilka kobiecych głosów i jeden męski - najsilniejszy i najczystszy. Wiedziała, że to Franciszek Semeniuk z kolonii wołyńskiej, który bez względu na porę roku, każdego dnia szedł kilka kilometrów do kościoła, aby w gronie wszystkich tych, którzy rozpoczynali dzień od modlitwy prowadzić wspólne odmawianie pacierza i śpiewanie godzinek. Ludwika, kiedy tylko czuła taką potrzebę i miała czas, także przychodziła tutaj o świcie i dołączała do modlących się. Teraz weszła do ławki z dala od grupy usadowionej w pobliżu bocznego ołtarza z oświetlonym świecami wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, ukłękła w ławce, zamknęła oczy i żarliwie przyłączyła się reszty modlących.

- *Zawitaj Panno mądra, domie poświęcony, siedmioma kolumnami pięknie ozdobiony. Od wszelakiej zarazy świata ochroniona, pierwszej święta w żywocie matki, niż zrodzona. Tyś Matką wszech żyjących, Tyś jest Świętych drzwiami; Nowa Gwiazdo z Jakuba, Tyś nad Aniołami. Ogromna czartu jesteś, w szyku obóz silny, bądź chrześcijan ucieczką i port nieomylny...* – śpiewano głośno, a pusta nawa kościoła potęgowała głosy.

- *Sam Ją stworzył w Duchu Świętym* – głos Semeniuka.

- *I wyniósł Ją nad wszystkie dzieła rąk swoich* – odpowiadał chór damskich głosów.

- *Pani, wysłuchaj modlitwy nasze* – Semeniuk.

- *A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie* – kobiety.

- *Błogostawmy Panu* - Semeniuk.

- *Bogu chwala* - kobiety.

- *A dusze wiernych zmarłych przez miłosierdzie Boże niech odpoczywają w pokoju* – Semeniuk.

- *Amen* – kobiety.¹⁰

Jednak nie dotrwała do końca, wyszła z kościoła i poszła gościńcem przez Zbulitów do Radzyna.

Odległość 12 kilometrów pokonała w dwie godziny, więc w Radzynie była tuż po ósmej. Stała przy budynku na ulicy Warszawskiej. Od-

¹⁰ Godzinki do dnia dzisiejszego są śpiewane w wołyńskim kościele w ten sposób: jeden mężczyzna prowadzi, a chór wiernych odpowiada.

czytała czarny napis na żółtej tabliczce – „*Aussenstelle Sipo und SD*”¹¹. Minęła pomalowaną w czarno-czerwone ukośne pasy budkę strażniczą, nikt jej nie zaczepiał, weszła do środka, strażnik siedzący za kontuarem coś do niej powiedział po niemiecku i wskazał stojącą w poczekalni ławkę. Siadła. Różni ludzie wchodzili i wychodzili, przyglądała się im bacznie starając się wypatrzyć kogoś, kto mógłby znać język polski. Nikogo takiego nie zauważyła. W końcu zaczęła wypytywać strażnika o Dykova, powtarzając „Dykov, Dykov” i pokazując ręką w stronę pokoju, w którym ostatnio urzędował.

- *Dykov ist nicht hier*¹² – warknął tylko wartownik i tym razem wskazał jej drzwi.

- *Heraus! Aus!*¹³ - Ponagłał. Wyszła. Nie wiedziała, co robić. Stała po drugiej stronie ulicy i czekała. Stała długo. Mijali ją ludzie, nie zwracając na nią uwagi, czasami przejechał jakiś pojazd. W końcu przejechał jakiś motocyklista, wydawało jej się, że poznała Dykova, ale zanim zdołała do niego podejść, brama, przed którą się zatrzymał otworzyła się i za chwilę zatrzasnęła z hukiem.

- To on, już jest, muszę się z nim spotkać! - pomyślała i znowu weszła do budynku. Za kontuarem był już inny wartownik. Tym razem, też musiała mu na migi pokazywać, o co jej chodzi, powtarzając „Dykov, Dykov”. W końcu zrozumiał, podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił jakiś numer i coś powiedział do słuchawki. Posłuchał chwilę odpowiedzi, odłożył słuchawkę, wstał i pokazując drzwi powiedział ostro – „Weg! Aus!”. A jak nie zareagowała dwukrotnie powtórzył prawie krzyżąc – „Raus! Raus!”.

Teraz rozumiała. Teraz do niej dotarło, że dzisiaj niczego się nie dowie i niczego nie wskóra. Wyszła. Postąpiła jeszcze chwilę na ulicy i poszła w kierunku radzyńskiej Guberni w stronę Koziegorynku, by najpierw ulicą Zbulitowską, później tym samym gościńcem, którym tu przyszła, powrócić do domu.

Znowu wieczór, ale tym razem tylko zmęczenie i ogromny niepokój. Coś jest źle, coś nie wyszło, może czegoś nie dopatrzyłam, może zaniedbałam? W domu przywitała ją babcia informacją, że Ciompa przysłał do niej jakiegoś człowieka i kazał, żeby się do niego zgłosiła. Mimo zmęczenia poszła od razu. Skierowała się wprost do jego mieszkania. Przywitał ją raczej uprzejmie, wypytał co słyhać, co ze Stanisławem. Powiedziała, że nie wrócił, że była dzisiaj w Radzynie, że niczego się nie dowiedziała, że nie wie dlaczego, mimo wstawiennictwa Niemców z Okalewa i przyrzeczeń

¹¹ Tłum. Oddział policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa

¹² Tłum. Dykova nie ma.

¹³ Tłum. Precz,

Dykowa, mąż nie wrócił.

Ciompa wysłuchał tego nie przerywając. W końcu powiedział:

- Wy Fijewska źle to załatwicie, tak do niczego nie dojdziecie, nic nie wskóracie, to trzeba inaczej. Ja wam dobrze radzę, zbierzcie większą sumę pieniędzy, pojedźcie do Dykowa do domu i po prostu wykupcie męża. Z nimi tylko tak da się coś załatwić, oni są łasi na pieniądze. Jak nie macie pieniędzy, to sobie coś sprzedajcie – krowę albo coś, albo sobie pożyczcie. To musi być większa suma, jakieś tysiąc złotych najmarniej. To ma być taka suma, żeby skusiła każdego. Dykowa na pewno skusi, bo on takich pieniędzy to dawniej nawet nie widział. Nie wiem jak mu się teraz powodzi, ale ile by nie miał, to takich pieniędzy nie odmówi. Może dlatego waszego Staśka nie puszczają, że jeszcze czekają na pieniądze. Ja wam dobrze radzę.

Wróciła do domu czując się jak zbity pies.

- Jak ja mam zebrać tysiąc złotych? Nawet jakbym wszystko sprzedała, to nie wiadomo czybym uzbierała...

Powiedziała dziadkom.

- Trzeba pochodzić po chałupach, powiedziec na co, każdy da po parę złotych, jakoś nazbierasz, ludzie pomogą – dziadek nie stracił nadziei.

- Tak, nie ma wyjścia, trzeba poprosić ludzi. - Z tą myślą położyła się do łóżka i o swoich troskach opowiedział Matce Boskiej.

- Matko Boska pomóż! - powtarzała w myślach ze łzami w oczach.

- Popatrz na moje dzieci, Ty także jesteś matką, spraw abym mogła mojego Staśka wyrwać z niewoli.

- Matka Boża pomoże - utwierdzała się w nadziei.

I Matka Boska pomogła...

Następnego dnia Ludwika od rana poszła do wszystkich z rodziny, znajomych i nazbierała. Nazbierała prawie tysiąc złotych. Nikt nie odmówił. Jedni dawali po 5 złotych, inni po 10, ale byli i tacy, co i po 100. Ludwika wszystkich zapewniała, że to pożyczka i że wszystko kiedyś odda. Oczywiście teraz nawet sobie nie wyobrażała, jak i kiedy mogłaby oddać taką sumę, ale czuła to, była pewna, że jeśli Stasiak wróci, to oboje tak się wezmą do pracy, tak się postarają, że te pieniądze ludziom zwrócą. Przeszła do domu i wyłożyła to, co nazbierała na stół. Banknoty ułożyła w równy stosik, srebrne monety – bo uradzili, że tylko takie wypada wręczyć – owinęła w kawałki szarego papieru robiąc z nich równe rulony. Rodzina przyglądała się takiej sumie z szacunkiem, a ona myślała jak to zrobić, jak się zbliżyć do Dykowa, co mu powiedzieć, jak mu wręczyć te pieniądze?

- Idź do jego mieszkania, on tam mieszka przecież z żoną, idź do domu, tam powiedz, że przyniosłaś pieniądze za Staśka – radziła babcia.

- Weź furmankę, weź Władzia albo Antka, albo kogoś z folwarku, może Ciompa da ci konie? – dołączył się dziadek. Z takimi pieniędzmi nie możesz sama chodzić.

Poszła do dworu. Ciompa rzeczywiście nie odmówił. Umówili się na następny dzień na piątą rano. Pomyślała, że powinna zastać Dykowa w domu przed jego wyjściem z domu. Mieszkał niedaleko urzędu na ulicy Ostrowieckiej. Serce waliło jej w piersi, brakło powietrza jak zastukała do drzwi. Otworzyła jego żona. Poznała Ludwikę, ale wyglądała na zaskoczoną.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, czy zastałam męża w domu?

- Tak... – odpowiedziała z wahaniem i wyglądało, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale zza jej pleców wyszedł Dykow. Nie wyglądał na zadowolonego, wprost przeciwnie: całym swym wyglądem i wyrazem twarzy okazywał wręcz wrogość. Wpuścił jednak Ludwikę za próg i warknął – czego tu szukacie, czego wy jeszcze chcecie?!

- Wybaczcie najście, ale przyniosłam wam pieniądze na wykupienie mego męża – powiedziała szybko i sięgnęła za bluzkę, gdzie miała zawiniętą w czystą chusteczkę sporą paczuszkę.

- Co?? Coście przynieśli?? Czy wyście oszaleli?! Ty głupia babo!! – ryknął i natarł na nią jakby chciał uderzyć.

- Coś ty sobie umyśliła?! I jeszcze mnie chcesz zgubić?! Wynoś się stąd! Wynoś się!! – wrzeszczał coraz bardziej czerwony na twarzy.

- Wynoś się! - podniósł rękę do ciosu, ale nie uderzył, tylko ją odepchnął aż się zatoczyła na ścianę, wyminął ją i wybiegł z domu na podwórze. W progu się odwrócił i powiedział przez zaciśnięte zęby – Przyjdź tu jeszcze raz, to dzieci więcej nie zobaczysz!

Ludwika stała przerażona oparta o ścianę, usłyszała dźwięk uruchamianego motocykla i za chwilę głośny warkot motoru. Odkręcił gaz i z całą szybkością runął w otwartą bramę i pełnym gazem pojechał w kierunku ulicy Warszawskiej.

- Niech pani stąd idzie... – powiedziała po chwili Dykowowa nie mniej przerażona - niech pani tu więcej nie przychodzi, niech pani zabierze te pieniądze, niech pani je sobie zachowa, będą wam potrzebne... pani mężowi już nic nie pomoże... – zawiesiła głos. - Mąż chciał mu pomóc i tylko narobił sobie kłopotów. Jedno mogę pani powiedzieć – myśmy chcieli pomóc, ale pani męża zgubili wasi ludzie! Tyle mogę powiedzieć. Niech pani już idzie i już tu nie wraca – mówiąc to wzięła Ludwikę pod łokieć, wyprowadziła za drzwi i od razu te drzwi zamknęła.

Za dwa dni przyszedł do nich znajomy Stanisława, Polak z Okalewa o nazwisku Janiak, powiedział, żeby dać mu rower, to on pojedzie do Radzyna i się czegoś dowie. Pojechał, po kilku godzinach przyjechał i przyniósł tę wiadomość...

- Wasz mąż jest już na Zamku w Lublinie... - Pojechali. Pojechali wszyscy z radzyńskiego aresztu - i on, i Wojciechowski, i wszyscy, których do dzisiaj nie zwolnili.

Dni upływały. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie mogła znieść braku wiadomości. Ta niepewność, te myśli. Prawie nie spała. Modlitwa. Modlitwa to jedno, co mogło ją, choć na chwilę uspokoić, ale i modlitwa nie dawała ukojenia. W nocy, siedząc w łóżku, pochylona, z zamkniętymi oczami, powtarzała pacierz zaczynając po kilka razy każdą modlitwę - powtarzała słowa - myśli uciekały... - zaczynała od nowa... Nie chciała, aby modlitwa była tylko monotonnym odklepaniem pacierza, chciała modlić się z pełnym zaangażowaniem, chciała zasłużyć na wysłuchanie. Próbowowała czytać z książeczki, ale uznała, że lepiej jak będzie sama wypowiadała słowa wkładając w nie serce. Nie kontrolowała czasu, nie wiedziała ile godzin trwa to modlitewne czuwanie... Wpadała w półsen, w którym także się modliła, ale już w innej rzeczywistości... Widziała siebie, jako małą modlącą się dziewczynkę, to znów jako dorosłą kobietę klęczącą w kościele przed świętym obrazem... Budziła się i rozpoczynała od nowa. Słyszała jadący w oddali nocny pociąg, słyszała jego narastający turkot od stacji w Milanowie, później przeciągły gwizd na przejeździe w Zieleńcu, później w Plancie i cichnący rytmiczny turkot po minięciu stacji w Bezwoli. Nie wiedziała ile godzin spała, ale i tak budziła się przed świtem i wracała do modlitwy, znowu pełny pacierz, znowu jedna gorąca prośba - żeby Stasiak wrócił, żeby mu się nic nie stało, żeby ona podołała, żeby Bóg dał jej siły...

- Matko Boska! Naucz mnie się modlić, nie opuszczaj mnie, ja już nie wiem, co mam mówić. Zlituj się! Zlituj się! - powtarzała.

- Panie Boże przebacz mi moje grzechy, nie karz mnie w ten sposób, nie odbieraj mi męża! Co ja bez niego pocznę!

Wstawała wcześniej niż zwykle i z większą niż zwykle determinacją brała się za pracę. Praca była jej ucieczką, praca nawet najcięższa i najbardziej przykra była lepsza niż myśli, które natarczywie pojawiały się w każdej chwili, gdy choć na chwilę się zatrzymywała. Często patrzyła na wiszący nad łóżkiem ich portret ślubny... Jakże byliśmy szczęśliwi, jacy piękni... Sięgała do szuflady, w której trzymała najważniejsze rzeczy i przeglądała zdjęcia, listy...

List był od Stasia z pierwszych miesięcy ich rodzącej się zażyłości. Czytała go chyba tylko raz w życiu, wtedy, gdy otrzymała go pocztą – zdziwiła się, przecież widzieli się wtedy prawie codziennie. Pamiętała jego treść, pamiętała, że ją poruszył. Nie pomyślała jeszcze wtedy, że ten chłopak to może być ten jedyny, że z nim będzie chciała związać swoją przyszłość. Ujmująca była jego szczerość mimo nieporadności w formułowaniu myśli. On pewnie wtedy pierwszy raz w życiu przelewał na papier swoje serce. Przecież znała go już - i nigdy, przenigdy nie zdradził się, że jest zdolny do takich emocji. Ona też pierwszy raz w życiu doznała tego dojmującego uczucia, że jest kochana. Wtedy cieszyło ją to i jednocześnie przerażało. On był jeszcze taki niedojrzały, chciał być mężczyzną, ale jeszcze nie był. Musiało minąć jeszcze dwa lata, aby mogła zrobić z niego godnego zaufania mężczyznę, któremu w końcu oddała swe serce i powierzyła swą przyszłość.

Nie była sentymentalna, ale teraz łzy niepohamowanie płynęły po policzkach, czytała chłonąc słowa sercem.

Kopina 2.II.1926 r.

Kochana Ludwiko!

Ponieważ teraz brakuje nam słów do rozmowy w razie spotkania, więc wobec tego piszę Ci byś chciała przeczytać i uwierzyć w to, co w niniejszym liście piszę. Do tego listu wydobywam wszystkie największe i najtajniejsze myśli czy to w formie żalu, czy prośby.

Ponieważ ja Tobie jeszcze tak nigdy nie mówiłem ale, że dziś nadszedł czas, więc pisze to, coś nigdy ode mnie nie słyszała, słowa moje, te które tu czytasz wydobyte tu są z głębi serca i umysłu tak szczerze jak dla nikogo nie były i być nie spodziewam się, żeby dla jakiegokolwiek kobiety prócz Ciebie.

Krótką próbą naszego rozstania udowodniła mnie, że bez Ciebie człowiekiem być nie mogę takim jak powinienem być, poza Tobą całe jest życie niemiłe, bo właśnie ta krótka próba udowodniła mnie.

Pierwszym moim największym zamierzeniem jest być i żyć z Tobą tu gdy pomyślę zdaje mi się, że mi ni nic na świecie nie potrzeba, ale gdy pomyśl, że ja do tego nie dorosłem, że to wymaga ode mnie czegoś, jednym dniem jedną minutę chciałbym mieć i być takim, bym naprawdę nie był pogardzany przez tych co dziś największą jestem.

Przez miłości do Ciebie i gdy Ty mi będziesz wzajemną w prętce dojdę do tego i wtedy odetchnę całą piersią, jeśli natomiast nie będziesz mi się odwzajemniać, pół życia wtedy tracę i do celu dojść czuję, że brakuje mi sił, chęci, porywa wtedy rozpacz życia na świecie.

Drugim moim życzeniem jest byś mi była wzajemną w miłości pomimo tego co Cię otacza do czasu zmiany w miłości, która może się jakim cudem w pośród nami

nieszczęśliwemi wyłoni a może do czasu innego, który może nas uszczęśliwić lub też odwzajemniaj mi się swoją miłością nie skrytą... by mnie podtrzymać w normalnym charakterze i rozumie, bo wierząc mi gdy pomyślę nad sobą przez co ja Ciebie zmuszony utracić i bym mógł dojść do tego, byś Ty była moja, to w tej chwili rozum tracę. Jeśli zaś będę myślał i będę pewny, że Ty jesteś moja, to znaczy jesteś mi wzajemną w miłości bodaj zewnętrznie, wtedy jest mi o wiele lżej.

Jeszcze trzecie, życzenie moje, które sobie w ostatku życzę, pracuj zatem by miłość moja do Ciebie wygasta i bym ja jako klucznik bram Twego serca otworzył i pozwolił wejść i niemu.

Moja najdroższa w obecnym czasie jesteś przeze mnie nieszczęśliwą, ja wierzę w to bardzo mocno i muszę Ci przyznać, że ja właśnie jestem i będę powodem byś była nieszczęśliwą do dwóch terminów nieograniczonych, może nawet i trzecim a to: I – sze wygaśnięcie miłości II- gie połączenie, III – cie w dodatku śmierci od miłości w razie gdy nie dojdzie do wyżej wymienionych punktów Nr 1 i 2, zmuszony jestem Ci się przyznać gdyż czas nadchodzi, że nie pozwolę wejść nikomu do Twego serca jak tylko po moim trupie pozatem więcej niczyjem.

Moja kochana proszę Cie nie przejmuj się tem listem bardzo wiele a lepiej przyjm go do serca i obierz sobie jedno moje życzenie z tych trzech pierwszych i zastosuj się do tego życzenia. Ta nieszczęsna krótka próba udowodniła mnie najlepiej, że tak jak jest być nie może i zmusza mnie do wyrażenia Ci moich myśli najgłębszych.

Wychodzę z tematu, wobec tego muszą na razie kończyć i Ty gdy nie możesz nastawnie powiedzieć, więc napisz.

Pozostaje kochający Cie do grobu

Stacho

Odpowiedziała mu wtedy jak tylko umiała najdelikatniej i jednocześnie stanowczo. Nie chciała go zranić, nie chciała z nim zrywać, ale nie chciała się też wtedy z nim całkowicie wiązać i od niego uzależniać. O tak, chciała być niezależną, chciała decydować o swoim życiu i chciała, aby jej przyszły mąż to wiedział od początku. Wiedziała wtedy, odpisując mu na jego list, że on musi zrozumieć, że chce związać się kobietą, która będzie miała swoje zdanie i która będzie umiała bronić swojej niezależności, z której zdaniem trzeba będzie się liczyć i na którą trzeba sobie zasłużyć. Pisała nazywając go „Miły Stachu”, ale na końcu listu użyła też słów „Kochany Stachu” i to nie tylko po to, aby podtrzymać go na duchu, ale i dlatego, że i ona czuła, że uczucie w niej się tli i być może jest to już miłość. Oj, nie było to łatwe narzeczeństwo, bo i życie było trudne. Praca, ciężka praca wypełniała i jej i jego codzienność. Ale trudy ich zahartowały, nauczyły odpowiedzialności. Decydując się na małżeństwo oboje znali już siebie wystarczająco dobrze i byli

już doskonale świadomi tego, co przed nimi do zrobienia. Już wiedzieli i się do tego przygotowywali. Wiedzieli, że muszą nauczyć się zawodów, które uniezależnią ich od ziemi, której oboje nie mieli, że wybudują sobie dom. Ona, co prawda, mogła liczyć na jakiś kawałek pola po swoich rodzicach, ale na pewno nie teraz i na pewno nie taki, aby dało się z tego żyć. Miała przecież sześcioro rodzeństwa.

Dom wybudowali, ona nauczyła się szyć i była w tym dobra, on nauczył się ciesielki i stolarstwa. Oboje mogli liczyć na zarobek i we wsi, i w folwarku, i na dworze. Kupili kawałek ładnego pola, mogli korzystać z dworskiego, mogli tam trzymać dwie krowy, mieli drewno na opał. No i urodziło im się dwóch wspaniałych, zdrowych synów. Można było żyć! Można było żyć... Aż przyszła wojna...

- Boże, żeby choć jakaś wiadomość, żeby było wiadomo, że żyje...

Czekała... Chodziła po domu. Przeglądała, porządkowała jego rzeczy, płakała. Dbała tylko bardzo, aby nikt nie wiedział jej płaczącej... Usilnie starała się, aby jej stan nie udzielił się rodzinie, aby chłopcy nie poznali po niej, że jest w rozpacz. Czuła się chora, wszystko zaczęło ją boleć, najbardziej plecy. Kiedy tylko mogła szła do Wohynia do kościoła i tam modliła się żarliwie, ztracając się całkiem w tej modlitwie, traciła poczucie czasu. Teraz zaczęła się modlić także o swoje zdrowie, bo co to będzie jak ona zaniemoże, co się stanie z dziećmi, z rodziną...? I kiedy tak pewnego poranka powtarzała swe gorące prośby poczuła nagłą odmianę... Nagle wszystko od niej odpłynęło, poczuła spokój. Po chwili zorientowała się także, że nie bolą ją już plecy... Wróciła do domu odmieniona - to był cud, dostałam łaski cudu - myślała - nie jestem sama, nic złego nie może się już wydarzyć...

27 października 1940 r.

Stanisław był na Zamku już prawie miesiąc. To oczekiwanie na jakąkolwiek wiadomość od niego to chyba najgorszy czas w jej dotychczasowym życiu. Ale się skończył w memencie, gdy nazajutrz po tej odmianie w wołyńskim kościele przyszedł do nich Bolesław Stopniak z Cichostowa. Nie znała go osobiście, ale wiedziała, że jest znajomym Stanisława, był na pewno jednym z tych, którzy przed kilkoma miesiącami odwiedzali Stanisława w ich domu. Stopniak przyszedł po zmroku, upewnił się, czy nikogo spoza rodziny nie ma w domu, przedstawił się i powiedział, że ma wieści od męża z Zamku. Powiedział, że wie na pewno, że mąż czuje się dobrze, że na Zamku nie jest prześladowany.

- To jest tylko więzienie, nic mu nie grozi.

Nie chciał powiedzieć skąd ma te wiadomości, ale zapewniał, że z pewnego źródła. Nie chciał też poczęstunku, nie chciał nawet siadać. Pożegnał się szybko i poszedł. Na odchodnym zapewnił, że jeszcze tu przyjdzie, że będzie ich informował o tym czego się dowie.

- Co za radość! Żyje! Żyje! Chwała Bogu, że żyje!

Powiedziała rodzinie. Ucieszyli się, było widać, że odetchnęli. Ale co to znaczy „być na Zamku” – nie wiedzieli. O Zamku wszyscy słyszeli, wiedzieli co to za miejsce. Ciężkie więzienie znane dobrze i zwykłym przestępcom, ale przede wszystkim tym, którzy podpadali władzy i za Cara i później już za nowej Polski. Lubelski Zamek stał na wzgórzu ponad dzielnicą żydowską, widoczny z daleka z każdego miejsca w Lublinie. Otoczony kilkoma rzędami zasieków z drutu kolczastego, z górującą nad nim basztą i z wieżyczkami strażniczymi na skraju wzgórza, na którym stał. Był może nawet ciekawy architektonicznie, zbudowali go Rosjanie na miejscu dawnego zamku królewskiego postawionego w Lublinie za czasów Kazimierza Wielkiego, ale wrażenie i tak sprawiał okropne. Ci, co byli na Zamku, niewiele mieli dobrego do powiedzenia na jego temat.

Stopniak przyszedł ponownie po kilku dniach, tym razem usiadł na ławie, wyjął złożoną kartkę papieru i podał ja Ludwice.

- Przeczytajcie i jeśli chcecie, to coś napiszcie – poczekam.

- Co to za kartka? – spytała zanim ją rozłożyła,

- Gryps od męża.

- Gryps? - Nie zrozumiała, bo nie знаła dotychczas tego słowa. Rozwinęła papier i oblała ją fala gorąca.

- Gryps, taki nielegalny list z więzienia – wyjaśnił.

Od razu poznała charakter pisma męża. Pisał ołówkiem, ale pismo było równe i pisane pewną ręką.

Kochani!

Jestem zdrowy i nic mi nie dolega, Ja jestem na zamku z Wojciechowskim i Bokińcem. Napiszcie co u was, czy wszyscy zdrowi, czy wykopaliście już kartofle na dworskim. Pamiętaj, że ja mam zarobione 3 metry drewna na opał. Pójdź do Ciompy, niech Ci da papier i furmankę i zabierz to drewno od Ławniczaka. Mnie przydałyby się buty, bo już się robi zimno a pojechałem w letnich.

Pozostańcie zdrowi

Wasz Stach

- No czytaj, czytaj głośno! - dopominała się babcia Aniela. Przeczytała więc jeszcze raz. Widziała z jakim napięciem wszyscy słuchali i widziała jak, mimo lakoniczności treści, tych kilka słów wywołało u wszystkich słuchających westchnienie ulgi.

- Chwała Bogu! Chwała Bogu! - powtarzała babcia.

- Mówiłem, że mu nic nie będzie, a buty trzeba zamówić nowe - u Lejbowicza, on zrobi najlepsze. Robił już Staśkowi i będzie wiedział jakie - dzia-
dek jak zwykle był rzeczowy - skóra się znajdzie.

- Teraz napiszcie mu coś, jutro dostanie wasz list - szybciej niż pocztą - uśmiechnął się Stopniak.

- Mietek, szybko, daj jakąś kartkę i ołówek.

Mietek sięgnął do swojej skrytki pod kuchennym stołem, w której trzymał zeszyty, podręczniki i inne drobiazgi, z których najbardziej cenił sobie zrobione przez ojca specjalnie dla niego drewniane kości domina. Znalazł jakiś kawałek papieru i podał matce.

Siadła i zaczęła pisać.

- Tylko się nie rozpisujecie - to gryps - przypomniał Stopniak.

Kopina 7. XI.1940 r.

Kochany mężu! Tak bardzo się cieszę, że żyjesz, żeś zdrowy. U nas też wszyscy zdrowi. Kartofli Ciapa nie pozwolił wykopać, ale nie głodujemy i opał też mamy. Buty Ci zamówimy. Pisz do nas jak tylko będziesz mógł.

Przesyłam Ci pozdrowienia od rodziny od dzieci.

Twoja stęskniona żona Ludwika

Takich grypsów było jeszcze kilka. Okazało się, że ten Stopniak miał kuzyna czy znajomego z Mogilek, który pracował jeszcze przed wojną jako strażnik na Zamku i teraz też tam pracuje, gdyż Niemcy po prostu uznali, że podobnie jak funkcjonariuszy Granatowej Policji można jedynie zaznajomić z nowymi regulaminami i przedwojenni mundurowi będą tak samo przydatni i teraz. I rzeczywiście, ci co mieli z dawnymi służbami dobry kontakt mogli tak samo jak przed wojną załatwić z nimi wszystko, co tylko chcieli. Ludwika była pewna, że ten Stopniak musiał ze Staśkiem być w konspiracji i dlatego im pomagał, a ten strażnik to po prostu przyzwoity człowiek. Były listy, były paczki. W grudniu udało się nawet dostarczyć Stanisławowi zamówione buty. Były piękne, z porządnej lakierowanej skóry wyłożone dodatkowo skórą z borsuka. Takie buty, jak zapewniał Lejbowicz - „będą służyć szanownemu Panu Stanisławowi długie lata, a jak mu się znudzą, to zawsze będzie mógł ich odsprzedać z zyskiem”.

Jak się później okazało gryps z Zamku dostał też Władysław, młodszy brat Stanisława. Władek miał już kontakt z jakąś grupą konspiracyjną, został nawet zaprzysiężony i otrzymał pseudonim. Przyszedł do niego kiedyś jakiś człowiek, powiedział, że wie, że na Zamku siedzi jego brat Stanisław i postara się znaleźć z nim kontakt, bo ma takie możliwości. I rzeczywiście po kilku dniach ten człowiek pokazał bibułkę ciasno zapisaną ołówkiem. Władek na pierwszy rzut oka wiedział, że pisał to jego brat Stach - „Szanowny Panie, proszę o doręczenie bratu nauczycielowi Czarnemu, z którym Pan już rozmawiał w poniedziałek. Gdyby to było możliwe prosiłbym o paczuszkę 25 gilz i 20 Sport. Pan będzie łaskaw porozumieć się z bratem, to on panu wynagrodzi. Proszę donieść bratu co nam potrzeba: jak najwięcej chleba i tłuszczu, trochę ubrań, czosnku, soli, mydła, miodu, kostki maggi, pocztówki. Paczki niech przywożą co wtorki każdego tygodnia. Dla Stacha mundur z czapką i jakiś przyodziewek, buty. Dla Marcela ciepłą bieliznę, skarpety, czapkę i walizkę tę małą. Ludwika nie potrzebuje. My czujemy się dobrze i zdrowi.

Fijewski 21.11”

Władek włączył się więc w organizowanie pomocy więźniom. Pojechał do Kopiny do bratowej. Okazało się, że buty już zostały zamówione.

Lublin – 24 grudnia 1940 r.

Święta Bożego Narodzenia muszą być uroczyste! Trzeba posprzątać, naszykować jedzenie, ustroić choinkę, przygotować wigilię, no i trzeba iść na Pasterkę. Zawsze ktoś przyjeżdżał na święta. Byli zwykle Władek – młodszy brat Staśka, Marysia – siostra z mężem Józefem, bywali też na wigiliu jej bracia Sylwin, Tadzik i Stasiak, była siostra Jasia i rodzice – i jej i jego. Czasami przyjeżdżał z Warszawy starszy brat Czesław z rodziną. Choinka zawsze była z lasu, przynosił ją Stasiak, ubierały dzieci z babcią, a ona pomagała. Miała kilka szklanych bombek – bardzo pięknych i one zawsze wieszane były jako pierwsze. Później jabłka, cukierki, włoskie orzechy pomalowane na srebrno i złoto, łańcuchy z kolorowego papieru i skręcanej bibułki, anielskie włosy z ciętego w wąskie paski celofanu i oczywiście imitacja śniegu na gałązkach wykonana z waty, no i świece w malutkich lichtarzykach. Na wigilię Ludwika przygotowywała to, co u niej w domu przygotowywała jej mama, a wcześniej pewnie i babcia i prababcia. Zawsze były solone śledzie z lnianym lub rzepakowym olejem, czerwony barszcz, który kisilo się kilka dni wcześniej, pierogi z grzybami, racuchy, kompot z suszonych owoców i kutia z ziaren pszenicy z miodem i orzechami. No i oczywiście opłatek,

który wypiekały zakonnice w Bezwoli, opłatki kupowało się od nich za „co łaska” w ostatnią niedzielę przed wigilią. Czasami były smażone rybki - jak udało się któremuś z mężczyzn złowić je w torfiankach lub w tak zwanym „kanale” czyli szeroko rozlanej części rzeczki Piwonii. Na same święta zawsze były przygotowywane wędliny, rosół z koguta z makaronem, bigos z ziemniakami i oczywiście ciasta, ciasteczka, które piekło się kilka dni wcześniej, w tym obowiązkowa, w zasadzie tylko w święta, słodka bułka w formie od chleba ale z pszennej mąki z dodatkiem masła i jaj. Taką bułkę jadło się zamiast chleba, nawet do wędlin.

W tym roku Ludwika zamierzała przygotować święta według tych samych zasad co zawsze, choć nieobecność Staśka była bardzo dojmująca. Już wiedziała, że z mięsem będzie krucho, trochę dostała od ojca, w komorze wisiały jeszcze jakieś resztki boczków i słoniny z dawnych czasów. Choinkę Mietek z lasu przyniósł, więc stanęła jak zwykle w alkierzu. Chleb i bułki upiekła, barszcz babcia też zrobiła. Było też masło i olej. Jakoś to będzie. W te święta będzie z nimi także Mietek Bożym, syn brata Czesława z Warszawy, więc chłopcy będą mieć towarzystwo do zabawy. Obliczyła czas w ten sposób, aby być ze wszystkim gotowa już na dwudziestego trzeciego grudnia.

Postanowiła w wigilię pojechać do Lublina i zawieźć mężowi paczkę. Włożyła więc do pudełka opłatki, kawałek kiełbasy, chleb, kilka bułek, osełkę masła, kawałek sera, dwie cebule. Do tego samego pudełka trafiły też skarpety, koszula i wełniany sweter. Nic się więcej nie zmieściło a i tak bała się, że paczka będzie za duża i na nią na Zamku nie zezwolą.

Nie było z kim pojechać, więc na stację do Milanowa poszła na piechotę. Paczkę włożyła dla wygody w dużą chustkę, którą zarzuciła sobie na plecy. W pociągu tłok i ścisk - weszła z trudem do jakiegoś przedziału, w którym było pewnie z dziesięć osób. Połowę drogi stała, później ludzie się trochę przemieścili, tak że mogła przysiąść się do ściśniętych ludzi na jednej z ławek. Ze stacji w Lublinie na Zamek łatwo było trafić. Było go już widać zaraz po wyjściu z dworca. Trzeba tylko przejść przez most na Bystrzycy i ulicą Zamojską dojść do katedry i zejść Podwalem do zatłoczonej i zwykle hałaśliwej, a dzisiaj jakby wymarłej, ulicy Szerokiej, stamtąd stromymi schodami trzeba było się wspiąć do bramy, postać w długiej kolejce aby zgłosić się do strażnika. Ten zawsze sprawdzał co było w paczce, sprawdzał też, czy więźnia nie ma na liście z zakazem paczek. Odbierał pudełko i tyle. O widzeniu się z więźniem nie było mowy. Tak też było i teraz.

Lublin był dla niej miejscem, w który nie czuła się dobrze. Nie miała tu znajomych, nie miała też potrzeby „spacerowania” po mieście. Zmęczona długim stanieniem w kolejce i zmarznięta poszła więc na stację najkrótszą znaną

sobie drogą w dół do Szerokiej, w lewo pod Bramą Gnojną, dalej Podwalem do Zamojskiej przez most na Bystrzycy do Dworcowej. Na dworcu tłumy, siadła gdzieś na skraju ławki i czekała na powrotny pociąg. Ostatni pociąg ze stacji Lublin odszedł około południa, gdzieś w kierunku Chełma. Godziny mijały, ludzi przybywało. Nie miała nic do jedzenia, woda była dostępna z pompy na pierwszym peronie. Jak tam poszła aby się napić, po powrocie nie miała już gdzie usiąść. Stała oparta o ścianę i odmawiała modlitwy. Noc zapadła, ludzie wpadli w jakiś letarg, było cicho, od czasu do czasu ktoś kaszłał. Około ósmej wyszedł jakiś klejarz i oznajmił głośno.

- Ludzie, idźcie do domu, dzisiaj już żadnego pociągu nie będzie - i poszedł.

- Jak to nie będzie...? Co my mamy teraz robić? - brak odpowiedzi...

Niewiele osób ruszyło się z miejsca. Większość, podobnie jak Ludwika, nie miało dokąd pójść, więc pozostali na dworcu. Nic im nie pozostawało jak tylko czekać na pociąg do skutku, niezależnie od tego kiedy miałby przyjść. Pogasły światła, w ciemności widoczne były tylko ogniki żarzących się gdzieś niedzie papierosów. Mimo chłodu narastał zaduch.

I nagle bożonarodzeniowy cud! Gdzieś około północy ktoś wszedł do poczekalni z latarką, poświecił po ludziach i wyszedł. Za kilka minut włączono światło i weszło dwóch ludzi, jeden w mundurze oficera niemieckiego, drugi w kolejarskim. Ten w niemieckim mundurze stanął na środku i głośno coś powiedział.

- Pan oficer powiedział, że w imieniu władz wydał zarządzenie, że pociągi mają być uruchomione i wysłane do wszystkich miejscowości, do których miały dzisiaj odejść. Pociągi będą podstawiane i będziecie ludzie informowani dokąd będą kierowane.

Pociąg do Łukowa, którym miała jechać Ludwika, został podstawiony około pierwszej w nocy. W Milanowie wysiadła przed trzecią, do domu dotarła przed czwartą. Domownicy nie spali, w ubraniach siedzieli w kuchni. Tylko Tadzio spał spokojnie na swoim miejscu. Starsi chłopcy przypadli do niej bardzo uradowani, widać było, że obaj płakali. Stół był nakryty, ale nikt nie tknął kartofli z olejem, które w tym roku było główną potrawą wigilijną.

- Chodźmy, przełamiemy się opłatkiem - powiedziała Ludwika, jak już się rozebrała z palta i zdjęła buty.

Kopina - 8 stycznia 1941 r.

Mroźne popołudnie, śniegu napadało tyle, że trzeba było brodzić po kolana. Mało kto wychodził z domu bez potrzeby. Stopniak tym razem przyjechał saniami zaprzęgniętymi w jednego konia. Przyjechał drogą od strony Cichostowa, nie dojechał do głównej drogi tylko skręcił na skróty za stodołami. Konia uwiązał przy słupku od bramy. Zanim wszedł do kuchni zdjął kozuch i powiesił w sieni na gwoździu. Buty wytupał dokładnie ze śniegu. Tym razem usiadł i nie odmówił zupy, którą w fajansowym talerzu postawiła przed nim babcia. Zanim zaczął jeść wyjął zza pazuchy złożoną kartkę i podał ją Ludwice. Kartka wyglądała na podartą, miała oddarty róg, jakby ktoś z jej części zrobił sobie skręta. Czytała głośno.

Dnia 7. Stycznia 1941 r.

Kochana żono Ludwiko!

Nie martw się o mnie, mi nie jest źle a nawet czuję się dobrze, wytrwam wszystko i wrócę szczęśliwie. Jadę z transportem prawdopodobnie do Rzeszy. Zawiadam, że jadą ze mną: Ostrowski, Wojciechowski, Bokiniec, Wójcika zięć, no i z Łukowa dużo ludzi, zawiadam pod adresem: Apteka M. Raczunas Łuków. Napiszę jeśli będzie można. Otrzymałem wszystko, buty, sweter i paczkę (...) z miodem. Zawiadomcie Ostrowską, Wojciechowską, niech będą spokojne. Gospodarzcie jak możecie, żadnych poleceń specjalnych nie daję. (...) Da Bóg, że wrócimy.

Żegnaj

Twój Stacho

Nie wszystko potrafiła odczytać. Róg został oderwany i część tekstu przepadła. Poza tym gryps był pisany jakąś niezatemperowaną niebieską kredką i z widocznym pośpiechem, niektóre słowa były nie do odczytania. Ale treść była aż nadto jasna. Stacha wywożono nie wiadomo dokąd, nie wiadomo na jak długo.

Milczeli.

- Co to znaczy, że z transportem do Rzeszy? - babcia nie wszystko zrozumiała.

- Do Rzeszy, czyli do Niemiec, pewnie do niewoli - wyjaśnił Stopniak, ale i on nie bardzo wiedział jak to rozumieć. Nikt nie wiedział, czy to dobra wiadomość czy zła? Czy w tej Rzeszy Staškowi będzie lepiej niż na Zamku? Ludwika wiedział jedno na pewno, że i ten nikły kontakt jaki mieli ze sobą dzięki Stopniakowi, teraz też się urwie.

- No, nic się nie poradzi, trzeba będzie teraz czekać na jakąś wiadomość. Listy chyba będzie można mu wysyłać?

Kopina - 15 marca 1941 r.

List przyszedł po kilku tygodniach z datą 2 marca 1941 roku. Zielonkawa koperta z nadrukowanym po niemiecku tekstem, czerwony znaczek z podobizną Hitlera za 12 fenigów. Wytarła ręce w fartuch i drżącymi rękami rozerwała kopertę. W środku żółtawa poliniowana kartka z nadrukami po niemiecku i pisany po niemiecku krótki tekst. Od razu wiedziała, że nie jest to ręka Staśka ale podpis dokonany innym atramentem na pewno był jego - *Fijewski Stanisław*

Listonosz przyglądał się zaciekawiony, pierwszy raz przyniósł komuś taki list.

- Trzeba to przetłumaczyć, kto może znać niemiecki?

- We dworze spytajcie, a jak nie to trzeba do Niemców w Cichostowie albo w Okalewie. Tu we wsi chyba nikt nie umie - poradził listonosz.

- Pan Olejniczak, mam, pan Olejniczak¹⁴ mówi po niemiecku.

- Skąd wiesz Mieciu.

- Bo jak byłem u nich, to on czytał jakieś niemieckie pismo i tłumaczył.

- Oj, to dobrze, to chodźmy do Olejniczaków, tylko trzeba coś dla nich wziąć.

Poszła, zabierając ze sobą kilka jajek, pół chleba i blaszany kubek śmietany, który ciasno przykryła pergaminowym papierem i owinęła ścińkiem zwiniętego w sznurek materiału w kwiatki, pozostałości po krojonej niedawno sukience szytej dla którejś z sąsiadek.

Olejniczakowie to była rodzina pochodząca z Krobi, która przysłała do Kopiny z falą uciekinierów na początku 40 roku. Wynajęli pustą domkę u Mościbrockich i tam zamieszkali. Tak się złożyło, że jeszcze przed aresztowaniem Stanisława ich rodziny się zaprzyjaźniły. Dzieci były w podobnym wieku, dziadek Wawrzyniec także miał towarzystwo w osobie swego rówieśnika dziadka Michała Olejniczaka. Rodziny często się odwiedzały, szczególnie dzieci przybiegały często do „kochanej pani Ludwiki”, gdyż ta zawsze je czymś częstowała. Najbardziej polubiły chleb polany śmietaną i posypyany cukrem. Wcześniej nie znały takich

¹⁴ Rodzina Olejniczaków trafiła do Kopiny w pod koniec 1940 r. Byli wojennymi uchodźcami z Krobi z Wielkopolski. Emilia Cierpiszewska z domu Olejniczak. Cierpiszewska E., *Wysiedleni, wspomnienia czasów wojny*.

specjałów, tak jak ich mama nie знаła zupy z brukwi, pierogów z marchwią, krupniku na mleku i innych lokalnych potraw.

Pani Olejniczakowa ucieszyła się na widok Ludwika z dziećmi, a najbardziej mała Emilka, której bardzo przypadło do gustu towarzystwo małego Tadzia. Dzieci natychmiast zajęły się sobą, Ludwika powiedziała z czym przyszła.

- Męża akurat nie ma w domu, ale jak wróci na pewno pomoże przetłumaczyć.

Po godzinie Ludwika uznała, że trzeba wrócić do domu, list zostawiła.

Wieczorem przyszła pani Olejniczakowa, przyniosła połowę kartki papieru listowego z napisanym ołówkiem po polsku tekstem. Zanim podała go Ludwice sama usiadła i odczytała głośno, później podała kartkę Ludwice a ta jeszcze raz przeczytała dokładnie to wszystko, co było na kartce:

Ja jestem zdrowy i czuję się dobrze. Ja jestem tutaj w łagrze. Pisz mi co słychać w domu. Ty sama do mnie pisz tylko w języku niemieckim. Czytaj rozporządzenie na kopercie. Przyślij mi 5 znaczków listowych po 12 fenigów. Ja zasyłam Tobie i całej rodzinie serdecznie pozdrowienia i całusy.

Poniżej pozioma kreska i tekst:

Każdy internowany może wysłać 2 listy albo 2 pocztówki, wysyłać i przysyłać listy dla niewolników muszą być pisane czytelnie atramentem. W liście wolno napisać 15 linii. Dozwolone jest tylko żeby koperta była normalnej wielkości. Koperta nie może być futrowana. W każdym liście można 5 znaczków po 12 fenigów dołączyć. Wszystko inne jest zakazane i podlega konfiskacie. Pocztówki mogą być pisane tylko 10 linii. Karty z widokami albo zdjęcia nie mogą być używane jako pocztówki. Wysyłka pieniędzy jest dozwolona. Przy wysyłaniu dokładny adres. Paczki nie służą być wysyłane, ponieważ w łagrach można wszystko kupić. Wniośki o zwolnienie kierowane do nich są bezcelowe, tak samo odwiedziny i rozmowa z jeńcem jest surowo wzbroniona.

Tyle! Tylko tyle! Ale wiadomo, że żyje! Można pisać listy! To była prawdziwa radość i nadzieja. Może rzeczywiście będzie wszystko dobrze, może go tylko gdzieś tam w tym łagrze potrzyają i w końcu puszczą, bo przecież co on złego komuś zrobił?

Odpisała jeszcze tego samego dnia wieczorem. Napisała jak bardzo się cieszy, że ma od niego wiadomość, że w domu wszyscy zdrowi, że gospodarzą i niczego im nie brakuje. Załączyła pozdrowienia, ucałowania od

całej rodziny. Policzyła linijki było ich 15 - tak jak w rozporządzeniu. Następnego dnia pan Olejniczak przetłumaczył tekst na niemiecki i dał jej przywiezione gdzieś z głębi Polski trzy czerwone, 12 - feningowe znaczki z Hitlerem. Włożyła je do koperty razem z listem, zakleiła. Adres napisał pan Olejniczak. Na pocztę do Milanowa został wysłany Mietek. I już - teraz znów trzeba będzie czekać.

- Ale niech tam - poczekam.

Następne tygodnie upływały w oczekiwaniu. Był niepokój, była tęsknota, ale była i nadzieja - wręcz pewność, że wszystko musi dobrze się skończyć, bo przecież jest jakaś sprawiedliwość na świecie, przecież Stasiak to dobry człowiek i modlitwy i jej i dzieci i babci muszą być wysłuchane.

Odczekała jakiś czas i napisała drugi list. Podobnie jak w poprzednim zapewniała go, że u nich wszystko dobrze, żeby się nie martwił, żeby dbał o siebie. Przesłała pozdrowienia od rodziny. Poinformowała, że wysłała mu pieniądze i nakazała, żeby sobie kupował, co tylko jest mu potrzebne.

I znowu czekanie. Zbliżała się Wielkanoc. Już jedne święta przeżyli bez Stanisława - nie były one radosne. Teraz zbliżał się Wielki Tydzień i trzeba było szykować święta. Miał przyjechać Władek, mieli być rodzice i rodzeństwo - sporo ludzi. Krzątania wypełniała czas i zajmowała myśli, ale przedłużające się oczekiwanie rodziło niepewność i niepokój.

Kopina - 11 kwietnia 1941 r.

W końcu jest list! - wysłany z datą 30 marca 1941 roku. Przyszedł akurat w Wielki Piątek. Napisany był jak zwykle po niemiecku na urzędowym blankiecie. Różnił się od poprzedniego tym, że w dwóch miejscach był pocięty nożyczkami. Na górze został wycięty cały fragment, a na dole prawdopodobnie jedno słowo. Olejniczak tym razem poproszony o przetłumaczenie przyszedł do Ludwiki i czytał poszczególne słowa po niemiecku i tłumaczył je na bieżąco na polski.

Kochana żono!

Ja jestem zdrowy i mam nadzieję, że Ty także. Twoje dwa listy otrzymałem. Myślę, czy w ostatnim liście były pieniądze, ale zgodnie z przepisami nie potrzebuję niczego. Napisz co u was nowego? Jak się ma gospodarstwo i jak życie tam- (dalej wycięte słowo) Najlepsze życzenia i ucałowania dla wszystkich moich

znajomych, najserdeczniejsze życzenia szczęścia. Z serca płynące pozdrowienia i ucałowania dla Ciebie, braci siostr i znajomych

Twój

Fijewski Stanisław

Obecni byli rodzice i chłopcy. Każdy brał list do ręki, każdy chciał choć poprzez dotknięcie kartki poczuć bliskość z ojcem, mężem, synem i każdy zauważył, że podpis pod listem złożony był drżącą ręką. Było widać, że osoba, która stawiała litery nie była w dobrej formie.

Nie były to wesołe święta. W rodzinie następna tragedia. Niemcy zabrali Tadzika – brata Ludwika.

- Tadzika zabrali? Dlaczego Tadzika? Dziwili się wszyscy. On taki towarzyski, król życia, który prowadził z powodzeniem rozliczne interesy, któremu się wszystko udawało, który miał tyle znajomości i takie powodzenie u kobiet? Sprawa szybko się wyjaśniła jak tylko skonfrontowano ze sobą kilka faktów. Pewnie Niemcy coś wiedzieli o tym, co robił Tadzik. Ten przecież też był w organizacji, miał rower, miał znajomości w różnych miejscowościach, więc wykorzystywany był do kontaktów z różnymi ludźmi. Dla niego nie było problemu przejechanie rowerem kilkudziesięciu kilometrów jednego dnia, nawet w środku zimy. Te jego eskapady nie mogły ujść uwagi różnym informatorom. Ale i tak Niemcy Tadzikiem nie za bardzo się interesowali, za to bardzo chcieli złapać Sylwina – drugiego brata Ludwika. Przyjeżdżali po niego kilka razy, tak jak wcześniej po Fijewskiego. Sylwin ukrywał się skutecznie nocując zawsze poza domem. Zdarzało się, że i u Ludwika. Tej nocy Sylwin nocował u Królów na drugim końcu wsi a u Ludwika spał Tadzik. Przyjechali wczesnym rankiem, spotkali na drodze sąsiada - Rokickiego, który siedł po coś z wielkim workiem do folwarku. Zatrzymali go, postraszyli i kazali się prowadzić pod adresy, które mieli spisane na kartce. Zanim się wieś zorientowała zabrali już ludzi z kilku domów. Rokicki przeprowadził ich w końcu i do domu Bożymów – rodziców Ludwika. Tam nie znaleźli Sylwina, więc Rokicki przyprowadził ich do Ludwika. Wpadli i jak zwykle od razu rozleźli się po domu. Ludwikę tylko spytali - Gdzie jest ten wasz brat, co u was śpi? Nie musieli długo szukać. Tadzika po prostu wyciągnęli z łóżka i go zabrali. Nie wiadomo, czy dlatego, że myśleli, że to Sylwin, czy po to aby im się sztuki zgadzały. Tak czy inaczej Tadzik powtórzył znaną już drogę: Najpierw do Radzyna, później na Zamek, w końcu do Auschwitz.

Jak tu o tym wszystkim napisać Staškowi? Jak mu napisać w 15 liniijkach o swojej tęsknocie, tęsknocie chłopców i rodziców, o zmartwieniach, o trudnościach, o narastającej biedzie, o niepokoju o niego i w końcu o aresz-

towaniu Tadzika? List napisała w Wielkanoc. Wieczorem jak już wszyscy po zjedzeniu skromnego świątecznego posiłku poszli spać, siadła przy lampie i na kuchennym stole napisała:

Kopina 14.IV.1941r.

Kochany mężu list Twój otrzymałam w wielki piątek, który wzniecił w moim sercu iskrę nadziei, że jeszcze żyjesz. Nie wyobrażasz jak mi ciężko jak nie mam wiadomości od Ciebie. Mieliśmy Wielkanoc bez męża kochanego. Siadając do stołu najedzona już byłam myślami o Tobie. Święta spędzamy sami, Władek nie przyjechał z powodu, że pociągi miały być wstrzymane. Tadeusz pojechał do brata do Radzyna i nie wrócił. Szukał tam wszędzie a Sylwina tam nie ma. Pogoda jest bardzo brzydka, wiatr i deszcz. Z domu nikt nie wychodzi, bo co dzień mrozi i wiatry. Gospodarka ta sama co i przy Tobie. Nie wiem jak dalej będzie, bo zarząd w folwarku się zmienił. Jak coś zbraknie, to się pożycz. Boga bez przerwy proszę o mojego męża. Jeśli możesz najmiej się na robotę jako stolarz i napisz czy moje pieniądze otrzymasz, bo ja już 3-ci raz wysyłam. Składam teraz serdeczne uściski i całusy zsyłam Ci żona dzieci i rodzice.

Odpowiedzi nie było. Nie było też i na inne pisane w następnych tygodniach. Było ciężko, coraz bardziej ciężko. Praca, praca od świtu do nocy, aby było co jeść, aby zdobyć cokolwiek, co jest potrzebne chociażby do minimum egzystencji. Sytuacja we wsi się pogorszyła z chwilą przejęcia folwarku przez zarząd niemiecki. Ciompa pozostał w nim, jako oficjalny zarządca, ale dostał do ochrony folwarku kilku żołnierzy ukraińskich. Ci chodzili po wsi z bronią, prawie zawsze pijani, zaczepiali ludzi, wymuszali haracze. Ludwika była zmuszona sprzedać jedną krowę, kupiła ją pani Grocholska, które mieszkała w dalszym ciągu we dworze, ale i ona klepała biedę. Kupiła krowę, aby mieć mleko na wyżywienie dzieci. Grocholski z kolegami wyjechał, ale ruch oporu nie zamarł, przeradzając się w regularną partyzantkę. Dowódcą miejscowego oddziału został Sylwin Bożym, brat Ludwiki. Do oddziału należało jeszcze kilku mężczyzn z sąsiedztwa, a także najmłodszy, 21-letni brat Ludwiki - Stanisław. Zaangażowanie braci dostarczało Ludwice dodatkowego lęku i zmartwień. Jak Tadeusz siedział na Zamku, to próbowała przez znajomego strażnika nawiązać z nim kontakt. W części się to udało, choć wymiana informacji nie była tak sprawna jak poprzednio. Listy do Oświęcimia pisała co kilka tygodni, mimo że nie miała odpowiedzi, to była pewna, że jej listy dochodzą, że Stasiak na nie czeka, że być może kilka słów z domu od kochającej żony podtrzymają go na duchu, że go wzmocnią...

Kopina 18.V.1941 r.

Kochany mężu! Czy nie odczuwasz tego z jaką tęsknotą czekam słowa od Ciebie? i nie mogę się doczekać, pisz tylko czy żyjesz, więcej nie wymagam. Z maja jeszcze listu od Ciebie nie otrzymałam, więc mi ciężko czekać ale muszę. Ja już do Ciebie wysłałam 6-ty list. Marysia też pisała i Wladek – czy otrzymałeś nie wiemy. Pieniądze wysyłam w dalszym ciągu. O ile możesz co kupić, to nie żałuj abyś tylko żył. Gospodarstwo moje prawie takie same, z folwarku dostaję połowę, dalej jak będzie nie wiem. List wysyłam z Lublina, bo jestem u Tadzika. Zdrowi jesteśmy wszyscy. Robimy co możemy.

Kończę przesyłam Ci pozdrowienia od całej rodziny, Gieni z Parczewa i siebie Sęskniona żona Ludwika

I jak poprzednio odpowiedzi nie było. Domyślała się więc, że jeśli nie ma odpowiedzi z Oświęcimia, to na pewno został przeniesiony gdzieś indziej i listy do niego nie docierają, a on nie ma możliwości, aby list wysłać. Postanowiła czekać, tym bardziej, że i kontakt z Tadzikiem także się urwał. On także przestał odpowiadać na listy.

- Pewnie im nie pozwalają pisać – domyślano się.

Ktoś jej poradził, aby napisała list do samego komendanta obozu. Napisała o swojej ciężkiej sytuacji, o tym, że za Stanisława ręką wszyscy ludzie ze wsi, a także Niemcy mieszkający w sąsiednich wsiach, że bardzo prosi, aby go z obozu zwolnić. Na to żadnej odpowiedzi też nie było.

Kiedy w marcu do Kl. Auschwitz trafił także Tadeusz, to pisała także do niego i jego pytała o męża. W jednym z nielicznych listów od Tadeusza dostała bardzo enigmatyczną jednozdaniową informację, że „Stasiek jest przeniesiony i jest szczęśliwy”. Zachodziła w głowę - co to mogło znaczyć. W końcu wszyscy doszli do wniosku, że trzeba tę informację potraktować jako optymistyczną, że jeśli został przeniesiony i jest szczęśliwy, to na pewno nie jest mu teraz gorzej niż przedtem. Ale listy pisała nadal, ciągle w nadziei, że kiedyś doczeka się odpowiedzi.

Lublin - 2 lipca 1941 r.

Tym razem do dworu poproszono Ludwikę. Przyjęła ją hrabina Grocholska. Kazała siadać, zaproponowała herbatę. Wypytywała jak sobie radzi, jak dzieci, czy ma jakieś wiadomości od męża. W końcu powiedziała o tym, co zamierzała, że w szpitalu na ulicy Staszica w Lublinie leży ksiądz Seweryn Czetwertyński. Do szpitala został przewieziony bezpośrednio z Oświęcimia,

że jest tam z nim Maria Józefa Grocholska z Planty i Stanisław – jego bratanek.

- Powiem wam w zaufaniu, że księcia z Oświęcimia udało się wyostać dzięki kontaktom naszej rodziny z hrabią Ciano, który jest ministrem spraw zagranicznych Włoch u Mussoliniego. Ciano napisał list do samego Hitlera i ten nakazał komendantowi z Oświęcimia przewieźć chorego księcia Seweryna do szpitala.

- Radzę, pojedźcie Ludwiko do Lublina i postarajcie się spotkać z księciem, wypytajcie go o Oświęcim, może będzie coś wiedział o waszym mężu. On tam leży pod strażą, ale strzegą go na zmianę polscy policjanci. Oni dobrze traktują księcia i w niczym nie przeszkadzają. Księżę zna tamtejszą policję i oni go znają. Przed wojną jeden z nich bardzo pomógł księciu załatwić ważną dla niego sprawę. Pewnie was spytają, kim jesteście i po co przyjechaliście, to powiedzcie, że ja was wysłałam ze dworu i macie do przekazania coś bardzo ważnego, co może usłyszeć tylko sam księżę.

Ludwikę ta wiadomość bardzo ucieszyła. Księcia Seweryna owszem znała, chociaż nigdy z nim nie rozmawiała. Bardzo dobrze pamiętała jego ojca Włodzimierza, który czasami przyjeżdżał do Kopiny. Lubił się spotykać z dziećmi i dbał o ich patriotyczne wychowanie. Wyrzcił życzenie, aby dzieci chodzące do miejscowej szkoły uczyły się patriotycznych pieśni. Jak przyjeżdżał do Kopiny, to dzieci zawsze go witały śpiewając „O mój rozmarynie”. Ludwika, choć była pewna, że księżę Seweryn jej nie zna, to coś przeczuwała, że zechce teraz się z nią spotkać i na pewno powie jej coś ważnego o Stašku i o Tadziku, przecież w tym obozie mogli się spotykać. Może nawet któryś z nich, wiedząc, że księżę Seweryn wychodzi, mógł poprosić księcia o przekazanie Ludwice jakiś ważnych wiadomości. Tak sobie myślała szykując się do wyjazdu. Uznała, że powinna coś zawieźć księciu. Nie wiedziała co.

- Masła, masła mu zawieź – poradziła babcia Aniela.

- Narobiłaś przecież takiego dobrego masła. Na pewno się księżę ucieszą.

Wzięła więc oselkę masła, butelkę mleka, chleb i pojechała rannym pociągiem. W Lublinie była przed południem. Nie bardzo wiedziała gdzie jest ten szpital, ale wypytała ludzi i jakoś trafiła. Duży, stary budynek, tuż obok kościoła. Ludwika słyszała, że kiedyś był tu klasztor. W bramie za oszklonymi drzwiami siedział portier w mundurze. Nie wiedział, albo nie chciało mu się szukać, gdzie tu leży Seweryn Czterwertyński, ale jak usłyszał, że chodzi o więźnia z Oświęcimia, to od razu wiedział, o kogo chodzi i dokładnie wytłumaczył Ludwice jak do niego trafić.

- Tylko uważajcie, tam siedzi policjant, nie wiadomo czy was wpuści.

Jednych wpuszcza innych nie.

Ludwika poszła długim korytarzem, mijając kolejne drzwi w grubych murach, potem schodami na piętro, zanim znalazła salę ze wskazanym numerem wiedziała, że to tam, bo na krześle przy ścianie siedział zwalisty policjant w granatowym mundurze. Popatrzył na nią groźnie i oznajmił krótko - tutaj nie wolno.

- Panie policjancie ja wiem, że macie rozkaz nikogo nie wpuszczać, ale ja muszę spotkać się z księciem Czetwertyńskim, bo mam pilną wiadomość od jego córki, która nie mogła przyjechać, bo musi zajmować się dziećmi. Ja jestem tu w innej sprawie i tylko przy okazji zaszłam do szpitala, aby przekazać wiadomość. Wpuście mnie panie policjancie, nie będę długo.

- Poczekajcie chwilę – powiedział policjant - jak się nazywacie, macie jakiś dokument? Podała mu kenkartę.

- Fijewska Ludwika, tak?

- Tak.

- Poczekajcie – wstał z krzesła i nie pukając wszedł do sali obok.

Wrócił po chwili, oddał jej dokument i powiedział, że może wejść.

- Tylko nikomu się nie chwalcie, że was wpuściłem. Macie piętnaście minut.

Zapukała i weszła. Nie czuła się pewnie, nie miała przecież zbyt wielu okazji do kontaktów z arystokratami, ale wiedziała, że od tego spotkania może dużo zależeć i ta świadomość dodawała jej odwagi.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała.

- Na wieki wieków – odpowiedzieli księżę i młoda kobieta siedząca przy łóżku. Domyśliła się, że to ta hrabina z Planty, którą także aresztowali razem z księciem. Na drugim łóżku w cywilnym ubraniu siedział młody człowiek, którego nie знаła.

Seweryna widziała wielokrotnie, ale człowieka, który leżał w łóżku nigdy by nie poznała. Zapamiętała go jako dość postawnego mężczyznę o okrągłej twarzy, nieco jowialnego, a ten w łóżku był stary, o wychudzonej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, z zapadniętymi oczami i pergaminową skórą na лыsej czaszce.

- Wielmożni państwo, hrabina Grocholska przesyła pozdrowienia i powiedziała, że się całą rodziną modlą o zdrowie dla księcia pana. Tu, przyniosłam dla państwa trochę jedzenia z naszej wsi, o tu masło, chleb, mleko – postawiła koszyk przy łóżku.

- Hrabina powiedziała, że mogę wielmożnego pana wypytać o mego męża Stanisława Fijewskiego, który jest także w Oświęcimiu.

- Stanisław Fijewski to ten, który pracuje w majątku Włodzimierza w Kopinie?

- Tak, wielmożny panie, jego zabrali z Zamku do obozu w styczniu. On pisał początkowo listy, ale teraz przestał, może wielmożny książę go tam spotkał?

- Nie, nie spotkałem... Wy sobie nie możecie wyobrazić jak tam jest. Tam się jest zupełnie kimś innym niż się było poza obozem. Nawet jakbyśmy się spotkali, to pewnie byśmy się nie poznali... Nie, nie widziałem waszego męża i nic o nim nie wiem.

- A mojego brata Tadeusza Bożyma, może jego spotkaliście, on także jest z Kopiny i też zabrali go do Oświęcimia z Zamku?

- Tadeusza Bożyma znam, jechaliśmy do Oświęcimia jednym transportem, to bardzo zaradny człowiek. On nie da sobie zrobić krzywdy. Zna niemiecki, poradzi sobie.

- Wielmożny panie, wy macie znajomości, wy jesteście wielki człowiek, was znają na świecie, wstawcie się za moim mężem, niech go wypuszczą, tak jak was wypuścili. On jest niewinny, on niczego złego nigdy nikomu nie zrobił. Wstawcie się za nim, to dobry człowiek, my mamy dzieci na wychowaniu. Nie mamy dużo ziemi, jak on nie będzie pracował, to zginiemy. Błagam was wielmożny panie - powtarzała.

- Czy wy nie widzicie, w jakim ja położeniu jestem? Ja też jestem więźniem, ja nawet nie wiem, co będzie z nami... Ale spytam, spytam kogoś, co z waszym mężem, to mogę obiecać, ale za rezultat nie ręczę. Dziękujemy wam za podarunek. My mamy dużo cukru, dajcie tę serwetkę, którą macie w koszyku, to wam nasypiemy.

- Marjózii - zwrócił się do córki - nasyp proszę cukru... Jak wy macie na imię...?

- Ludwika, wielmożny panie.

- Nasyp cukru Ludwice, niech zawiezie dzieciom. Tyle na razie możemy dla was teraz zrobić. Bądźcie zdrowa... i pomódlcie się za nas czasem także...

- Panie, jest jeszcze jedna sprawa. Nasz rządca Ciompa nie chce wydać nam z majątku zarobionej gotowizny, nie daje siana, nawet słomy. Mamy nieodebrane jeszcze drewno opałowe. Mieliśmy dostać drewno na budowę stodoły, nie pozwalał nam na wykopanie kartofli na jesieni, utrudnia nam życie jak może, nie wiemy co robić. Błagam wielmożnego pana niech pan sprawi, żeby rządca nas nie gnębił, my i tak mamy ciężko.

- Droga Ludwiko, widzicie w jakim położeniu jesteśmy, my już nic nie możemy. Jedno mogę wam powiedzieć - przez niego cierpi i cała moja rodzina. Można powiedzieć, że bestię wychowałem i wykształciłem, ale ja już nic

nie pomogę, nic nie poradzę... Wracajcie szczęśliwie do domu i bądźcie dobrej myśli. Niech Bóg wam błogosławi, bądźcie zdrowa...

Parczew - 15 sierpnia 1941 r.

Dzisiaj jest święto Matki Boskiej Zielnej. Dla Ludwiki ten dzień od dzieciństwa był zawsze wielkim świętem. Data ta w Polsce nabrała dodatkowego znaczenia po 1920 roku, kiedy to właśnie 15 sierpnia Polacy odparli najazd sowieckiej Rosji na Polskę. Zwycięstwo to okrzyknięto „Cudem nad Wisłą” i Polacy byli pewni, że zwycięstwo zawdzięczają Matce Boskiej, za której wstawiennictwem armia polska dokonała wydawałoby się niemożliwego. Pokonała o wiele liczniejszą i lepiej uzbrojoną armię rosyjską. Wiara w interwencję Matki Boskiej była tak wielka, że nawet znalazło się wielu świadków, którzy twierdzili, że widzieli w czasie bitwy nad rosyjskimi wojskami Matkę Boską w jasności, który to widok tak bardzo przeraził Rosjan, że nie potrafili skutecznie walczyć i w końcu uciekli w popłochu. W tym roku Ludwika czekała na święto Matki Boskiej niecierpliwie. Pomyślała sobie, że w tym dniu, oprócz normalnego uczestnictwa we mszy świętej, będą się wszyscy modlić w intencji powrotu Stanisława do domu szczególnie gorliwie.

- Tylko Matka Boska może nam pomóc - powtarzała.

- Matka Boska nie odmówi, bo jak ktoś szczerze i gorąco ją prosi, to ona nigdy nie odmawia pomocy. Musimy tylko bardzo mocno się modlić.

Wcześniej posprzątała dom, ugotowała rosół, przygotowała odświętne ubrania dla siebie i chłopców. Sama ubrała się w najlepszą brązową sukienkę z białym koronkowym kołnierzem, który spięła mosiężną broszką z dużym fioletowym szkiełkiem - wyglądającym jak ametyst, ciemne włosy zaczesła do tyłu z przedziałkiem po środku, spleciony z tyłu warkocz upięła w kok, nałożyła ciemne pończochy i brązowe pantofelki. Obejrzała się w lustrze. Wyglądała elegancko, choć dopiero teraz zdała sobie sprawę jak bardzo ostatnio wyszczupiała. Nigdy jeszcze jej twarz nie była też taka blada, jakby w to lato słońce zupełnie jej nie dostrzegało. Mietkowi kazała założyć garniturek, który ostatnio mu uszyła korzystając ze wzoru zaobserwowanego u synów hrabiny Grocholskiej - spodnie pumpy, do tego jednorzędowa marynarka z szerokimi klapami. Do białej koszuli poleciła założyć krawat ojca. Kłopot był z węzłem, ale pomógł brat Ludwiki - Stasiak, który nauczył się już tej sztuki. Niestety, nie miała dla Mietka pantofli, ale i jego trzewiki, które nosił na każdą okazję, po dokładnym wyczyszczeniu porządnie wyglądały i pasowały do spodni. Tadzia tylko nie bardzo miała w co elegancko ubrać. Ubrała go w białą koszul-

kę z krótkimi rękawkami i białe krótkie spodenki na szelkach, do tego pantofelki i białe skarpetki. Obaj chłopcy byli, według aktualnej wojennej mody ostrzyżeni na zero. Moda upowszechniła się na polskich wsiach, także z tego powodu, że chroniła przed powszechnymi wszami, a one – ludzie już to wiedzieli – były bardzo niebezpieczne, gdyż roznosiły tyfus.

Uprosiła ojca, aby pozwolił bratu zaprząć konia do furmanki i tą furmanką pojechać najpierw do Milanowa do kościoła na poranną mszę, a później bezpośrednio po mszy pojechać do Parczewa i tam w zakładzie fotograficznym u Hemzaczków przy ulicy Kościelnej zrobić zdjęcie. Pomyślała, że to zdjęcie dołączy do listu do męża, który miała już przygotowany. W liście, podobnie jak w poprzednich, napisała, żeby się o nich nie martwił, żeby uważał na siebie, że bardzo tęsknią i pozdrawiają. Stasiek o zdjęcie nie prosił, co więcej nie dostała od niego żadnej wiadomości już od wielu miesięcy, ale była pewna, że żyje i że być może to zdjęcie jakoś do niego dotrze i sprawi mu trochę radości. Niech zobaczy jak teraz wyglądamy. Może mu nasze wizerunki umilą pobyt tam gdzie jest. Co prawda pamiętała, że nie wolno wysyłać pocztówek wykonanych ze zdjęć, ale może takie dołączone do listu zdjęcie pozwoli mu zachować... Powiedziała w zakładzie o co chodzi, fotograf bardzo się postarał, starannie ich ustawił na tle namalowanego pejzażu ze skłębionymi chmurami. Ona siedziała na krześle, po jej prawej stronie Mietek, po lewej mocno przejęty Tadzio, który spontanicznie włożył jej rączkę pod pachę. Gest nie był zaplanowany, ale spodobał się fotografowi i tak zostali sfotografowani. Fotograf wyjątkowo zgodził się zrobić odbitki od ręki. Powiedział, żeby przyszli za pół godziny, to będą gotowe - i były. Była zadowolona – wszyscy wyszli bardzo ładnie, patrzyli prosto w obiektyw bez uśmiechu. Ale było widać, że wszyscy są zadbani, że dobrze się mają. Stacho nie będzie się martwił, że jest im źle.

Milanów - 17 września 1941 r.

Lato minęło, rozpoczął się rok szkolny. Mietek chodził codziennie do szkoły w Milanowie. Wstawał razem z mamą o piątej, pomagał jej trochę przy gospodarstwie i przed siódmą był już w drodze. Do przejścia miał pięć kilometrów, jak była pogoda wystarczała godzina, w zimie musiał rezerwować na pokonanie drogi do szkoły minimum półtorej godziny. Naprzeciwko szkoły była poczta, więc do jego obowiązków należało wysyłanie listów, kupowanie znaczków i załatwianie innych spraw, które zwykle załatwia się w tym urzędzie.

Tego dnia zaraz po lekcjach poszedł do urzędu, bo trzeba było kupić

koperty i znaczki. Stał z boku i czekał, aż urzędniczka skończy rozmowę przez telefon, którą prowadziła z wyraźnym ożywieniem i podniesionym głosem. Mietek domyślił się, że rozmawia z kimś, kogo bardzo słabo słyszała albo ten ktoś słabo mówił po polsku. Powtarzała wielokrotnie te same słowa i próbowała zapisać jakiś dyktowany jej tekst. Denerwowała się nie mogąc zrozumieć, o co chodzi.

- Auszvic, Auszvic – powtarzała,

- Kto? - proszę powtórzyć - Fiski? Fiszki? Tutaj nie ma nikogo, kto by się tak nazywał!

Gdzie? ... A, Kopina! - w końcu zrozumiała skąd był ten, o którego chodziło.

- O, ty jesteś z Kopiny - zauważyła Mietka. - Powiedz, kto z Kopiny jest w Auszvic - w Oświęcimiu? - to też już rozumiała.

- Mój tata jest w Oświęcimiu i on nazywa się Fijewski.

Urzędniczka popatrzyła na Mietka przeciągle i na chwilę zamilkła.

- Fijewski? - powiedziała do słuchawki po dłuższej przerwie. - Czy chodzi o nazwisko Fijewski?

Już nic nie mówiła, tylko na kartce zapisywała zrozumianą już w pełni wiadomość. Odłożyła ołówek i skinęła na Mietka. Podszedł do okienka. Nic nie mówiła, nie podawała mu kartki, on także nie powiedział po co przyszedł. W końcu spytała.

- Czy twój ojciec nazywał się Fijewski, imię - Stanisław?

- Tak.

- To weź tę kartkę i zanieś do domu. Kto jest w domu?

- Mama, babcia, dziadek...

- To dobrze, zanieś tę kartkę do domu i daj komuś dorosłemu.

- Zaniesiesz, nie zgubisz? - upewniła się.

- Nie, nie zgubię - zapewnił.

Podala mu kartkę, a on dopiero teraz przypomniał sobie o kopertach i znaczkach. Dała mu je, chciał płacić, ale powiedziała - dzisiaj nie płacisz. Idź do domu i przekaz tę kartkę mamie.

Mietek wyszedł czując, że wydarzyło się coś bardzo ważnego i bardzo strasznego zarazem. Rozłożył na pół złożoną kartkę i przeczytał: „Dnia 17 września 1941 r. umarł na atak serca więzień Fijewski Stanisław urodzony w Antoninie w 1905 roku syn Wawrzyńca i Anieli z Łopackich”.

Przeczytał to zdanie kilka razy. Pismo było równe i wyraźne, nie było pomyłki.

- Umarł Fijewski Stanisław... Z Kopiny?... innego nie było...

- Jak to umarł? Na atak serca?

I od razu gorączkowa myśl - Jak ja mam to powiedzieć w domu?

Nie pamiętał ani metra przebytej drogi z Milanowa do domu. Zatrzymał się przed furtką i postanowił - Nie, nie pokażę im tej kartki! Oni tego nie wytrzymają. To pewnie nie jest prawda. Trzeba tylko trochę poczekać i się wyjaśni, to na pewno pomyłka. - Tak myślał, ale tylko przez chwilę. W końcu wszedł do domu. W kuchni byli wszyscy, bo pora była obiadowa. Podeszedł do stołu i położył na nim wszystko, co przyniósł z poczty. Ludwika spojrzała i od razu zauważyła złożoną kartkę.

- Co to jest? - zapytała. - Co to za kartkę przyniosłeś.

Nie odezwał się, stał ze spuszczoną głową jakby coś przeszkrobał.

Wzięła kartkę i przeczytała cicho. Usiadła, kartkę położyła na kolanach, po chwili ponownie podniosła kartkę do oczu.

- No mów! Co tam napisane? - dopytywała się babcia zaniepokojona wyrazem twarzy synowej.

Nie dopowiedziała, tylko zapytała, Mietka skąd to ma.

- Dali mi na poczcie, powiedzieli żebym zaniósł do domu.

- Na poczcie? Na poczcie ci dali? Taką kartkę?

- Ktoś dzwonił na pocztę i urzędniczka zapisała na kartce i kazała zanieść do domu... - Mówił to tak jakby się usprawiedliwiał.

- No mówże wreszcie! Co tam jest? - babcia się już zdenerwowała.

- Napisali, że Stasiak umarł na atak serca - powiedział to tak, jakby powtarzała jakąś bzdurę, jakby Mietkowi ktoś dał tę kartkę po to, aby z nich sobie zażartować.

- Napisali, że Stasiak umarł? - upewniła się babcia - Gdzie umarł?

- W obozie, mamoo...

Dziadek wziął kartkę do ręki i długo na nią patrzył. Odłożył ją w końcu na stół i powiedział:

- Tak napisali, żebyście pomyślały, że to prawda, żebyście dały im spokój i nie pisały tylu listów. Mówię wam - Stasiak żyje i dobrze się ma, ja to czuję.

- Dajcie jeść, kobity.

Stanisław już się nie odezwał, po kilku miesiącach od telegramu Ludwika dostała z Oświęcimia list z potwierdzeniem śmierci męża i pytaniem, czy życzy sobie, aby przysłano jego prochy. Odpisała, że nie. Dla niej Stach nadal żył i wierzyła w to głęboko, że w końcu się odezwie. Pamiętała opowieści swego dziadka o wywiezionych na Sybir, o których rodziny dowiadywały się czasami dopiero po kilku, a nawet i kilkunastu latach. Utwierdziła w takim przekonaniu i resztę rodziny, nie celebrowano więc śmierci Stanisława, nie modlono się za jego duszę..., ale czekano z nadzieją...

Kopina - 15 listopada 1941 r.

Oj! Nie był łatwy rok dla rodziny. Los jakby się na nich wziął, trudy życia się tylko potęgowały. W końcu stało się i to - zmarła Marianna Bożymowa - matka Ludwiki.

Po klęsce Rosjan w wojnie czerwcowej 1941 roku Niemcy wzięli do niewoli setki tysięcy sowieckich jeńców. Trzymali ich w dziesiątkach obozów, które tworzone były naprędce, najczęściej w szczerym polu - ot, po prostu kilka hektarów pola lub łąki ogrodzonych drutem kolczastym bez żadnej infrastruktury, zwykle bez żadnego budynku. Stłoczeni tam jeńcy byli pozabawieni dosłownie wszystkiego. Nic więc dziwnego, że bez jakichkolwiek warunków do zachowania choćby minimum higieny atakowani byli przez wszy, pchły i inne robactwo - zaczęli masowo chorować na tyfus. Niemcy strasznie bali się tyfusu i takie zarażone obozy praktycznie porzucali, pozostawiając zgromadzonych tam żołnierzy na pastwę losu. Jeden z takich obozów został utworzony na Wymyśle w Bezwoli. Zgromadzono tam kilka tysięcy ludzi, którzy siedzieli i leżeli na gołej ziemi przez całe miesiące. Nie pozostało tam nawet jedno źdźbło trawy, zostało po prostu zjedzone. I tam dotarł wkrótce tyfus. Być może Niemcy zrobili to celowo, być może jeńcom udało się zorganizować udaną ucieczkę, tak czy inaczej nagle w okolicznych wioskach pojawili się setkami wychudzeni, brudni, zawszeni, chorzy ludzie w rosyjskich szynelach. Wielu takich trafiło też do Kopiny, ludzie się litowali, dawali im jeść, pozwalali na spanie w obejściu. Rosjanie poszli dalej, pozostały wszy i wybuchła epidemia tyfusu. Matka Ludwiki zaangażowała się w pomoc chorym sąsiadom i była pierwszą we wsi, która zmarła na tą straszną chorobę. Nikt się tego nie spodziewał. Babcia była w pełni sił, miała dopiero 64 lata. Jej śmierć była szokiem dla rodziny, ale i dla całej okolicy. Przekonano się, że choroba naprawdę jest groźna. Pogrzeb nie był uroczysty, w obrzędach uczestniczyli tylko najbliżsi i kilkunastu sąsiadów. Niemcy zniknęli w tym czasie całkiem z okolicy, władzę we wsi przejął ruch oporu i za ich sprawą utworzono we dworze prawdziwy szpital. Zwożono tam chorych z okolicy, opiekę nad nimi sprawowali doktor Sobański i pielęgniarka Franciszka Szepietowska z Milanowa. Wieś w tym czasie została odcięta od świata. Na drogach stały patrole, których zadaniem było niewpuszczanie nikogo na teren wsi. Wszędzie na ścianach budynków wisiały powiadomienia o zakazie opuszczania wsi i instrukcje, co robić jak ktoś zachoruje. Ludzi zmarło sporo, ale o wiele mniej niż można się było spodziewać. Pomogła dyscyplina i fachowa pomoc doktora... i pielęgniarki Szepietowskiej. Ludwi-

ka z babcią Anielą także mocno zaangażowały się w pomoc chorym. Chodziły po domach, pielęgnowały chorych, dzieliły się jedzeniem. Żadna z nich nie zachorowała, podobnie jak nikt inny z rodziny, poza babcią Marianną. Udało się nawet Władkowi, który na wieść o kłopotach we wsi przyjechał do Kopiny. Oczywiście został zatrzymany na drodze z Milanowa i kazano mu zawrócić, ale się nie posłuchał, po kilkuset metrach wszedł do lasu i lasem, później łąkami od strony Cichostowa, przyszedł do domu. Przesiedział w domu kilka dni i zorientowawszy się, że jego pomoc nie jest niezbędna, tą samą drogą przez łąki i lasy poszedł na stację i wrócił do Lublina.

Nadal nie było żadnej wieści o Stanisławie, natomiast było wiadomo, że Tadzikowi początkowo udawało się jakoś przeżyć w Oświęcimiu. Praca w garbarni w normalnych warunkach uważana za bardzo ciężką i niebezpieczną, w obozie dawała nadzieję na lepsze jedzenie i odrobinę lepsze traktowanie. Ale jakoś pod koniec tego okropnego roku do Bożymów przyszedł list, którego treść ludzie już znali, że Tadeusz Bożym zmarł na atak serca w Kl. Auschwitz.¹⁵ Ulubiony dziadek Mietka - ojciec Ludwika Stanisław Bożym - na wieść o śmierci ukochanego syna dostał wylewu - jak się wtedy mówiło apopleksji - przez tydzień leżał sparaliżowany, nikt nie potrafił mu pomóc, więc dziadek umarł. Znowu żałoba i żałobne uroczystości, ale i żmartwienie, co dalej z gospodarstwem Bożymów, co z ziemią, która dotychczas skutecznie żywiła całą liczną rodzinę?

W tym czasie ważną postacią w ruchu oporu stał się Sylwin Bożym. Przejął obowiązki Stanisława Fijewskiego zaraz po wyjeździe Grocholskiego. Ten formalnie rozwiązał organizację „Brochwicz”, wszystkie dokumenty zostały zamknięte w trzech butelkach, zalakowane i zakopane w parku przy dworze w Kopinie. Organizacja została wcielona w struktury Związku Walki Zbrojnej, której dowódcą na tym terenie był major Miller z Kąkolewnicy. Sylwin dowodził oddziałem kilkunastu ludzi z Kopiny i Planty. Zgromadzili trochę broni, którą poukrywali w różnych miejscach, od czasu do czasu stawiali się na wezwanie Millera i brali udział w kilku akcjach. Niemcy mimo starań nie złapali żadnego z nich. Nauka z pierwszych miesięcy działalności nauczyła ich ostrożności.

W folwarku rządził Ciompa, dostał do ochrony trzech Ukraińców z SS Galicien. Ci rozpanoszyli się we wsi, chodzili wszędzie z bronią, pijani zaczepiali ludzi, wymuszali haracze. Miała i Ludwika przejście z jednym z nich. Pożyczyła od ojca furmankę i pojechała z Mietkiem na pole w Zabłociu, aby

¹⁵ Według jednej z informacji, która jakimś sposobem przedostała się z Kl. Auschwitz, Tadeusz zginął w dziesiątkowaniu więźniów pochodzących z Lubelszczyzny po jakiejś szczególnie udanej akcji partyzantów na Lubelszczyźnie.

wykopać posadzone tam kartofle. Tuż za zakrętem w środku wsi na drodze wyszedł jeden tych Ukraińców z zamiarem zatrzymania furmanki. Ludwika zauważyła, że ten ledwie trzyma się na nogach i kazała Mietkowi jechać dalej. Więc ominęli go i mimo jego krzyków i przekleństw pojechali dalej. Na piechotę nie miał szans ich dopędzić, ale traf chciał, że w tym momencie ktoś nadjechał inną furmanką zaprzęgniętą w parę koni. Tego chłopca już Ukrainiec zatrzymał skutecznie, włożył mu na wóz wyjął bagnet, przyłożył mu do szyi i kazał ich gonić. Dogonili na drodze do Zabłocia. Chłop widząc, co się święci z daleka krzyknął: – Uciekajcie w łąki, on was nie dogoni. Mietek zjechał z drogi i po przejechaniu kilkunastu metrów po łące oboje zeskoczyli z wozu i pobiegli przed siebie. Ukrainiec spróbował ich gonić na piechotę, ale szybko zrezygnował, w tym czasie chłop odjechał, więc ten wgramolił się na wóz Ludwiki, zawrócił konia i pojechał z powrotem do wsi, tam nie bardzo wiedział, co robić dalej, więc porzucił zaprzęg na drodze i gdzieś poszedł. Ludwika z Mietkiem przyszli łąkami do wsi i już przez nikogo nie niepokojeni odzyskali wóz.

„Rządy” Ukraińców szybko znudziły się wsi. Któregoś dnia dwóch z nich jak zwykle „patrowało” wieś idąc środkiem drogi i zaczepiając napotkanych ludzi. Trzeci został w ich kwaterze, którą był ten sam pokój nad garażem, który wcześniej zajmowali „Kola”, „Tatuńcio” i Edzio. Koło chałupy Kudłów, tuż przy sadzie dziadka Bożyma, napotkali Antka Kudłę, podkomendnego Sylwina. Zatrzymali go i zaczęli rewidować. Niczego nie znaleźli, ale i tak zażądali okupu. Antek, o dziwo, zaprosił ich do swego domu. Weszli do środka, tam za stołem siedziało czterech mężczyzn i pili alkohol. Ukraińcy nie kazali się długo prosić i przyjęli poczęstunek. Szybko się zorientowali, że coś jest nie tak z tym alkoholem, bo od razu po wypiciu źle się poczuli i jeden z nich padł na podłogę. Drugi – wielki chłop, zerwał się z krzesła sięgając po broń. Nie miał większych szans z czterema, ale zdołał się im jakoś wyrwać i dopadł drzwi. Za drzwiami, oparta o nie plecami, stała Katarzyna, żona Antka i z całej siły je trzymała. Mimo to została odepchnięta z wielką siłą aż się zatoczyła. Ukrainiec znalazł się na progu, ale w tym momencie został wciągnięty do środka i drzwi się zatrzasnęły. Przez chwilę słychać było szamotaninę i wrzaski Ukraińca. Po chwili wszystko ucichło. Po kilku minutach wyszedł pierwszy z mężczyzn, później następny i następny. Ukraińcy nie wychodzili. Po godzinie w folwarku rozległy się strzały – nikt nie zareagował. W nocy Sylwin zaprzęgnął konia, wrzucił na wóz pług i pojechał w pole... Niemcy przyjechali do folwarku dopiero następnego dnia. Znaleźli zastrzelonego Ukraińca. Od świadków usłyszeli, że Ukraińcy poprzedniego wieczora się pokłócili, gdyż dwaj z nich chciało uciec i przyłą-

czyć się do bandy w lesie, ten trzeci nie chciał, więc go zastrzelili, zabrali broń i uciekli. Niemcy pokiwali głowami, tego zabitego zabrali i pojechali. Następnym „strażników” do folwarku już nie przysłali.

Mietkowi przybyło obowiązków - przez Sylwina i innych partyzantów zaczął być traktowany jak łącznik. Posyłany był w różne miejsca, a to po to, aby przekazać jakąś wiadomość, a to aby coś przenieść. Tak też było i tego dnia. Sylwin pojawił się w folwarku i wziął się za naprawę gontów na jednym z czworaków. Kazał zawołać Mietka, aby podawał mu te gonty. Jednak po chwili okazało się, że ma dla niego inne zadanie.

- Weźmiesz rower i pojedziesz do Okalewa, tam znajdziesz Antoniego Janiaka i powiesz mu, żeby jak najprędzej się do mnie zgłosił. Powiedz mu, że sprawa jest najwyższej wagi i żeby we własnym interesie nie zwlekał. Ma najwyżej dwa dni. On będzie wiedział jak mnie znaleźć.

Mietek pojechał. Znalazł Janiaka w lesie przy wyrębie. Janiak jeśli się przejął, to nie dał poznać po sobie. Znał Mietka, wiedział, że jest synem Stanisława, wiedział też kim teraz jest Sylwin Bożym i że nie ma co Mietka pytać o co chodzi.

- Powiedz wujkowi, że przyjadę dzisiaj przed wieczorem i że będę u Królów. Jeśli chce się ze mną spotkać w innym miejscu, to niech po mnie przyśle.

Spotkali się u Królów. Sylwin przyszedł sam, krótko się przywitał z domownikami, usiadł na chwilę za stołem, wypił podany kieliszek wódki i zwracając się do Janiaka powiedział, żeby wyszli na zewnątrz, bo ma mu coś do powiedzenia w cztery oczy. Wyszli na podwórze, obeszli dom i z drugiej strony weszli do małego ogródka i usiedli na ławce sporządzonej z deski opartej na dwóch pieńkach. Od drogi osłonięci byli krzakiem bzu, od podwórza pędami malin zasadzonymi wzdłuż płotu.

- Panie Antoni... - rozpoczął Sylwin. - Powiem od razu, nie jest dobrze. Na pana został wydany wyrok śmierci i ja mam rozkaz ten wyrok wykonać. Jest pan oskarżony o współpracę z Gestapo, że przyjaźni się pan z Dykowem i na pewno donosi mu pan o wszystkim, co go interesuje. Nie wiem, kto i dlaczego stawia takie oskarżenia, ale wyrok został wydany. Ja od razu powiedziałem, że tego wyroku nie wykonam, bo pamiętam, że pan chciał pomóc mojemu szwagrowi. Ale Dykowowi, że zgubił szwagra nie daruję. Na tyle dobra, co mój szwagier wam wyrządził, taka podzięką? Dykow zgubił szwagra i Dykow kiedyś za to odpowie.

- To ja już panu powiem prawdę jak to było z pana szwagrem. Widzę, że nie ma innego wyjścia. Przyrzekłem, że będę milczał, ale w tej sytuacji panu powiem. Nie będę już dłużej chronił prawdziwego zdrajcy. Pamięta

pan jak my, Niemcy z Okalewa zebraliśmy się i pojechali do Radzyna, aby wstawić się za pana szwagrem. O tym wszystkim Dykow wiedział, przecież w tej delegacji była nawet jego matka. Wszystko było omówione, z tego spotkania miała być zrobiona oficjalna notatka i na jej podstawie szwagier miał być zwolniony rozkazem samego Fischera. Fischer także był już urobiony.

- Ja powiem jak to było. Ja byłem u Dykova dwa dni później, zaraz po tej delegacji. Pan wie, że się znamy od dziecka, że wychowywaliśmy się na sąsiednich podwórkach. On mnie ma za kolegę i on mi powiedział, jak było naprawdę, ale on kazał mi przysiąc, że nic nikomu nie powiem, bo i jego zgubię. On nie jest winny i na to mogę też przysiąc, on chciał zwolnić Fijewskiego i Ostrowskiego też. Gorzej był z Wojciechowskim, bo znaleźli te gazetki. Ale na tych dwóch nic nie mieli oprócz plotek. Poza tym Fijewski sam się zgłosił - a kto się sam zgłasza jak ma coś na sumieniu...? Jak przyjechała delegacja do Dykova, to w tym czasie był telefon z waszego folwarku. Dzwonił Ciompa i powiedział, żeby Fijewskiego nie zwalniać, bo on jest największym złoczyńcą na tym terenie i jak on wróci, to on, Ciompa, nie będzie mógł działać. Pan wie, że Ciompę w lecie 1940 roku też aresztowali i przesłuchiwali. Tego mi Dykow wyraźnie nie powiedział, ale on wtedy przyrzekł, że będzie współpracował, to oni pozwolą mu pozostać na stanowisku i nie będą niepokoić jego zaufanych ludzi.

- I to Ciompa wtedy zadzwonił do Dykova, żeby nie zwalniać Fijewskiego? - upewnił się Bożym.

- Nie do Dykova - telefon odebrał dyżurny i on o tym telefonie powiedział Dykowowi później. On wtedy też powiedział, że wysyła list i w tym liście opisze wszystko, co robi Fijewski. I ten list Dykow dostał, przeczytał i od razu wrzucił do ognia, ale taki sam list otrzymał także Fischer i jak go przeczytał to dostał szału, wezwał Dykova, strasznie na niego nawrzeszczał - jak wy tam pracujecie, jakie macie rozeznanie, jak takiego bandytę chcecie wypuścić na wolność, żeby wasz informator dopiero musiał do mnie dotrzeć, aby prawda o tym bandycie się ujawniła i wy jeszcze pozwalacie, aby wasi ludzie - Niemcy - się za nim wstawiali, jacy z was Niemcy...!?

- Ciompa napisał o tym, że pana szwagier działał z Grocholskim, że werbował ludzi do organizacji, że zbierał informacje o Niemcach, że kolportował wrogie gazetki. Napisał o wszystkim, o czym wiedział i o czym nie wiedział. Pan się dziwi, że Dykow wyrzucił za drzwi waszą siostrę, że musiał bronić własnej skóry...?

Zamilkł.

- Panie Antoni, pan jest pewny tego wszystkiego, co mi pan tu mówi...? Niech się pan zastanowi - czy wszystko, co pan mi tu powiedział jest prawdą?

- Powiedziałem samą prawdę. Nie mam żadnego interesu, aby kłamać. Po co miałbym takie rzeczy wymyślać. Nie mówiłem o tym wcześniej nie dlatego, żeby chronić waszego rządcę, ale by nie szkodzić Dykowowi. To nie on jest winien, że wasz szwagier trafił do lagru...

Obaj zamilkli na dłuższą chwilę...

- Panie Antoni - tak jak powiedziałem - ja wyroku do wykonania nie przyjąłem, ale nie jestem pewien czy takiego rozkazu nie dostała inna grupa. Ja Millerowi już powiedziałem, że jest pan porządnym człowiekiem, nie wiem czy to coś dało, nie wiem, czy on tego wyroku nie odwołał. Nie wiem, co oni na pana zebrali. Radzę panu, niech się pan strzeże, niech pan gdzieś się schowa albo gdzieś wyjedzie. Ja będę pana bronił, ale nie gwarantuję bezpieczeństwa.

Kopina - 13 marca 1943 r.

- Wybrałem was trzech, bo sprawa wymaga największej ostrożności i jest bardzo poważna - zaczął Sylwin.

Siedzieli w ciasnym alkierzu, który Sylwin wynajął na zapleczu domu Tymosiewiczów. Ławka, dwa krzesła, łóżko, mały stolik i naftowa lampa - to całe wyposażenie. Lampa stała na stole oświetlając butelkę i cztery kieliszki, każdy z innej parafii. Czterech ludzi ledwie się tam mieściło, ale oddzielne wejście z sieni i całkowita izolacja od reszty domu sprawiała, że to miejsce bardzo odpowiadało Sylwinowi. Mógł się tu spotykać z kim tylko chciał i mógł rozmawiać swobodnie bez obawy, że ktoś usłyszy, gdyż alkierz od reszty pomieszczeń oddzielała jeszcze komora, do której rzadko ktoś zaglądał, a jeśli już, to musiał najpierw wejść do sieni, otworzyć do niej drzwi, więc hałas skutecznie alarmował przebywających w alkierzu.

- Do was mam największe zaufanie i dowiecie się o sprawie tylko wy. Ani pary z gęby nikomu. Zrozumiano?

- Tak jest - odpowiedzieli niemal chórem.

Nie powiedział im, że tak naprawdę to wybrał ich, gdyż sprawa była pilna, a oni byli najbliżej. Antek Kudło - najbliższy sąsiad, Stasiak Bożym - brat, który co prawda młody i niedoświadczony, ale rwał się do każdej roboty, a on, Sylwin, starszy brat, dowódca - był dla niego największym autorytetem i zrobiłby dla niego wszystko. No i Andrzej Burdal, też bliski sąsiad i przyjaciel szwagra Fijewskiego, który gdzieś tam przepadł w niemieckich lagrach.

- Nie wydaję wam rozkazu, bo nie chcę nikogo zmuszać do takiej roboty. Możecie odmówić.

- Jakiej roboty? Mów dowódcu, my się żadnej roboty nie boimy - powiedział Antek z uśmiechem na twarzy.

Sylwin rozlał alkohol do kieliszków. - Najpierw wypijmy.

Wypili. Sylwin nalał jeszcze raz. Ale tym razem nikt nie sięgnął do kieliszków.

- Powiem od razu, o co chodzi i o co chcę abyście zrobili.

- Ciompa jest zdrajcą, wiem to na pewno. Mam zeznania wiarygodnych informatorów, że od czterdziestego roku współpracuje z Niemcami, że donosi o wszystkim, co się dzieje w okolicy, a najważniejsze, że wydał Fijewskiego. Napisał do Gestapo list i ten list jest tym dowodem. Napisał tam o całej działalności Grocholskiego, Fijewskiego i innych. Pewnie nikt nie przypuszczał, że to taka świnią i się przed nim nie strzeżono. Wiedział przecież, kim był Grocholski, co robił, wiele działa się przecież na jego oczach. W folwarku mieszkało przez jakiś czas tych trzech oficerów, co przyszli z Grocholskim. Mógł się też coś dowiedzieć od szwagrów Ławniczaków, których zwerbował Fijewski. On także spowodował, że aresztowano tylu ludzi z Suchowoli. Wiem to od samego księcia Seweryna, który także siedzi przez niego w obozie.

Wziął kieliszek - wypili bez toastu.

- To musi odbyć się dzisiaj w nocy. Ciompa pojechał pociągiem do Lublina, będzie wracał tym nocnym, który jest w Milanowie po jedenastej. Wiem, że pojechał, bo na stację po niego ma pojechać stangret Ciołek ze dworu. Trzeba trzech ludzi. Wybrałem nawet miejsce. Najlepsze będzie przy zakręcie, tuż za Kulikiem, w miejscu gdzie zaczyna się droga do Zieleńca. Tam jest rów i krzaki. Tam się schowacie i poczekacie na bryczkę. Jeden z was niech wyjdzie na drogę, chwyci konia za uzdę i niech go od razu skręci w bok w stronę Zieleńca. Pozostali dwaj ustawicie się z obu stron i... zastrzelicie Ciompę. Za jego przewiny należy mu się tylko śmierć. Dość jego rządów we wsi. Nikogo więcej nie zgubi.

Nalał powtórnie i nie czekając na resztę - wypił.

Wypili i pozostali. Milczeli.

- Myślę o tym od miesiąca i jestem pewien, że tak trzeba. Okazja jest dzisiaj. Wiemy gdzie będzie, nie będzie świadków. Jest ciemno. Ciołek was nie rozpozna, a jeśli by któregoś poznał, to biorę go na siebie. Jego trzeba oszczędzić, on nie jest niczego winien, znam go i wiem, że w razie czego zezna co trzeba. I co? Zrobicie to?

- Zrobimy, dowódcu - odezwał się za wszystkich Andrzej. - Prawda, chłopcy?

- Tak jest - potwierdzili pozostali.

- Nie martw się Sylwin, zrobimy to. Masz rację, jeśli tak jest jak mówisz, drania trzeba pogrzebać.

Sylwin rozlał resztę alkoholu – wypijmy za powodzenie akcji. Strzał ma być jeden z bliska w głowę. Zabrać mu dokumenty. Po akcji wszyscy pojedynczo do domów i ani mru mru nikomu. W domu powiedz, że idziesz do dziewczyny – zwrócił się do Staśka, a wy ze swoimi wiecie jak rozmawiać.

Wypili.

- Na dowódcę waszej drużyny wyznaczam Andrzeja. Sprawdzić broń, ma być sprawna. Na miejsce akcji macie iść na piechotę pojedynczo, w odstępach 10 minutowych. Teraz jest dziewiąta piętnaście, o dziesiątej idzie Stasiek, dziesięć po dziesiątej – Antek, dwadzieścia po dziesiątej Andrzej. Na miejscu wszyscy się zbierzecie przed jedenastą. Pociąg na stacji będzie gdzieś dziesięć po jedenastej. Musicie tylko bardzo uważać, żeby nie pomylić jak będą jechać inne furmanki. Stasiek, to twoje zadanie, żeby się nie pomylić. Na miejscu od razu dobrze się ukryć i czekać na pozostałych, nie palić papierosów nie włączać latarek. O tym, kto będzie strzelał zadecydujecie sami. Nawet nie musicie mi o tym meldować. Jak nie będzie ochotnika to losujcie. Po akcji przyjdź po cichu do mnie i zameldować jak było. Aha! - zabrać mu dokumenty! Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, to niech przyjdzie tylko Stasiek, wy od razu idźcie do domów... I zachowywać się jakby nigdy nic i nie gadać za dużo bez potrzeby, żeby się gdzieś niechący nie wysypać... - wszystko jasne?

- Nie do nas taka mowa dowódcu... Sokojna głowa...

- Odmaszerować! Wychodzić pojedynczo, pierwszy Stasiek...

Noc była rzeczywiście ciemna. Tylko pojedyncze, jaśniejsze punkty oświetlonych okien wskazywały, gdzie stały okoliczne domy. Poza tymi plamami światła nic więcej nie było widać. Poszli zgodnie z instrukcją Sylwina. Bez przeszkód, przez nikogo niezauważeni, spotkali się w umówionym miejscu. Nawet Staśkowi bez tłumaczenia, dokąd idzie udało się wyjść z domu. Siostra Janina siedziała z kimś na ganku i nie zwracała na niego uwagi. Antek wyszedł z domu nic nie mówiąc, bo on nigdy nie opowiadał się Katarzynie a ona nigdy o nic męża nie pytała. Andrzej powiedział tylko żonie – wychodzę, przyjdę późno, nie czekaj na mnie.

Siedzieli za krzakami nic nie mówiąc. Palić się chciało, ale wiedzieli, że nie mogą zdradzać swej obecności. W drodze od Kopiny każdego z nich wyminęła dworska bryczka. Słyszając nadjeżdżający powóz, każdy z nich schodził z drogi na pobocze tyle daleko, że z bryczki nikt ich nie zauważył. Oprócz powozu ze dworu nikt inny w tę noc do Milanowa nie pojechał. Było więc bardzo prawdopodobne, że i z powrotem będzie jechał tylko powóz z Ciompą.

- Stasiak, idź się przejdź. Uradziliśmy, że do Ciompy strzeli jeden z nas dwóch, ty w tym nie będziesz uczestniczył. Postanowiliśmy ciągnąć losy. Idź, to sprawa między nami.

Stasiak nie oponował, wyszedł na drogę i poszedł kilkadziesiąt kroków w stronę Zieleńca. Przystanął i czekał. Po chwili usłyszał w oddali odgłos zbliżającego się od strony Parczewa pociągu, a później jego gwizd pewnie gdzieś w okolicy Górek. Wrócił do kolegów. Ci nic już nie mówili, oni także usłyszeli nadjeżdżający pociąg.

- Stasiak, pamiętaj, ty masz koniecznie złapać konia za uzdę i skrócić, nie mogą odjechać nawet jeśli woźnica zdzieli konia batem. Wóz ma się choć na chwilę zatrzymać.

- Jasne, wiem co robić.

- Jak już będzie po wszystkim, konia trzeba wykręcić w stronę Milanowa, każ Ciołkowi wracać do Milanowa. Niech nie jedzie do Kopiny, niech tam dojedzie jak najpóźniej. Im później się w folwarku dowiedzą – tym lepiej – komenderował Andrzej półgłosem.

- Tak jest! Jasne.

Usłyszeli jak pociąg zwalnia, jak nagle ucichł, zatrzymując się na stacji, jak następnie z głośnym kilkukrotnym wyrzutem pary do tłoków ruszył w stronę Planty. Następnie przeciągły gwizd na przejeździe w Milanowie i narastający, coraz głośniejszy stuk mijającego ich od północnej strony pociągu.

Turkot nadjeżdżającego brukowaną szosą powozu usłyszeli za kilkanaście minut. Widocznie pasażerowie nie wyruszyli ze stacji zaraz po odjeździe pociągu. Teraz słyszeli coraz głośniejsze kroki idącego stępa konia i widzieli ogniki żarzących się papierosów.

Przywarli do ziemi. Stasiak czekał na sygnał w postawie jakby gotował się do sprinterskiego biegu.

- Teraz! – usłyszał szept Andrzeja i wyskoczył na drogę w momencie jak powóz prawie się z nimi zrównał, chwycił konia za uzdę i gwałtownie pociągnął w bok. Woźnica nie zareagował, wóz przetoczył się kilka metrów i zatrzymał ukośnie do drogi. Z tyłu za wozem prawie natychmiast błysnęła latarka i rozległ się strzał. Niezbyt głośny – widocznie oddany z przyłożenia. Stasiak zobaczył tylko ruch po obu stronach bryczki. W tym czasie pociągnął konia w stronę drogi, zaprzęg zrobił ciasny łuk w lewo. W końcu Stasiak puścił konia i rzucił w stronę stangreta – jedź w stronę Milanowa i nie zawracaj!

Woźnica bez słowa wyprostował wóz, smagnął konia batem i ruszył niemal galopem. Antek z Andrzejem byli już na drodze, Stasiak został na

polu - nie widział tego dokładnie, ale wiedział, że ktoś tam leży. Ruszył za kolegami, ale po chwili zawrócił, bo sobie przypomniał, że mają zabrać dokumenty zabitego. Po omacku przeszukał kieszenie leżącego, wyczuł portfel w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie zaglądał do środka - i tak by nic nie zobaczył - schował portfel do kieszeni kurtki i poszedł za kolegami. Nie starał się ich dogonić. Słyszał ich tylko jak przez chwilę ze sobą rozmawiali, potem w milczeniu szli w kierunku Kopiny.

Do zabudowań Tymosiewiczów Stasiak przyszedł sam. Wszedł przez nikogo nie zauważony do alkierza Sylwina. Sylwin leżał na łóżku, ale chyba nie spał, bo od razu usiadł i podkręcił knot lampy.

- Melduję wykonania zadania - odezwał się Stasiak służbowo.

- Siadaj i opowiadaj.

Stasiak zdjął kurtkę i położył na łóżku.

- Załatwione, żadnych kłopotów. Tak jak było mówione ja złapałem konia, któryś z nich strzelił, Ciompa spadł z bryczki, woźnicy kazałemjechać. Nawet się nie odezwał, zdzielił konia batem i pojechał. Jestem pewien, że żadnego z nas nie rozpoznał. Ja wyjąłem mu portfel, nic innego w kieszeniach nie miał.

- Pokaż ten portfel.

Stasiak sięgnął do kieszeni kurtki i położył portfel na stole. Sylwin przysunął lampę, otworzył portfel, chwilę przeglądał przegródki, wyjął jakieś kartki - odłożył. Z największej przegródki wyjął kenkartę i przeczytał:

„Melchior Domalski, urodzony w Zarębach 15. lutego 1903 roku.”...

Poczuł zimno na plecach. Rozłożył złożoną na pół kopertę... „Szanowny Pan Melchor Domalski, Planta”... Nie czytał dalej, pochylił się w stronę Staśka...

- Skąd żeś wziął ten portfel? - spytał zmienionym głosem.

- Wyjąłem mu z kieszeni, przecież mówiłem...

- Komu wyjąłeś portfel? Skąd u Ciompy portfel Domalskiego...?

- Jakiego Domalskiego...? - Stasiak sięgnął do papierów leżących na stole, chwilę czytał gorączkowo i widać było jak się zmienia jego twarz.

- To niemożliwe... Przecież wyjąłem mu z kieszeni marynarki, nic więcej nie miał! - prawie krzyknął.

- Mów jak to było, jeszcze raz - dokładnie!

Więc Stasiak opowiedział jeszcze raz - jak to zgodnie z planem on złapał konia, jak się wóz zatrzymał, jak usłyszał strzał, jak konie szarpnęły, jak Ciapa spadł z wozu..., potem przeszukał kieszenie. Nic więcej!

- Jesteś pewien..., że na wozie był tylko Ciompa i woźnica?

- No, a kto miałby jeszcze być? Nie wiem..., nie widziałem, było

ciemno... Stałem przed koniem, widziałem jak spadał, wóz odjechał... Ja wziąłem portfel...

- Idź spać! - warknął Sylwin, idź spać i morda w kubeł! Zrozumiałeś?

- Tak jest!

Sylwin już nie zasnął. Leżał na wznak wpatrując się w pobielone deski powały.

- Boże, żeby to była nieprawda... - powtarzał w myślach.

Nastał poranek, nie wstawał... Słyszał odgłosy otwieranych i zamkniętych drzwi, głosy domowników. W końcu wstał, ubrał się i wszedł do kuchni Tymosiewiczów.

- Wiesz, co się stało? - spytał Janek Tymosiewicz. - Zabili Domalskiego z Planty - na milanowskiej drodze...

Kąkolewnica Południowa - 23 marca 1943 r.

To nie była miła rozmowa. Do Sylwina dotarł łącznik z Kąkolewnicy i przekazał rozkaz Müllera¹⁶, aby natychmiast stawić się w jego kwaterze w leśniczówce pod Kąkolewnicą. Sylwin dotarł tam po kilkugodzinnej jeździe rowerem. Znał już tę drogę i procedury przed leśniczówką – meldowanie się, powtarzanie hasła. Domyślał się, że chodzi o ten nieudany zamach na Ciompe. Sam bardzo to przeżył. Przez kilka dni nie mógł znaleźć sobie miejsca. Co z tego, że zrugął tych swoich gamoni, którzy spieprzyli proste, wydawałoby się zadanie. Miał żal do siebie, że na tą akcję wysłał Staśka, którego także, tak jak siebie, obciążył świadomością, że pozbawili życia Bogu ducha winnego człowieka. Przez trzy dni pił w samotności, ale to „lekarstwo” okazało się zawodne. Po wytrzeźwieniu nie poczuł się lepiej za grosz. Nie mógł spać. Cały czas rozpamiętywał każdy szczegół tej akcji. Tłumaczył sobie niepowodzenie nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że tym samym pociągiem, w tym samym czasie będzie jechało dwóch rządców z sąsiednich majątków, że się spotkają na stacji i jeden zaproponuje drugiemu podwózkę jego bryczką? No tak, jasne. Kto mógł przewidzieć...? Ale, żeby ci pożał się Boże „zamachowcy” nie zorientowali się, że za woźnicą siedzi dwóch ludzi, a nie jeden? I żeby na oślep strzelili w głowę pierwszemu lepszemu - tego nie da się niczym wytłumaczyć! I to poruszenie w okolicy... Te pytania i plotki – kto to mógł zrobić? Dlaczego Domalski? Ludzie z Planty wyprawili Domalskiemu uroczysty pogrzeb. Za-

¹⁶ Konstanty Bolesław Witkowski ps. Müller – Komendant Obwodu Armii Krajowej Radzyń Podlaski 1941-1944.

łatwili u proboszcza najlepsze miejsce na grób – tuż przy głównej bramie do cmentarza w Wohyniu naprzeciw cmentarnej kaplicy. Po pogrzebie przynieśli niemal w procesji spory krzyż i postawili go w miejscu tego tragicznego zdarzenia. Wszystko to świadczyło, że Domalski był lubianym i szanowanym człowiekiem i mimo że samotny, bez rodziny, i że nie był stąd, tylko przyjezdnym gdzieś z Polski.

Do Sylwina szybko dotarła relacja Ciompy. Ten oczywiście wiedział doskonale, że chodziło o niego i że to sprawka Sylwina. Po kilku dniach od zamachu przyszedł do Sylwina jeden z Ławniczaków – szwagier Ciompy i spytał wprost, czy to jego ludzie strzelali do Domalskiego? Oczywiście Sylwin nie przyznał tego wprost, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że doskonale wie o wszystkim. Powiedział, że to była pomyłka, że na karę zasłużył Ciompa i że tej kary i tak nie uniknie!

Z relacji Ciompy, którą przekazał Ławniczak wynikało, że rzeczywiście Ciompa spotkał Domalskiego na stacji w Lublinie, że razem jechali i Ciompa zaproponował Domalskiemu, że pojedą do Kopiny - Domalski tam u niego przenocuje, a do Planty pojedzie rano. Obaj mieli na głowach podobne tyrolskie kapelusze. Ci zamachowcy o nic nie pytali, tylko jeden z nich od razu strzelił w głowę Domalskiemu. Ruch powozu spowodował, że Domalski od razu spadł na ziemię. Ciompa zachował na tyle przytomność umysłu, że na nic nie czekał, tylko od razu zeskoczył z bryczki po drugiej stronie i rzucił się do ucieczki. Ciemność mu sprzyjała, bo już po kilku krokach zorientował się, że nikt nie będzie go gonił. Zrobił więc duże koło i polami wzdłuż Kulika, potem wzdłuż cichostowskich łąk wrócił do folwarku. Nie nocował w domu, zabrał tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy i poszedł do leśniczówki pod Szpakowizną do szwagra Ławniczaka. Tam nocował przez kilka następnych nocy.

Müller przyjął Sylwina jak zwykle w zaimprovizowanym sztabie na zapleczu kuchni. Siedział w rozpiętym mundurze bez dystynkcji, szczupły, żylasty, niezbyt wysoki. Sylwin zameldował się przepisowo. Müller jakby dopiero teraz go zauważył.

- O, jest bohater! Toście się tam popisali, ty i twoje zuchy. Co to za pomysł, aby sprawiedliwości dochodzić na własną rękę? Kto cię upoważnił?!

- Panie majorze, za pozwoleniem... - zaczął Sylwin.

- Milczeć!! Będziesz gadał, jak ja ci pozwolę! Czy do was dociera, że jesteście mordercami, że zabiliście niewinnego człowieka – jak bandyci!? Za takie coś to tylko sąd wojenny! Żebym ja po fakcie się dowiadywał, że moi ludzie biegają po wsiach i na własną rękę organizują jakieś akcje..., mordują ludzi!

Sylwin stał w progu wyprężony w postawie na bacność i już nic nie mówił. Usłyszał jeszcze, jakim jest idiotą, jakich idiotów ma w oddziale, co to Müller z nim powinien zrobić i co robi jak jeszcze raz coś takiego się powtórzy. To ostatnie przyjął z nadzieją, że jednak mu się upieczce.

- Słucham, co masz do powiedzenia!? - w końcu dowódca pozwolił mu mówić.

Więc opowiedział o tym, jak się Ciompa zachowywał wobec ludzi we dworze, jak utrudniał życie rodzin osób represjonowanych, jak się wysługiwał i Niemcom i Ukraińcom, którzy rezydowali w folwarku, a przede wszystkim o tym, czego się dowiedział od Janiaka.

Tym razem Müller mu nie przerywał, wysłuchał całej relacji do końca. W końcu pozwolił Sylwinowi usiąść, poczęstował nawet papierosem.

- W sprawie Ciompy miałem tu całą delegację - powiedział już spokojnie.

- Przyszli do mnie bracia Ławniczakowie i naświetlili mi sprawę następująco - wydaje mi się, że powiedzieli prawdę... - Ciompa rzeczywiście podpisał jakieś papiery w Gestapo, ale zrobił to po to, aby ratować siebie, ale również dlatego, że to był warunek zwolnienia z aresztu także pozostałych ludzi z Kopiny. Jakby nie jego deklaracja to do Oświęcimia pojechałoby dożo więcej osób. O tych listach do Fischera i Dykowa nie wiedziałem... To rzeczywiście jest poważna sprawa, ale to trzeba by sprawdzić. Ten Janiak przecież ma wyrok i mógł opowiadać takie rzeczy o Ciompie, by bronić siebie... Jeśli tak było jak mówisz, to będzie jeszcze czas, aby wymierzyć mu sprawiedliwość... Teraz on przyrzekł, że będzie współpracował z nami. Przyrzekł, że będzie nam pomagał, że z folwarku będzie nam przysyłał jedzenie i pieniądze, i faktycznie przysyłał sporo potrzebnej nam aprowizacji. Być może chce się jakoś teraz okupić, ale jego pomoc jest nam bardzo potrzebna. Więc będzie tak.

- Bacność! - Sylwin zerwał się z krzesła, wstał również i Müller.

- Ja ci wydaję oficjalny zakaz jakichkolwiek akcji przeciwko Ciompie i w ogóle żadnych działań bez porozumienia ze mną. Zrozumiano!

- Tak jest, panie majorze! - odchrzyknął Sylwin służbowo. - Z uczuciem ulgi z jednej strony i z poczuciem braku sprawiedliwości z drugiej.

- Teraz tak trzeba, a na sprawiedliwość będzie czas i po wojnie... - powtórzył Müller, jakby usłyszał myśli Sylwina.

Po powrocie do Kopiny Sylwin poszedł do jednego z Ławniczaków, wypili butelkę wódki i Sylwin dowiedział się reszty szczegółów. Ciompa oczywiście wiedział, że jego szwagrowie należą do organizacji i bez trudu domyślił się, że za zamachem stoi Sylwin i jego ludzie. Uradzili więc ze

szwagrami, że całą sprawę trzeba przedstawić bezpośrednio Müllerowi. Ławniczakowie pojechali więc do Müllera, opowiedzieli o zamachu i zapewnili o lojalności Ciompy. Tę lojalność udowodnili w formie dużej sumy pieniędzy i dwóch skrzynek alkoholu. Jedna zawierała kolekcję markowych wódek z Suchowoli, druga wypełniona była butelkami koniaku. Zapewnili też o deklaracji pomocy, jaką Ciompa przyrzekł udzielać organizacji Müllera i Müller na to poszedł. Przyrzekł Ławniczakom, że Sylwina poskromi i że Ciompie ze strony jego ludzi nic nie będzie groziło.

30 października 1943 r.

Adolf Dykow, od czasu jak go uczyniono zastępcą szefa Gestapo w Radzynie, wykazywał się niesłychaną aktywnością. Ci, którzy wcześniej go znali nie mogli zrozumieć jak z przyzwoitego, jak go zapamiętano, człowieka, stał się takim służbistą i zajadłym tropicielem wszystkiego, co się mogło niemieckiej władzy nie spodobać. Jego to, co robił, widocznie cieszyło, wkładał w to całe serce, był wyraźnie dumny ze swoich dokonań. Trzeba przyznać, że był bardzo skuteczny. Udało mu się utworzyć całkiem sprawnie działającą sieć konfidentów, którzy dostarczali mu wiadomości z kilku powiatów. Przez te trzy lata działalności na jego osobiste konto można było zapisać grubo ponad sto ofiar. Najbardziej przerażającym jego dokonaniem, oprócz masakry w Rudnie, była pacyfikacja podradzyńskiej wsi Płudy. Zginęła cała wieś, łącznie ze starcami i małymi dziećmi. O tym, że trzeba ten jego terror ukrócić organizacja ZWZ zdecydowała już w połowie czterdziestego pierwszego roku. Jednak kilka prób nie powiodło się. Dykow miał szczęście, ale i nauczył się ostrożności. Pokazywał się wszędzie z okazałą obstawą. Jeździł zabierając zawsze ze sobą co najmniej kilku uzbrojonych żandarmów i motocyklistę jadącego zawsze na przedzie. Trudno było do niego dotrzeć i trudno zaskoczyć. Jednak w końcu uznano, że trzeba zabrać się do tego zadania metodycznie. Postanowiono go wywabić. Uznano, że najlepszym na to sposobem będzie jakaś większa akcja w okolicy. Postanowiono wysadzić pociąg. Wybrano do tego celu ludzi z Milanowa. Wojskowy pociąg wyleciał w powietrze pomiędzy stacjami Milanów i Parczew w nocy dwudziestego dziewiątego października. W tym czasie większa grupa pod dowództwem samego Müllera przedostała się w okolice Siemienia i stamtąd miała się jeszcze przed atakiem na pociąg przenieść do Zbulitowa Małego.

Sylwin, mimo zmęczenia i niewyspania, z ochotą stawiał się na zbiórkę w Zbulitowie Małym pod Radzynie. Spotkał tam Józka Dąbrowskiego,

męża Marysi Fijewskiej z Branicy. Trochę się zdziwił, bo o przynależności Józka do ruchu oporu dotychczas nie wiedział. Tam uczestniczył w nocnej odprawie dowódców drużyn i dowiedział się o wszystkich szczegółach akcji, na którą czekano już od długiego czasu. Od razu po odprawie w kilkunastominutowych odstępach kilkudziesięciu wybranych ludzi pojedynczo lub dwójkami przedostało się polami na dwa wybrane miejsca – jedno na szosie pomiędzy Suchowolą i Radzyniem w okolicach Niewęgłusza – tam został skierowany Józek, drugie na szosie wisznickiej kilka kilometrów od Radzyna w lesie pomiędzy Stasinowem i Wygnanką. Wtedy nie wiedzieli jeszcze, którą drogą, po pobycie w Milanowie i w Wohyniu, Dykow będzie wracał. Wczesnym popołudniem już było wiadomo, że Dykow pojedzie szosą wisznicką, gdyż po obejrzeniu wykolejonego pociągu i po wizycie na plebanii w Milanowie, gdzie nakazał proboszczowi Chmielewskiemu ogłoszenie, że jeśli jeszcze raz zdarzy się coś takiego, to zostanie wybita cała wieś – pojechał do Bezwoli do sołtysa Panasiuka. Tam zamówił gęś i oznajmił, że po krótkiej wizycie w Wohyniu będzie wracał przez Bezwolę, żeby tę gęś odebrać. Z Bezwoli do Radzyna musiał więc jechać przez Bojanówkę i Wygnankę. Wyczucie go zupełnie opuściło, bo samochód z obstawą kilkunastu ludzi posłał przodem, a sam został z kierowcą, adiutantem i motocyklistą, który jechał kilka minut przed jego samochodem.

Partyzanci w liczbie dwudziestu czterech ludzi rozlokowali się w lesie wzdłuż szosy na odcinku około dwustu metrów. Byli uzbrojeni w pistolety, zdobyczne automaty Schmeissera i dwa RKM-y, które rozmieszczono na początku i na końcu tego dwustumetrowego odcinka. Oczekiwanie nie było miłe, bo i zimno i mokro, ale się opłacało. Po kilku godzinach leżenia na mokrej ziemi usłyszeli charakterystyczny warkot wojskowego Steyra-Pucha. Jechał wolno, jęcząc skrzynią biegów. Na pace kilkunastu skulonych żandarmów w hełmach. Müller już wcześniej nakazał ich przepuścić, wiedząc, że odległość pomiędzy nimi a samochodem Dykova jest na tyle duża, że się nawet nie zorientują, że coś będzie się działo za ich plecami. Nie mylił się, bo minęło aż kilkadziesiąt minut zanim usłyszeli nadjeżdżający motocykl. Tego już nie przepuszczono. Mniej więcej w połowie zasadzki jeden z partyzantów wyszedł na szosę i po prostu gestem podniesionej ręki zatrzymał motocyklistę. Na szosę wybiegło z wycelowaną bronią trzech innych. Motocyklista został ściągnięty z motoru, dwóch ludzi natychmiast stoczyło maszynę z nasypu szosy i odprowadziło ją w las. Dwóch innych dźgając żandarma lufami poprowadziło go w głąb lasu po drugiej stronie szosy. Zniknęli z szosy dokładnie w tym momencie, w którym dało się usłyszeć gestapowskiego Citroëna. Jechał niespiesznie lekkimi zakosami

omijając dziury w tłuczniu, którym wysypano szosę jeszcze w latach dwudziestych.

Sylwin wiedział, że tym razem należy ostrzelać samochód ze wszystkiego, czym dysponowali. Pierwszy odezwał się RKM - jednocześnie z wybuchem granatu pod autem, za chwilę cała kanonada. Citroen zrobił kilka gwałtownych zakosów i się zatrzymał. Kierowca opadł bezwładnie na kierownicę, w tym samym momencie otworzyły się drzwi po drugiej stronie samochodu, wyskoczył jeden z pasażerów, odwrócił się na moment, strzelił dwukrotnie z pistoletu w stronę strzelających partyzantów i pobiegł w las w stronę Bojanówki. Daleko nie przebiegł - skoszony celną serią padł zanim dobiegł do pierwszej linii drzew. Drugi z pasażerów wypadł z auta na szosę i schowany za tylnym kołem strzelił kilka razy z pistoletu i znieruchomiał. Widać było, że jest ranny, bo ruchy jego stały się wolne i niezdarne. Teraz leżał na plecach, w prawej otwartej dłoni tkwił jeszcze pistolet, ale wyraźnie było widać, że już nikomu nie zagrozi. Pierwszy podszedł do niego Korszeń ze Zbulitowa, kiwnął ręką na Müllera, że jest wszystko w porządku, więc i ten podszedł, z pistoletem w dłoni, za nim kilku innych. Dykow był przytomny, ale wyraźnie ciężko ranny.

- Wiesz kim jestem? - zapytał Müller pochylając się nad rannym.

Ten milczał, tylko cały dygotał i oddychał z trudem.

- Chciałeś mnie widzieć, więc słucham... - nachylił się nad rannym.

- Ja... ja... nic... nic do was nigdy... ja... - głos Dykowa był bełkotliwy i ledwie zrozumiały

- Co mówisz?

- Ja...ja... tylko Żydów... was chronilem... darujcie..., nie pożałujecie... - z wysiłkiem uniósł rękę jakby chciał poprosić, aby ktoś mu pomógł się podnieść...

- Chroniłeś?! Dobre sobie...!

- Ja... ja... - Dykow nie był już więcej w stanie niczego więcej powiedzieć - jego oddech stawał się coraz bardziej świszczący.

- Dość tego!

Żebyś wiedział, z kim masz do czynienia... - jestem major Müller, komendant zgrupowania Armii Krajowej w powiecie radzyńskim. Jesteś zdrajcą i zbrodniarzem i za twe zbrodnie, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej skazuję cię na karę śmierci! Giń!

Müller uniósł pistolet... - dwa strzały - jeden w serce, drugi w głowę... - uniesiona ręka Dykowa gwałtownie opadła, jego ciało zadygotało i znieruchomiało...

-Przynieście tych pozostałych. Połóżcie tutaj, przy tym – wskazał na leżącego, polejcie benzyną i podpalcie. Temu tu osłońcie twarz, żeby wiedzieli, że to on...

- Ruszać się! – szybka, krótka krzątanina... Buchnął płomień...

Stanęli wkoło - niektórzy z mściwą satysfakcją, inni ze zgrozą - patrzyli w milczeniu na płonące zwłoki...

Koniec! Broń pochować! Wracać do kwater! Czekać na dalsze rozkazy w domach! Rozejść się! – zakończył sprawę Müller.

Ale to nie był koniec. Następnego dnia na stację w Bezwoli podjechała ciężarówka z plandeką, z niej Niemcy wyciągnęli szesnastu ludzi w cywilnych ubraniach, przeprowadzili ich ze dwieście metrów od stacji wzdłuż torów w kierunku Milanowa, ustawili w szeregu, naprzeciwko kilku żandarmerów z PM-ami, kilka serii, ludzie padli. Wystąpił oficer przeszedł się wzdłuż leżących upewniając się, czy wszyscy są skutecznie zabici, strzałem w głowę zakończył życie tym, którzy dawali jeszcze jego oznaki. Tych szesnastu to byli ludzie z okolicy, siedzący w radzyńskim areszcie za różne przewiny. Niemcy ogłosili, że to była kara za zabicie Dykowa.

Później był uroczysty pogrzeb, który Niemcy urządzili swemu dowódcy na radzyńskim cmentarzu. Były przemówienia, wojskowa asysta, salwa honorowa. Nie przewidzieli, nie wystawili straży... W nocy ktoś dobrze zorganizowany rozkopał świeży grób, ciało Dykowa zostało wywleczone z trumny i zakopane po drugiej stronie cmentarnego muru. Białą farbą ktoś sporządził napis informujący, że dla takiego „wściekłego psa” nie ma miejsca w poświęconej ziemi. Szybko pogrzeb powtórzono, ale już po cichu i bez zbędnej ceremonii. Po kilku dniach ciało Dykowa podobno ponownie zostało wykopane i przeniesione pod mur, nikt już tego nie sprawdzał, ale zatarty napis ktoś odnawiał jeszcze kilkakrotnie.

Niemcy jakoś dowiedzieli się, że akcję poprzedziła zbiórka zamachowców w Zbulitowie Małym i Zbulitów musiał za to zapłacić. Tydzień po pogrzebie Dykowa - 9 listopada - przyjechali kilkoma samochodami, weszli od razu do wszystkich domów, wyciągnęli ludzi, krótka selekcja, wybrali 30 osób, wszystkich załadowali do samochodów. Na odjeździe podpalili domy rodzin Filipiaków i Doniców i pojechali w stronę szosy wisznickiej. Tam od razu w pobliskim Stasinowie w przydrożnym rowie - rozstrzelali 14 osób, w tym wszystkich członków rodzin Filipiaków i Doniców. Potem pojechali do Bezwoli po Michała Kaliszuka. Ten nie dał się wziąć bez walki i od razu zastrzelił Antoniego Neumana – zastępcę Dykowa. Niemcy wpadli w szal, podpalili dom Kaliszuków a do płonącego domu wepchnęli żonę Kaliszuka i dwoje jego dzieci. Kilka dni później w odwecie za śmierć

Gestapowców zamordowano jeszcze kilkunastu więzionych na Lubelskim Zamku żołnierzy podziemia. Niemcy srogo się zemścili za śmierć Dykowa, ale ludzie odetchnęli, że ten zbój z Okalewa nie będzie już nikomu szkodził.

Na następną tragedię w rodzinie nie trzeba było długo czekać. Ludwika opowiadała o tym w taki sposób.

Jej najmłodszy brat - Stasiak Bożym - się zakochał. Znalazł pannę w Miłkowie, jeździł do niej kiedy tylko mógł. Ona także chyba odwzajemniła miłość, bo któregoś dnia Stasiak bardzo uradowany ogłosił rodzinie, że się żeni. Uzgodnili z narzeczoną termin ślubu i nawet dali na zapowiedzi.

- Jest wojna i nie ma na co czekać - powtarzał jak się ktoś dziwił, skąd taki pośpiech.

Po śmierci rodziców, po zamążpójściu najmłodszej Jaśki i jej wyjeździe do męża do Lasek, na gospodarstwie zostało ich dwóch - Sylwin, który także zdążył się już ożenić i Stasiak. Obaj czuli się gospodarzami i obaj mieli ochotę na schedę po rodzicach. Gospodarstwo było duże, dobrze utrzymane. Nie wiadomo, co sobie powiedzieli i jak to rozstrzygnęli, ale wyszło tak, że Sylwin się wyprowadził z żoną do Tymosiewiczów, do tej alkowy, z której już wcześniej czasami korzystał. Stasiak został na gospodarstwie sam. Nic tylko się żenić i zaczynać szczęśliwe życie. Z jednej z wizyt u narzeczonej powrócił bardzo poruszony. Początkowo nie chciał nic mówić, ale za kilka dni wszystko się wydało. Nie powiedział tego nikomu z rodziny, dopiero Andrzej Burdał w rozmowie z Sylwinem powiedział, o co chodzi.

- Ale Staśka ktoś przestraszył - opowiadał z uśmiechem.

- Przyszedł do mnie i poprosił abym mu sprzedał tę damską piąteczkę, co ją kupiłem na bazarze w Lublinie. Po co ci taki pistolecik? - pytam. Nie chciał mówić, ale w końcu opowiedział: jak to w Miłkowie, jak wracał od tej swojej narzeczonej, został zatrzymany na drodze przez jakichś osiłków, jeden z nich przedstawił się, że jest partyzantem z oddziału AL rezydującego w lasach parczewskich; wyjął broń i powiedział, że jeszcze raz zobaczy Staśka kręcącego się koło tej panny, to go zastrzeli. Stasiak uznał, że jest mu potrzebny mały pistolet, który będzie cały czas mógł przy sobie nosić.

- Niech mi się spróbuje pokazać na oczy. Jeśli on mnie straszy bronią, to ja go nie będę straszył, od razu dostanie kulę w łeb.

Martwił się tylko, czy taka zabawka może zrobić komuś krzywdę.

Andrzejowi ta piątka do niczego tak naprawdę nie była potrzebna - miał kilka sztuk prawdziwej, porządnej broni, więc ubili targu. Nawet się nie targowali, bo Andrzej wymyślił jakąś niewielką sumę, a co do reszty, to Stasiak miał mu odpracować albo wypłacić jakoś w przyszłości, niekoniecznie

w formie pieniędzy – może być i alkohol. Tak się umówili i Stasiak rzeczywiście bez tego pistoletu już się nigdzie nie pokazywał.

Czy ktoś jeszcze wiedział o tej jego broni – pewnie tak, bo jak to między kolegami o różnych sprawach się gadało, a i on być może gdzieś się tym pistoletem pochwalił, bo był ładny, grawerowany, kolbę wyłożoną miał masą perłową, taki bibelocik. Tak czy inaczej jak pojechał do siostry i szwagra do Lasek za Parczewem, to został tam zatrzymany przez policjantów, którzy to po prosu weszli do izby gdzie przebywał Stasiak. Innymi się nie interesowali, a jego na miejscu zrewidowali i znaleźli bez trudu ten pistolet. Zabrali go do Parczewa do aresztu. To był taki areszt, w którym nie żywiono aresztowanych, tylko powiadamiano rodzinę i kazano przynosić jedzenie. Przyjechał, więc policjant na rowerze do domu Bożymów, zastał tam Lodę – żonę Sylwina, powiedział jej o aresztowaniu Staśka i nakazał przywozić mu jedzenie. Loda przysłała do Ludwiki i uradziły, że pojedą do Parczewa. Pojechały, i tam na miejscu już od Staśka dowiedziały się, co zaszło w Laskach. Stasiak przyznał się do tego, że aresztowano go z pistoletem. Wróciły z tą informacją. O, to była poważna sprawa! Sylwin, jak się o tym dowiedział, wpadł w szal.

- Co za idiota - krzyczał. - Jakim trzeba być kretynem, żeby tak się afiszować z bronią. Naraził i siebie i nas. Teraz siedzi w zwykłym areszcie, ale jak wezmą go w obroty Gestapowcy, to nie wiadomo, co będzie...

Kazał wezwać do siebie Andrzeja Burdala i nakazał, aby ten teraz coś wymyślił, jeśli był taki nierozsądny i zaopatrzył w broń tego „gówniarza” - jak się wyraził. I on wymyślił. Za dwa dni z Parczewa przyjechał ten sam policjant, tym razem nie zastał nikogo u Bożymów, więc przyszedł do Ludwiki. Ludwika akurat z niemałym trudem pompowała wodę ze studni, która zlokalizowana była nietypowo, tuż przy drzwiach wejściowych. Ci, którzy ją kiedyś budowali zawyrokowali, że tylko w tym miejscu będzie woda, rzeczywiście była, ale jak się szybko okazało woda była tak zmineralizowana, że wkrótce studnia zaczęła się zatykać i trzeba teraz dużo czasu i siły, aby napętnić wiaderko. Ludwika zauważyła policjanta dopiero wtedy, kiedy ten stanął za jej plecami. Odwróciła się gwałtownie przestraszona. Widok jakiegokolwiek munduru w czasach wojny nie wróżył niczego dobrego.

- Wyście siostra Stanisława Bożyma, lat dwadzieścia trzy, zamieszkałego w Kopinie w domu pod numerem 54? – zapytał służbowo.

- Tak, a o co chodzi? – wytarła ręce w fartuch.

- To informuję was służbowo, że rzeczony Stanisław zmarł dziś rano w areszcie w Parczewie. Trzeba, żeby w dniu dzisiejszym rodzina odebrała ciało. Czyście wszystko zrozumieli?

Ludwice serce stanęło.

- Jak to umarł...? Dlaczego umarł? Co się stało? Czy na pewno chodzi o mego brata - Staśka...? Przecież on ma dopiero 23 lata i nigdy nie chorował!

- Ja tam nic nie wiem, kazali poinformować, to informuję. Pojedźcie do Parczewa, to się wszystkiego dowiedziecie. Ale na moje oko, to ktoś go otruił. Jakaś kobita przyniosła mu jeść, strażnik mu to jedzenie zaniósł do celi i on zaraz umarł. Tyle wiem.

I pojechali - Sylwin, Ludwika i najstarsza siostra Ludwiki - Stefka z Zabłocia. Sylwin wyościł wóz, zrobił siedzenie z wiązki słomy, przykrył derką. Staśkowi po drodze w Milanowie kupili trumnę z sosnowych desek - nawet ładną, z okuciami i białymi falbankami u wezłowia. Ciało Staśka czekało na korytarzu w parczewskim areszcie. Leżał na jakichś noszach na betonowej podłodze niczym nieprzykryty. Twarz miał nabrzmiałą i przekrwioną, było widać wyraźnie, że nie była to śmierć naturalna. Podpisali jakieś papiery, dwóch policjantów pomogło im włożyć ciało do trumny i umieścić na wozie. Wracali w ciszy zastanawiając się - co mogło się stać. Siostry popłakiwały, Sylwin milczał. W domu siostry Staśka umyły, ubrały w jego najlepszy garnitur, który sprawił sobie do ślubu, uczesały włosy gładko do tyłu, tak jak lubił, włożyły do złożonych dłoni różaniec od jego pierwszej komunii świętej, a między palce obrazek z Matką Boską. Zapaliły świece i czuwały przy otwartej trumnie całą noc.

Później pogrzeb w Wohyniu, przyszło sporo ludzi. Siostry się złożyły i dały zadatek na porządną nagrobek dla Staśka i przy okazji dla rodziców. Nagrobki miały być z betonu z tablicami z piaskowca, omurowanie dookoła, z miejscem na kwiaty pośrodku. Betonowe krzyże miały wyglądać jak wykonane z drewna. Napisy w kamieniu miały być głęboko ryte, aby długo przetrwały. Nagrobki wykonał Onacki, bardzo znany artysta, kamieniarz z Komarówki.

Przyczyna śmierci Staśka była bardzo zagadkowa. Zachodzący w głowę, kim była ta kobieta, która przyniosła jedzenie. Z tego, co mówili strażnicy - a ci powoływali się na świadków w celi - Stasiek dostał jakiś chleb, coś tam do chleba i butelkę z kawą. Zaczął to jeść i jak się napił kawy, to zaczął się dusić, zaraz upadł i chyba zaraz umarł, bo przestał się ruszać. Aresztanci narobili hałasu, przyszedł strażnik, popatrzył i poszedł. Zaraz zawołano jakiegoś starszego stopniem, ten zabronił ruszać czegokolwiek. Potem przyszedł wezwany doktor, stwierdził zgon i Staśka wynieśli do jakiegoś pomieszczenia obok.

Sylwin od pogrzebu nie trzeźwiał przez kilka dni. Po pijanemu coś tam opowiadał o tym pistolecie od Burdala i o tym, jakie to było niebezpieczne dla nich wszystkich, jakby Staśka poddano torturom, że mógł wszystkich zdra-

dzic, ale on, Sylwin, nie miał nic wspólnego ze śmiercią brata. Powtarzał, to wielokrotnie pytany i niepytany. W końcu rodzina wytłumaczyła sobie, to w ten sposób, że to Andrzej Burdał - najbardziej zagrożony - wysłał do Parczewa swoją kobietę z zatrutą kawą, tym samym pozbył się kłopotu. Coś musiało w tym być z prawdy, bo Andrzej przestał się pokazywać, a po pewnym czasie - jeszcze przed zakończeniem wojny - wyjechał z Kopiny i ślad po nim przepadł. Nigdy więcej w Kopinie się nie pokazał. Czy Sylwin o tym, co planuje Burdał, wiedział, czy nie - nie ustalono.

Wczesną wiosną czterdziestego czwartego roku do Kopiny przyjechało nagle mnóstwo niemieckiego wojska. Rozbili kilkadziesiąt namiotów nieopodal Szpakowizny, we wsi na polu Korzeniewskiego postawili kilka większych baraków, po sadach rozstawili coś na kształt barakowozów na palach. Nieopodal domu Ludwiki na granicy działek Sokoła i Bolka Borzyma zrobili umywalnię doprowadzając do niej prowizoryczny wodociąg. Specjalna ekipa chodziła po wsi i badała wodę w studniach. W końcu wybrali pompę Ludwiki i oznaczyli ją wyraźnym napisem na blaszanej tabliczce - *Wasser ist zum Trinken geeignet*.¹⁷ Dzieci miały wielką atrakcję, bo nigdy wcześniej nie widziały takiej masy różnego rodzaju pojazdów, biegały za nimi, otaczały je przyglądając się im ciekawie w każdym miejscu gdzie się zatrzymywały.

W wybranych domach zakwaterowano oficerów. Jeden z nich zamieszkał też w domu Ludwiki. Któregoś dnia podjechała ciężarówka, z której wyładowano drewniane składane łóżko, wniesiono je do domu, kazano opróżnić pokój od północnej strony i oznajmiono, że od dzisiaj będzie tu mieszkał oficer, będzie się sam żywił i obsługiwał. Ważne, aby nikt do jego pokoju nie wchodził i żeby miał spokój, jak będzie tu przebywał. Ten oficer rzeczywiście w żaden sposób nie był kłopotliwy, wprost przeciwnie - przynosił Ludwice a to mąkę, a to cukier, a to kawę. Miał aparat fotograficzny i fotografował okolicę. Pod koniec maja przyniósł Ludwice zdjęcie jej domu. Dom w otoczeniu kwitnących grusz wyglądał naprawdę pięknie¹⁸.

Ludzie we wsi specjalnym okólnikiem odczytywanym po domach przez sołtysa zostali poinformowani, że wszyscy mężczyźni od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia są zobowiązani do prac przy budowie lotniska, że należy codziennie zgłaszać się o piątej rano na placu przed szkołą i tam będą utworzone brygady, które będą kierowane do konkretnych prac. Prace polegały na budowie schronów dla samolotów. Schrony, to były wykopy w kształcie podkowy otoczone z trzech stron wysokim wałem ziemnym,

¹⁷ Woda nadaje się picia.

¹⁸ To zdjęcie jest na stronie 116

samoloty wprowadzane były tam po pochylni i przykrywane maskującą siatką. Pas startowy zbudowali sami Niemcy, przy pomocy ciężkiego sprzętu wyrównali i utwardzili długi pas ziemi wzdłuż lasu Szpakowizna, posiali trawę. Polowy garnizon i całe lotnisko były bronione przez baterię działek przeciwlotniczych usytuowaną nieopodal w tak zwanych Pieńkach. Pieńki to były pola pozyskane kilkadziesiąt lat wcześniej po wykarczowaniu dużych obszarów lasu. Pola w ten sposób pozyskane w części zastały wcielone do pól dworskich, a w części rozsprzedane okolicznym chłopom.

Lotnisko zaczęło działać pod koniec marca i działało do 19 lipca. Samoloty startowały i lądowały masowo, hałasując we dnie i w nocy. Ładowano na nie różnego rodzaju bomby i burzące, i zapalające. Najwięcej zrzucano gdzieś na pola bitew bomb przeciwpiechotnych. Były to pojemniki z cienkiej blachy o opływowym kształcie z lotkami jak prawdziwa bomba, ale po wyrzuceniu z samolotu pojemnik taki się otwierał z wnętrza wysypywało się kilkadziesiąt małych bomb, każda zaopatrzona we własny system sterujący. Taki rój bomb rozlatywał się we wszystkie strony, pokrywając swym rażeniem duży obszar.

Ludzie we wsi wiedzieli, jakie niebezpieczeństwo ściąga na okolicę takie duże wojskowe lotnisko i całkiem realnie bali się rosyjskich nalotów. Zaczęli więc masowo budować przydomowe schrony. Taki schron to był po prostu dół głębokości około dwóch metrów przykryty jakąś konstrukcją z desek i ziemi. Do dołu wnoszono najczęściej tylko kilka wiązek słomy i drabinkę. Schrony nie przydały się do niczego, bo nigdy żadnego bombardowania nie było. Widocznie zabezpieczenia i maskowanie lotniska było skuteczne. Raz tylko mieszkańcy skorzystali ze schronów. W nocy z 19 na 20 lipca czterdziestego czwartego roku zostali wyrwani ze snu serią bardzo silnych wybuchów. Wybiegli z domów, zabierając dzieci i łapiąc co cenniejszy dobytek. To samo zrobiła Ludwika z domownikami. Wybiegła z domu ciągnąc za rękę Tadzia. Za nową, jeszcze niewykończoną stodołą jakiś czas temu Mietek wykopał schron, w którym spokojnie mieściło się kilka osób. Kazała tam wejść Tadziowi, chwilę z nim tam posiedziała. Mietek i pozostali nawet nie wchodzili do schronu zafascynowani niespodziewanym widowiskiem, które trwało od kilkunastu minut po południowej stronie nieba. Początkowo wszyscy byli pewni, że w końcu Rosjanie wypatrzyli lotnisko i je bombardują i że tylko patrzeć jak bomby spadną na wieś. Dopiero po pewnym czasie się zorientowano, że żadnego nalotu nie ma, że to sami Niemcy przy pomocy materiałów wybuchowych niszczą swoje lotnisko. Najbardziej widowiskowe było skutki wysadzania składów bomb, szczególnie tych zapalających i smugowej amunicji. Jeden wybuch inicjował całą ich serię na

dużym obszarze, wszystko to przypominało jakiś pokaz fajerwerków. Widowisko trwało kilka godzin. Później do widowiska przyłączyła się natura, gdzieś od zachodu przyszła nagle czarna chmura z piorunami i spadł bardzo silny deszcz. Ludzie pochowali się po domach. Dopiero po dłuższej chwili Ludwika zorientowała się, że nie ma Tadzika. Wybiegła z domu okrywając się jakąś chustą, za nią Mietek. Pobiegli od razu do schronu, schron był odkryty. Mietek tam wskoczył, ale tam Tadzia nie było, a na dnie tylko kałuża.

- Tadzik! Tadzik! - Krzyczeli coraz głośniejsze.

W końcu od strony ogrodu Tymosiewiczów usłyszeli głos „Mamo! mam!” i płacz. Szybko go znaleźli. Siedział skulony, cały mokry i bardzo wystraszony na polu z dyniami - sam przypominał jedną z nich.

Ludwika nie mogła sobie darować - jak mogła zapomnieć o Tadziku. Okazało się, że kiedy oni wszyscy „podziwiali” wybuchy na lotnisku Tadzik zasnął na słomie i obudziła go dopiero burza. Oni schronili się w domu, a Tadzio wygramolił się z dołu, zaczął nawoływać, ale nikt go nie usłyszał, pobiegł więc jak mu się wydawało w kierunku domu, ale w ciemności, mimo niewielkiej odległości, zabłądził. Trafił na pole z dyniami i tam się „schronił” między nimi. Tadzia umyło prowizorycznie i zapakowano do łóżka. Taką to „pierwszą noc wolności” miał Tadzik Fijewski.

Nad ranem wszystko ucichło. Niezwykła, dojmująca cisza witała tych, którzy tego ranka wyszli z domów. Minęło trochę czasu zanim wieś zorientowała się, że Niemców już nie ma. Czyżby wojna się skończyła? Spodziewano się tego, bo przecież wszyscy wiedzieli, że front się zbliża, od wschodu było słyhać niemiłknącą armatnią kanonadę. Niemcy także się szykowali, bo kilka dni wcześniej zarekwirowali wszystkie konie we wsi. Szukali bardzo dokładnie końskich uprzęży zaglądając we wszystkie kąty. Jak coś znaleźli, to stawali się bardzo niemili i nie rezygnowali, aż gospodarz im konia oddał.

Pierwsi Rosjanie we wsi pojawili się jeszcze tego ranka. Najpierw od strony Milanowa przyjechał samochód z kilkoma żołnierzami, zatrzymał się przy barakach na polu Korzeniewskiego - żołnierze tam weszli, potem wyszli i pojechali z powrotem. Następnie z tego samego kierunku przyjechała ciężarówka z kilkunastoma żołnierzami, a za kilka godzin cichostowską drogą nadjechały w tumanach kurzu czołgi. Jechały wolno robiąc mnóstwo hałasu. Na pancierzach siedzieli „bojcy” słabo reagujący na coraz tłumniejsze gromadzących się wzdłuż drogi ludzi. Dzieci biegnęły obok czołgów, próbując nawiązać jakąś rozmowę z Rosjanami. Czołgi dojeżdżały kolejno do głównej drogi w środku wsi i skręcały w lewo. Dzieci zafascynowane obserwowały jak w kolejnych czołgach lewa gąsienica się zatrzymywała, druga wprowadzała na moment tą wielką konstrukcję w ruch obrotowy i czołg obracał się

majestatycznie w miejscu mieląc grunt i wzbijając tumany kurzu. Jeden ze starszych chłopców - Stasiak Romaniuk, za aprobatą siedzących na pancerzu żołnierzy, sprytnie wdrapał się na jadący czołg i bardzo uradowany przeparał przez wieś.

Na „planterskiej” drodze byli jeszcze Niemcy, ciągnęli długimi taborami na Zachód. Załogi sowieckich czołgów wystrzeliły kilka razy w tamtym kierunku i ruszyły w stronę Wohynia. Tam rozegrała się krótka bitwa - kilka rosyjskich czołgów zostało zniszczonych. Bitwa była na tyle głośna, że wiele dzieciaków ze wsi pobiegło zobaczyć, co się dzieje. Wrócili z informacją, że Niemcy porzucili na „planterskiej” drodze swoje tabory. Wraz z nimi wrócił Stasiak Romaniuk i jak na bohatera przystało opowiadał ze szczegółami przebieg bitwy. Na „planterską” drogę poszło zaraz sporo ludzi, wśród nich i Sylwin, który po kilku godzinach przyjechał całym zaprzęgiem, gdyż zdobył tam bardzo wymizowanego konia i wóz, na który naładował sporo różnego dobytku - między innymi wojskowe koce, swetry, spadochrony, maski gazowe, ale i broń, z których najwspanialszą zdobyczą był najnowszy PM, który trafił na wyposażenie niemieckiego wojska dopiero kilka miesięcy wcześniej, tak że niewielu go w ogóle widziało. Sylwin, nie chcąc się afiszować z taką bronią, wrzucił pistolet po drodze w zboże i później po tę broń wysłał Mietka.

Na „planterską” drogę wybrał się też Mietek. Znalazł tam duży wojskowy plecak, do którego włożył to, co chłopca w jego wieku mogło najbardziej zainteresować: dwa bagnety, dwie gazowe maski, kilka swetrów, owijacze, ładownice, klucze, narzędzia ślusarskie i stolarskie. Szukał jakiegoś pistoletu, ale, jak mówił - nie znalazł. Najbardziej dumny był z tego plecaka - austriackiej produkcji, brezentowy, ze skórzanymi obszyciami z mnóstwem kieszeni i skrytek. Wrócił z tym plecakiem i resztą znalezisk do domu i od razu część „skarbów” dobrze ukrył, a resztę oddał matce. Z tych swetrów to później Ludwika szyła całkiem przydatne części garderoby, a ze spadochronów, które przywiózł Sylwin, a które wykonane były z porządnego grubego jedwabiu, szyła później przez kilka lat i pościel i koszule, a nawet suknię ślubną dla kórejś z sąsiadek.

Wojna niby się skończyła, ale ludzie jakoś nie świętowali. Na miejsce Niemców weszli Rosjanie. Przypomnił się od razu rok trzydziesty dziewiąty, kiedy to na miejsce Rosjan weszli Niemcy. Dla ludzi ci wyzwoliciele byli obcym wojskiem, po którym nie wiadomo było, czego się spodziewać, tym bardziej, że żołnierzy w polskich mundurach nikt jeszcze nie widział. Wojskiem polskim dla ludzi w okolicznych wsiach byli partyzanci i od nich oczekiwali rozstrzygnięć w obliczu pojawiającej się anarchii.

Dosłownie na drugi dzień po przybyciu rosyjskiego wojska pojawiło się i NKWD. Funkcjonariusze zajęli opuszczone przez niemiecką administrację budynki w okolicznych miejscowościach i zaczęły się ich rządy wspomagane przez naprędce organizowane posterunki milicji obywatelskiej. Ich obsada rekrutowała się najczęściej z partyzantów AL i GL. Taki posterunek nowych władz został utworzony i w Milanowie. Dość szybko zorientowano się, kto jest kim w okolicy. Znalezione i wezwano na przesłuchanie Sylwina. Nakazano, aby przyszedł ze swoimi ludźmi. Sylwin stawiał się o wyznaczonej porze. Zabrał ze sobą trzech najbardziej zaufanych. Czekali kilka godzin, nikt nie miał czasu nimi się zająć. Czekali, czekali, aż się znudzili. Poszli więc gdzieś na wieś, kupili butelkę alkoholu, wypili i znowu czekali. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy. Nie wiadomo ile wypili, ale zanim wrócił ten, który ich wezwał byli już tak pijani, że nie było z nimi sensownego kontaktu, więc nakazano im iść do domu i przyjść nazajutrz jak wytrzeźwieją. Poszli, ale już do Milanowa nie wrócili. Sylwin po powrocie do domu poszedł przespać się we własnej stodole. Tam od trzech dni rezydowało dwunastu żołnierzy rosyjskich – ot taką im przydzielono kwaterę. Na drugi dzień rano, gdy Sylwin jeszcze smacznie spał obok śpiących w tej samej stodole Rosjan, z Milanowa przyjechał po Sylwina łązik z trzema NKWDzistami. Szukano go wszędzie, tylko nie w stodole, gdzie spali Rosjanie. Nie znaleźli i pojechali. Od tego czasu Sylwin postanowili się ukrywać i robił to skutecznie.

Niemieckie lotnisko do swoich potrzeb szybko zaadoptowali Rosjanie. Po wstępnym oczyszczeniu okolicy z niewybuchów na lotnisku zaczęło lądować coraz więcej samolotów, których widok nieco śmieszył ludzi przyzwyczajonych do niemieckich konstrukcji. Samoloty Rosjan wyglądały jak sprzed I wojny. Ci, co widzieli je z bliska twierdzili, że wykonane były w całości z drewna, a poszycie miały z brezentu. Ale ludzie szybko zmienili zdanie o tych konstrukcjach, jak zaczęli obserwować w jakim stanie mogły one latać i w jakim stanie bezpiecznie lądowały. Zdarzało się, że samoloty lądowały pozbawione ogonów, części skrzydeł, a nawet poszycia. Naprawa takich uszkodzeń była możliwa na miejscu, po kilku niezbyt skomplikowanych czynnościach maszyny były gotowe do lotu. Samolotów było coraz więcej, tak że już w sierpniu startowały i lądowały bez przerwy.

Było nieuniknione, że taka liczba samolotów i tak nasilone starty i lądowania musiały doprowadzać do wypadków. Coraz częściej ludzie we wsi mieli okazję oglądać spektakularne katastrofy. Najczęściej samoloty ulegały wypadkom na terenie samego lotniska lub w bezpośredniej jego okolicy. Co najmniej dwa rozbiły się w Szpakowiźnie. Jeden z takich uszkodzonych samolotów „wylądował” na polu tuż przy ogrodzeniu kopińskiego dworu.

Stał tam przez dłuższy czas przez nikogo nie pilnowany, więc wiejskie dzieci miały w nim doskonałe miejsce do zabawy. Jedną z takich katastrof mieli okazję bezpośrednio i ze szczegółami obejrzyć Ludwika z Mietkiem. Byli na polu w Zabłociu, pojechali tam, aby zgrabić pozostałe po zwózce kłosa zboża – wszystkie te kłosa zawierały jeszcze sporo ziaren, więc nie powinny się marnować. Nie była to ciężka praca, pogoda była piękna, więc spokojnie, bez pośpiechu przemierzali pole w tę i z powrotem, zgrabiając źdźbła zboża najpierw na długie pokosy, później na kopki, aby je następnie zebrać widłami i włożyć na wóz. Byli mniej więcej w połowie pracy, gdy usłyszeli narastający warkot zbliżającego się samolotu. Nie od razu go zauważyli, bo nie było go na niebie, ale leciał nisko nad ziemią od strony Zieleńca. Zbliżał się szybko, kierując się – jak im się wydawało – wprost na nich. Za chwilę przeleciał kilkanaście metrów od nich, celując bezpośrednio w nasyp pobliskiej linii kolejowej. Wydawało się, że nic już go nie uchroni przed straszną katastrofą, ale jakimś cudem, tuż przed torami, wzniósł się odrobinę, przeleciał pod linią drutów telefonicznych nawet o nie nie zaczepiając i już się wydawało, że polecą dalej, ale zaczepił kółkiem umieszczonym na ogonie o tory. Cały ogon natychmiast się oderwał tuż za nasypem, a reszta samolotu przeleciała jeszcze kilkadziesiąt metrów nad polem kartofli, zniżyła się i śmigło z dużą energią zaczęło wyrzucać fontanny ziemi i wykopane w ten sposób ziemniaki w powietrze. Za samolotem pozostawał długi ślad rozoranej śmigłem ziemi. W końcu samolot się zatrzymał, nie stając nawet dęba, jak to zwykle kończą się lądowania na ornym polu. Z samolotu bezpiecznie wysiadło dwóch pilotów, obeszlą dookoła maszynę, oglądając to, co po niej zostało. Potem poszli spacerkiem w kierunku torów, tam obejrzeliby sobie oderwany ogon. Nie minęło 20 minut jak przyjechał wojskowy łazik. Piloci jeszcze coś wyjęli z kabiny samolotu, wsiedli do samochodu i pojechali. Kiedy za dwa dni Ludwika z Mietkiem ponownie przyjechali na pole, samolotu już nie było. Pozostał tylko długi ślad po jego widowiskowym lądowaniu i kawał rozjeżdżonego pola ze zniszczonymi ziemniakami.

We wsi było wtedy mnóstwo sowieckiego wojska. U Ludwika opuszczony przez niemieckiego oficera pokój zajął oficer sowiecki, ale ten nie spał tam sam – na podłodze przy łóżku swego oficera spał jego adiutant. Ten dbał bardzo o swego majora, sam mu nawet gotował jedzenie. Ludwika zapamiętała jak któregoś dnia ten adiutant przyniósł z lasu kosz grzybów, wśród nich najwięcej było czerwonych muchomorów. Poprosił o garnek i zaczął to wszystko gotować. Ludwika nie na żarty się przestraszyła, zaczęła na niego krzyczeć, że to trujące grzyby i że otruje siebie i swego oficera. Już sobie wy-

obraziła, co to będzie, jak pod jej dachem znajdą otrutych sowieckich żołnierzy.

- *Niczewo! Niczewo! Hazajka – nie wołnujties, griby nie ubijut sowietskowo sołdata*¹⁹- powtarzał ze śmiechem. *My priwykli, gołodnyj ruskij czelowiek wsjo sjest!*²⁰

Rzeczywiście, nic się nie wydarzyło. Potrawa powstała po kilkakrotnym odlewaniu wody, w której gotowały się grzyby - zjedli wszystko we dwóch. Bardzo się śmiali, jak Ludwika w imieniu całej rodziny stanowczo odmówiła poczęstunku.

- *Wy Poliaki werojatno jeszcze nie znajetie, szto takoje gołod, daże wajna nie naucziła was jest gribki*²¹ - stwierdzili na koniec smutno.

Rosjanie ze wsi wynieśli się wiosną 1945 roku. Front stojący na Wiśle przez całą jesień ruszył i przesunął się na zachód, więc i lotnisko nie było już potrzebne - pewnie zostało przeniesione gdzieś bliżej frontu. Ale wojna w swojej gorącej formie przypomniwała się mieszkańcom wsi jeszcze tego lata. Po likwidacji zapasów bomb i amunicji przez uciekających Niemców na polach pozostały jeszcze całe tony niewybuchów. Rosjanie zajmując lotnisko tylko prowizorycznie oczyścili pas startowy i okolice namiotów, w których kwaterowali. Gospodarze bali się korzystać ze swoich pól, niektórzy na własną rękę zbierali co mogli i wrzucali to gdzieś do rowów, pozostawiali przy drogach. Nic więc dziwnego, że w końcu musiało dojść do nieszczęścia. Pierwszą ofiarą był Stasio Wojtal z Cichostowa, a później zginął Gienek Wierzchowski z Kopiny. Władze uznały, że czas to wszystko sprzątnąć. Gospodarze, którzy mieli zaprzęgi byli zobowiązani do stawienia się z tymi zaprzęgami do pracy polegającej na zbieraniu z pól niewybuchów. Ludzie ze wsi posłusznie chodzili po polach i zbierali, co znaleźli. Załadowane wozy kierowano na dworskie pole z kilometr za dworem i tam kazano składać te niewybuchy do leja, który pozostał po detonacji z ostatniego dnia pobytu Niemców w Kopinie. Wtedy także nie obeszło się bez ofiar. Jeden z wozów krążących po polach został rozerwany potężnym wybuchem, zginął na miejscu jego właściciel - nauczyciel Seroczyński i jego ulubiony koń. Po śmierci Seroczyńskiego wojsko przerwało całą akcję i pojechało, zostawiając te wszystkie niewybuchy, tylko symbolicznie przykrywając je cienką warstwą ziemi. Taki depozyt nie mógł długo leżeć bez niczyjego zainteresowania. Po kilku tygodniach któregoś dnia wioską wstrząsnął potężny wybuch, tak silny, że w części domów powypadały szyby, a na horyzoncie uniósł się

¹⁹ Nie martwcie się gospodyni, sowieckiego żołnierza nic nie zabije.

²⁰ My jesteśmy przyzwyczajeni, głodny Rosjanin zje wszystko.

²¹ Wy Polacy jeszcze nie wiecie co to głód, nawet wojna nie nauczyła was jeść grzyby.

w powietrze na kilkadziesiąt metrów prawdziwy pióropusz ziemi. Jak się później okazało chłopcy z folwarku, między innymi Kościan, Saluk i kilku innych, zanieśli na to miejsce sporą ilość słomy, którą następnie podpalili. Sami ukryli się w nieodległych krzakach. Skutki wybuchu były spektakularne. Na miejscu sporego zagłębienia, w którym leżały niewybuchy pozostał lej głęboki na jakieś 10 metrów, mający ze 30 metrów średnicy. Lej wkrótce napełnił się wodą. Woda była czysta, wokół piach i żwir. W ten sposób powstało kąpielisko, które służyło okolicznej młodzieży do końca lat 60-tych.

Władek Fijewski mieszkał do wyzwolenia w Rybczewicach w powiecie krasnostawskim. W czasie okupacji pracował jako nauczyciel w miejscowej szkole. Już w czterdziestym roku wstąpił do ZWZ, a potem do AK. Kolportował podziemne gazetki, prowadził tajne nauczanie. Takim nauczaniem była objęta cała gmina Rybczewice. Władek był jednym z tych, którzy opracowali zasady funkcjonowania takich tajnych szkólek. Zasady były skuteczne, bo nauczanie działało przez całą okupację i nigdy nie zostało zdekonspirowane. Zaangażował się także w pomaganie Żydom. Jednego z nich, Ichla Gersztenblita, przechowywał na strychu u siebie w szkole nawet wtedy, gdy stacjonowali w niej niemieccy żołnierze. Pomógł rodzeństwu Szwarcbir wyjechać na roboty do Niemiec, wcześniej zaopatrując ich w polskie dokumenty. Na polecenie organizacji pomagał również ukrywającemu się kapelanowi wojskowemu księdzu Janowi Cieślikowi.

Po wyzwoleniu od razu zainteresowało się nim NKWD. Zaczęły się przesłuchania, rewizje i inne formy nękania. Przeprowadził się więc do Lublina i 1 września '44 roku rozpoczął pracę w dwóch szkołach. Jednak NKWD o nim nie zapomniało. Szybko został aresztowany, bo już 8 września. Został osadzony w więzieniu na ulicy Świętoduskiej. Potem trafił na Zamek. Tym razem gospodarzami byli funkcjonariusze NKWD i UB, którzy przyszli „na gotowe”, tylko trzeba było trochę uprzątnąć po poprzednich gospodarzach. Niemcy odchodząc z Zamku pozostawili na dziedzińcu i w celach setki zabitych, bo uznali, że ci, którzy wpadli w ich ręce nie powinni już nigdy wyjść na wolność, więc w ostatnim momencie około 1500 osób wysłali na Majdankę, a resztę - około 300 więźniów - po prostu zastrzelili na miejscu. Władek trafił do celi pod wieżą, zadaniem jego i kilkudziesięciu innych więźniów było sprzątnięcie cel, zmywanie krwi, usuwanie resztek ubrań i żywności. Trzeba było szybko przygotować lokum dla nowych „pensjonariuszy”. Widocznie dobrze się spisali, bo po dwóch dniach nieprzerwanej pracy zostali wszyscy zwolnieni. Uradowany Władek przyjechał do rodziny do Kopiny. O jego zwolnieniu została zawiadomiona także Marysia Dąbrowska, przyjechała więc z mężem Józkiem z Branicy. Władek opowiedział co przeżył.

Wszyscy się ucieszyli, że ma to już za sobą i Władek pojechał do Lublina. Napisał jeszcze list do Marysi, z jego treści można było wywnioskować, że nic się nie dzieje, że pracuje normalnie i jakoś sobie radzi. Aż tu niespodziewanie pod koniec listopada do Dąbrowskich w Branicy przyjechał jakiś człowiek, nie przedstawił się, powiedział tylko, że przekazuje kartkę, która została wyrzucona z samochodu przewożącego więźniów ulicą w Łukowie. Oddał kartkę i szybko sobie poszedł. Marysia od razu poznała charakterystyczne pismo Władka. Nikt tak nie pisał. We wczesnej młodości Władek pisał normalnie, tak jak każdy, kto dbał o to, aby mieć dobre oceny z pisania. Ale gdzieś już w szkole średniej Władek zafascynował się pismem gotyckim. Pilnie ćwiczył ten sposób pisania i tak już mu to zostało. Ten kto nie przećwiczył się w czytaniu tego pisma nie był w stanie przeczytać ni słowa. Marysia chyba jako jedyna czytała bez większych kłopotów teksty pisane przez Władka, więc i teraz przeczytała szybko.

Po jednej stronie było napisane ołówkiem:

Proszę tę kartkę przekazać na adres:

Maria Dąbrowska

Branica Suchowolska

Powiat Radzyń Podlaski

A na odwrocie:

Jadę na wschód, chyba do obozu, o nic się nie martwcie. Napiszę jak będę mógł.

Wasz Władek

Marysi tchu w piersiach zabrakło...

- Do obozu na wschód...!? Czyli gdzie? Oj, nie jest to dobra wiadomość! - Od razu, ze zgrozą, pomyślała o tych wszystkich „wywiezionych na wschód”, o których mówiło się w Polsce od wieków.

Kazała Józkowi szybko zaprząć konia i pojechali do Kopiny. Z ciężkim sercem przekazała wiadomość rodzicom i Ludwice. Uradzili, że trzeba jak najszybciej pojechać do Lublina i na miejscu dowiedzieć się, co się stało. Pojechały z Ludwiką następnego dnia. W mieszkaniu na Zamojskiej znalazły tylko jakąś starą szafkę i kuchenny kredens. Nic więcej, całe mieszkanie wyglądało jak po pospiesznej przeprowadzce. Gospodyni powiedziała, że w kamienicy UB zorganizowało kocioł. Przez dwa tygodnie wpuszczali każdego, kto chciał wejść, ale nikogo nie wypuszczali. Zgromadzili w ten sposób z pięćdziesiąt osób, wszystkich przesłuchiwali, w końcu część puścili, a Władka i jeszcze kilku zatrzymanych gdzieś wywieźli. A pokój Władka wyczyścili na drugi dzień ze wszystkiego. Zabrali ubrania, książki i wszystkie sprzęty. Nawet wynieśli większość mebli.

Niczego więcej się nie dowiedziały. Marysia chciała nawet iść do UB, ale Ludwika jej to stanowczo odradziła.

- Jeszcze tego brakowało, żeby i ciebie zabrali! I tak nic nie wskórasz.

Marysia posłuchała, wezwały dorożkę przy pomocy sąsiada zapakowały do niej ten kredens i zawiozły na stację. Nadały na bagaż i pojechały do Milanowa. Ten kredens stanął w kuchni Ludwika z myślą, że będzie czekał na Władka. Ale Władek nie wrócił i - co było najgorsze, nie było od niego żadnej wiadomości. Marysia pisała listy do różnych instytucji, ale nigdy na żaden ze swych listów nie dostała odpowiedzi.

Kopina - 31 marca 1945 r.

Ludzie z oddziału Sylwina nie złożyli broni. Nie wiadomo czy weszli w jakieś struktury organizacji podziemnej czy nie, ale byli aktywni. Wszyscy wiedzieli, że mieli broń. Zgromadzili jej dużo w stodole Korzeniewskiego. Korzeniewski mieszkał w Milanowie, a do Kopiny nie przyjeżdżał wcale, jak nie było nic do roboty w polu. W tej stodole Antek Kudło zrobił sobie swoją kwaterę. Nic się nie działo do Wielkanocy czterdziestego piątego roku. Kilka dni wcześniej zostało rozbitych kilka posterunków MO w okolicy. Prawdopodobnie Antek i jego koledzy brali w tym udział. W Wielkanoc wczesnym rankiem Kopina został otoczona przez kilkudziesięciu funkcjonariuszy NKWD i UB. Weszli do wszystkich domów, zabrali kilkudziesięciu mężczyzn i zgromadzili ich na drodze przed folwarkiem. Prawdopodobnie wiedzieli gdzie szukać Antka Kudły, bo otoczyli stodołę Korzeniewskiego. Weszli tam i po chwili wyprowadzili trzech śpiących w tej stodole ludzi - Antka Kudłę, Trochonowicza i miejscowego nauczyciela Rosińskiego. Tylko Rosiński był ubrany, ci dwaj zostali wyprowadzeni w samej bieliźnie. Kazali im zabrać całą znaną tam broń i przeprowadzili obwieszonych tą bronią do folwarku do domu karbowego - Kościana. Tam pewnie przeprowadzono coś na kształt procesu, gdyż po pewnym czasie wyprowadzono Kudłę i Trochonowicza za pobliskie stodoły i w miejscu, gdzie była sadzawka - pozostałość po wydobywanej tam glinie - zastrzelili, ciała pozostawili. Zabrali ze sobą Rosińskiego i pojechali do Radzyna. Na odjeźdźnym w kilku wrócili na pole Korzeniewskiego i podpalili stodołę. Odgonili ludzi, którzy spontanicznie rzucili się gasić pożar, powiedzieli, że jak ktoś się zbliży, to będą strzelać. W końcu i ci też pojechali. Tego samego dnia znaleziono na polu nieopodal drogi wołyńskiej zmasakrowane zwłoki młodego Bana-

chowicza z Wohynia. Ten chłopak był znany w Kopinie, bo przychodził tu często do Władzi Bożymównej, z którą chciał się żenić. Miał pięknego angielskiego Stena, z którego był bardzo dumny i z którym zawsze chodził, chowając go pod płaszczem. Prawdopodobnie wiedział o obławie na Kopinę i szedł z tym Stenem ostrzec wieś. Jakimś sposobem został zatrzymany i bardzo na miejscu torturowany. Później po prostu go zamordowano i zostawiono na pyzmie gnoju.

Rosiński przeżył. Kilka nocy później ktoś zapukał do okna Marysi i Józka Dąbrowskich w Branicy, okazało się, że to Rosiński. Był w opłakanym stanie, ubrany tylko w koszulę i spodnie, cały we krwi. Poprosił o pomoc. Później opowiedział, co się wydarzyło. Po aresztowaniu w Kopinie siedział kilka dni w więzieniu w Radzynie, był torturowany, pytano go o różne sprawy związane z podziemiem - nic nie powiedział, więc albo rzeczywiście chciano go już wykończyć, albo to była tylko taka zagrywka psychologiczna, aby go złamać, tak czy inaczej kazano mu kopać dla siebie grób na dziedzińcu niedawnej siedziby Gestapo, a teraz siedziby UB. Dano mu szpadel i dwóch strażników do ochrony. Kopał więc posłusznie do momentu, aż strażnicy postanowili zapalić sobie papierosa. W tym momencie Rosiński sypnął jednemu z nich piachem w oczy, a drugiego walnął szpadlem i rzucił się w kierunku ogradzającego dziedzińca muru. Udało się mu ten mur sforsować mimo skłębionego drutu kolczastego. Rozległy się strzały i dostał postrzał w okolice barku. Uciekł i dotarł po kilku godzinach do Branicy. Traf chciał, że u Dąbrowskich przebywał w tym czasie Mietek, który już zaczął naukę w szkole w Radzynie. Marysia z Józkiem zaopatrzyli jak umieli rany Rosińskiego, a Mietek został poproszony, aby wsiadł na rower i pojechał do Kopiny. Miał tam powiadomić żonę Rosińskiego, że on żyje, że jest bezpieczny i miał przywieźć jakieś ubranie. Rodzina Dąbrowskich zaopatrzyła mu rany na tyle skutecznie, że po kilku dniach Rosiński mógł już się poruszać samodzielnie. Traf chciał, że niespodziewanie do domu Dąbrowskich przyszła kierowniczka miejscowej szkoły i zobaczyła rannego. Rosiński nie był pewien tej osoby i poprosił Mietka, aby ten zaprowadził go do domu rodziny Mazurków, z którą się przyjaźnił. Został tam, ale już po kilku dniach podziękował za opiekę. Koledzy z organizacji zaopatrzyli go w odpowiednie dokumenty i mógł już bez przeszkód wyjechać do Tarnowskich Gór skąd pochodził. Po pewnym czasie dołączyła do niego żona. Jakie były jego dalsze losy - nie wiadomo.

1 kwietnia 1945 r.

Historia z zamordowaniem Kudły i Trochonowicza oraz aresztowaniem Rosińskiego zbiegła się w czasie z przyjazdem do Kopiny Czeska Bożyma – najstarszego brata Ludwika. Czesiek przyjechał na święta, ale także po to, aby odwiedzić dzieci, które przebywały u rodziny już od ponad roku. W tym czasie po wyjeździe Sylwina w domu Bożymów zamieszkała najmłodsza siostra Ludwika - Janina, która przeprowadziła się tutaj z Lasek z mężem Bronkiem Panasiukiem, córeczką Basią i synkiem Leszkiem. Czesiek miał więc pomoc w trzech mieszkających po sąsiedzku rodzinach. Dwie siostry - Jaśkę i Ludwikę oraz Janka Tymosiewicza, który był rodzonym bratem jego żony, też Janiny. Dzieci dobrze się miały, nie chodziły głodne, w każdym z tych trzech domów czuły się jak u siebie.

Czesiek przyjechał nie bez kłopotów, bo podróżowanie w tym czasie było udręką. Nie wyglądał dobrze. Zapamiętany był jako zawsze uśmiechnięty niezbyt wysoki, ale mocny mężczyzna. Teraz, co rzucało się w oczy to to, że był bardzo chudy i żyłasty. Jego zawsze starannie uczesane blond włosy były ścięte krótko, prawie przy skórze. Początkowo nic nie chciał mówić, ale w końcu po wypiciu kilku kieliszków się rozgadał. Opowiadał ze szczegółami kilka godzin o konspiracji w Powstaniu Warszawskim. Miał, który słuchał opowieści leżąc na swym łóżku za ścianą, odgradzony od dorosłych jedynie zasłonką wiszącą w miejsce drzwi, zapamiętał wszystko.

Czesiek zawsze czuł się związany z wojskiem. Odbił sumiennie zasadniczą służbę wojskową zaraz po odzyskaniu niepodległości. Później, jako rezerwista, był wzywany na różne szkolenia i ćwiczenia. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie po klęsce wrześniowej był w ZWZ, a później, po przekształceniu, AK i podjął działalność na terenie Warszawy. Dostał pseudonim „Szprycha” i został ostatecznie wcielony do batalionu „Parasol”. Mieszkał z rodziną na Kole na Woli. Przy pomocy organizacji założył warsztat stolarski na ulicy Siarczanej 3 na Pradze, który oprócz swojej normalnej działalności był przykrywką dużej podziemnej drukarni. Drukarnia nigdy nie została zdekonspirowana, mimo że pracowała „pełną parą”, zadrukowując tony papieru. Drukowano wszystko - i gazetki podziemne i biuletyny i różnego rodzaju dokumenty, wnioski, zaświadczenia, które służyły między innymi do preparowania fałszywych tożsamości. W drukarni pracowało na stałe kilkunastu ludzi różnych specjalności - redaktorów, drukarzy, zecerów. Przywożono lub przynoszono codziennie dziesiątki paczek z papierem i farbą drukarską. Po gotowe druki przycho-

dziły najczęściej młode dziewczyny, które wynosiły te niebezpieczne materiały w teczkach, tornistrach, torebkach.

Osobistą specjalnością Cześka było wykonywanie w różnych lokalach skrytek na broń, dokumenty, pieniądze, na wszystko, co było nielegalne w okupowanej Warszawie. Nie wiadomo ile takich skrytek Czesiek wykonał, na pewno ponad czterdzieści, choć po wojnie niektórzy twierdzili, że i ze dwieście. Co ciekawe nigdy nie słyszał, żeby któraś z nich była kiedyś zdekonspirowana. Przy tworzeniu tych skrytek przeżył kilka niebezpiecznych przygód.

- Raz trzeba było zrobić skrytkę jakiemuś wysoko postawionemu dowódcy - opowiadał - Mieliśmy tam pojechać z pomocnikiem w umówionym dniu i umówionej porze, jak nikogo nie będzie w domu. Na miejsce zaprowadziła nas łączniczka, dostaliśmy klucz i plan mieszkania, na którym zaznaczono miejsce na skrytkę w parkiecie na środku jednego z pokojów. Bez przeszkód weszliśmy do mieszkania, zamknęliśmy drzwi na klucz i do roboty. Zrobienie takiej skrytki nie jest takie proste, jest sporo stukania i cięcia. Mimo że staraliśmy się, aby był względnie cicho, to jakaś sąsiadka usłyszała hałas i zaczęła dobijać się do drzwi. Początkowo udaliśmy, że nas tam nie ma, ona nawet na moment odeszła, ale za chwilę znowu przyszła. Zaczęła krzyczeć, że zaraz wezwie policję. Więc ja podszedłem do drzwi i mówię jej, żeby się nie darła, że my tutaj zostaliśmy wezwani do naprawy drzwi i żeby się do nas odczepiła i nie przeszkadzała. To ona zażądała, aby ją wpuścić, bo ona na własne oczy chce się przekonać, co my tam robimy. Więc ja jej mówię, że właściciel poszedł, my jesteśmy sami i że nas zamknął na klucz. - Tak - ona na to - to ja idę na policję! - i poszła. Cholera - myślę - robota rozgrzebanana, nie można przecież tak tego zostawić, bo zaraz się ktoś zorientuje, co my tu robimy. Uchyliłem okno, pierwsze piętro, ludzie na ulicy. - Sprzątamy - mówię - zanim przyjdą ma być tak jakby tu nikogo nie było. Jakby co, to niech myślą, że włamywacze. Kilka dobrych minut nam zajęło to sprzątanie. Nagle stukanie do drzwi. - No ładnie, myślę... Zza drzwi słyszę męski głos - otwierać, policja! I coraz bardziej natarczywe walenie. Co za wstrętna baba... Jak ona tak szybko znalazła policjanta? Wiejemy oknem - mówię. Złapaliśmy dwa prześcieradła z łóżek w sypialni, związaliśmy, jeden koniec do framugi okna i na ulicę, on pierwszy, ja za nim. Trzeba było skoczyć ze dwa metry, bo prześcieradła zbyt krótkie. Zeskoczyliśmy obaj, ludzie patrzą, ale nic nie mówią, idą swoją drogą. To my też, jakby nigdy nic, pozbiieraliśmy się i poszliśmy jeden w jedną stronę, drugi w drugą.

- Innym razem mam podobne zlecenie, coś mam stworzyć w mieszkaniu, chyba na Kruczej. Idę tam, adres mam jasno podany, pukam, otwiera mi

drzwi jakaś paniusia, ja mówię, że mam tutaj naprawiać drzwi, a ona zdziwiona - jakie drzwi? My nikogo nie zamawialiśmy! Odwraca się i woła coś po niemiecku w głąb mieszkania - patrzę, a na wieszaku niemiecki wojskowy płaszcz i czapka. To ja szybko mówię „przepraszam”, widocznie podano mi zły adres i w nogi. Zbiegłem po schodach i między kamienice na Starówkę. Po chwili patrzę, że nikt mnie nie goni. Całe szczęście, że się nie uparłem, żeby im tę skrytkę w ich mieszkaniu zrobić... Potem okazało się, że rzeczywiście pomyłono adres. Ten, który mi to zlecał, to mnie później bardzo przepraszał.

- Ale największe szczęście to miałem jak na wiosnę w 44-tym popsuła się jedna z maszyn w drukarni na Siarczanej. Pojechałem tramwajem w jedno umówione miejsce gdzieś na Woli po tę część. Pojechałem, odebrałem kawał metalu owiniętego w papier. Część spora, nigdzie jej nie schowam - no, ale nic - wsiadam do tramwaju, jadę. Dojeżdżam spokojnie do Centrum, a tam *halt* na przystanku przy Miodowej tramwaj otoczyli żandarmi z automatami i psami. Drzwi się otworzyły, na oba pomosty wleźli we dwóch i ten z przodu woła - *Raus! Raus! Aussteigen! Bereiten Sie die Papiere für die Inspektion vor!* - żeby wysiadać, że będzie kontrola dokumentów. Ja oczywiście miałem jakąś kenkartę, więc trzymam ją w rękę, w drugiej tę część i wyłażę na ulicę. Tam widzę po obu stronach tramwaju przy drzwiach po dwóch, wokół tramwaju z ośmiu z automatami i psami, dalej ulica zamknięta - po obu stronach samochodów - w poprzek i po kilku ludzi. Ja jestem ubrany w roboczy jasny drellich, czapka z daszkiem na głowie, torba montera na ramieniu - wyglądam jak robotnik w pracy, ale pod pachą w kaburze mam pistolet...! Nie ucieknę w żaden sposób. Myślę, jak mnie omacają, to bez trudu znajdą broń. Nawet niewiele myślałem, to był taki impuls. Inni ludzie idą z ociąganiem, niechętnie, marudzą, tłoczą się przy tramwaju, a ja wymijam ich wszystkich idę na wprost tych, co mają kontrolować, trzymam w rękę kenkartę i z daleka mówię - *Entschuldigung! lass mich durch. Ich habe wichtige und dringende Arbeit!* - że mam ważną i pilną robotę - i mu pod nos kenkartę i pokazuję tę część w papierze. On akurat coś sprawdzał u jakiejś babinki, zerknął tylko do moich papierów i mówi - *dann* i machnął ręką abym szedł, więc idę na wprost tych przy samochodach. Mam z pięćdziesiąt metrów, nikogo przede mną nikogo za mną, ale nic, idę śmiało, dochodzę do nich, z daleka pokazuję tę część, a oni po prostu o nic nie pytają, nic nie mówią, po prostu mnie przepuszczają. Pewnie widzieli, że tamci przy tramwaju przepuścili mnie bez większego sprawdzania, więc i oni uznali, że nie ma po co mnie zatrzymywać.

Czesiek opowiadał jeszcze o życiu w okupowanej Warszawie, o trudnościach dnia codziennego, o tym jak trudno było znaleźć coś do jedzenia, o wyprawach do mazowieckich wsi po zaopatrzenie, o ukrywaniu się przed

rewizjami, o łapankach i wywózkach do obozów i na roboty. O swojej pracy w konspiracji niewiele więcej chciał mówić, ale opowiedział wszystko, co zapamiętał o Powstaniu Warszawskim.

- O tym, że szykuje się akcja zbrojna wiedzieliśmy już ze dwa tygodnie wcześniej – opowiadał.

- Nasi dowódcy zlecieli nam różne zadania, które miały nas do tej walki przygotować. Zaczął się ruch związany z przemieszczaniem broni i zaopatrzenia, tworzeniem magazynów w różnych częściach Warszawy. Ja i jeszcze trzech ludzi mieliśmy zadanie stworzyć i zaopatrzyć magazyn w szkole podstawowej na ulicy Grabowskiej. Budynek szkoły stał trochę na uboczu i jeden z naszych ludzi tam pracował. Mieliśmy więc łatwy tam dostęp. Zgromadziliśmy tam przede wszystkim sporo granatów. Były to i nasze wojskowe przedwojenne i „filipinki” produkowane przez podziemną fabrykę i trochę niemieckich kupionych na bazarach. Ponieważ wiedziałem, że szykuje się coś poważnego, uznałem, że Jaśkę trzeba z Warszawy wywieźć. Mietek i Krysia byli już od początku wakacji w Kopinie i wiedziałem, że im nic nie będzie grozić. Jaśka, jak to Jaśka, protestowała, nakrzyczała na mnie, że szykuje się do walki. Mówiła - „No tak, idź, idź - bo bez Czeška Bożyma wojna się nie uda. Szkoda, że Hitlera nikt nie powiadomił, że Czesiek Bożym przystępuje do wojny, bo by na pewno od razu się poddał”.

- A ja jej na to, że szkoda, że taki znawca wojny jak Jaśka Bożym nie ujawiła się wcześniej, bo jakby Śmigły-Rydz o niej wiedział, to na pewno zaciągnąłby u niej porady i nie byłoby klęski we wrześniu.

Protestowała. Ja chciałem, aby pojechała do swojej koleżanki mieszkającej pod Warszawą, ale ona uparła się zostać na Kole. Uparła się – trudno. Przed wyjściem przyrzekłem jej, że będę na siebie uważał, że nic mi nie będzie, tłumaczyłem, że to tylko kilka dni, że Niemcy na pewno opuszczą Warszawę, że za Wisłą są już Rosjanie i chodzi o to, że jak oni wejdą do Warszawy, to my już ich tu przywitamy w wolnej Warszawie, że oprócz Warszawy. Armia Krajowa ma wyswobodzić i inne części Polski. Polska ma być nasza!

- Nie pozwolimy, aby tu powstała jakaś nowa sowiecka republika! – mówiłem.

Pomogła w szykowaniu tego, co najpotrzebniejsze, zapakowała mi jezdzenie i poszedłem. Pożegnaliśmy się... Ona trochę popłakała...

- U nas na Kole powstanie rozpoczęło się jeszcze przed godziną „W”, którą nasze dowództwo ustaliło na siedemnastą. Wczesnym popołudniem Niemcy dokonali egzekucji przy ul. Sowińskiego 28 - róg ul. Karlińskiego – zastrzelili tam ośmiu Polaków. Był to odwet za potyczkę, jaką powstańcy idący na zgrupowanie stoczyli z przypadkowo napotkanym patrolem. Po-

wstańcy szli w zorganizowanej grupie, nie kryjąc się z bronią, a ci zamiast ich przepuścić i udać, że nic nie widzą chcieli ich legitymować. Naszych było dziesięciu, ich trzech, więc jedni i drudzy wyciągnęli broń, Niemcy zostali na ulicy, a chłopcy poszli dalej. Przyjechali ciężarówką, zrobili obławę, złapali tych ośmiu, postawili pod ścianą, dwie serie i pojechali.

- Zrobiło się zamieszanie. Ja i jeszcze dwóch moich kolegów nie zdążyliśmy przez to na siedemnastą na miejsce zbiórki naszego oddziału. Naraz wszędzie wokół jakby się zagotowało, wszędzie strzały, ludzie zniknęli z ulic, nie wiedziałem co robić. Postanowiłem jako najstarszy stopniem dołączyć do najbliższego walczącego oddziału. Poszliśmy w kierunku strzałów i natknęliśmy się na siedzących na murku chłopców ze zgrupowania poruczników „Ostoi” i „Gromady” z tego samego obwodu AK „Wola”. Powiedzieli nam, że nie mieli szczęścia i ich zgrupowanie zostało szybko rozbite. Teraz zbierają wszystkich pozostałych i idą na ulicę Wolską, bo tam mają się koncentrować oddziały powstańców, bo jest rozkaz, aby w pierwszej kolejności oczyścić z Niemców całą Wolską, tak samo Chłodną, Pańską, Elektorálną, Senatorską, aż do Mostu Kierbedzia. Jest to ważne, gdyż tędy – wszyscy to wiedzieli - idzie najwięcej niemieckich transportów przez Warszawę. Okazało się, że po rozbiciu polskich oddziałów Niemcy urządzili obławę na ulicach Koła - mojej dzielnicy, z której kilka godzin wcześniej wyszedłem starając się dotrzeć na miejsce zbiórki. Szli całą szerokością ulic, dobijali rannych i mordując na miejscu wziętych do niewoli żołnierzy. Jeszcze tego dnia Niemcy zabili kilku cywilnych mieszkańców domu przy ulicy Okopowej 20 i podpálili dom „Piekielko” przy ulicy Wolskiej, rozstrzeliwując przy tym sześciu złapanych tam ludzi.

- Z tymi napotkanymi powstańcami jeszcze przed wieczorem doszliśmy do ulicy Zawiszy, tam zajęliśmy jakieś opuszczone mieszkanie w kamienicy pod numerem 20. Do prawdziwej walki wszedłem następnego dnia już od wczesnego ranka. Niemcy nie odpuścili nam ani na chwilę, pewnie uznali, że Wola jest dla nich na tyle cenna, że nie wolno im jej stracić. My z Zawiszy zostaliśmy skierowani na Okopową, tam zbudowana była już wcześniej barykada i mieliśmy dołączyć do jej obrońców. Od samego rana coraz więcej żołnierzy Wehrmachtu z Garnizonu Warszawa zaczęło dojeżdżać ciężarówkami i dołączać do walki. Razem z nimi do walki włączyli się żołnierze Dywizji Spadochronowej „Hermann Göring”. Niemcy mieli i liczebną i techniczną przewagę. I, jak się później okazało, ich zadaniem było odblokowanie tej newralgicznej arterii komunikacyjnej wschód – zachód przez Warszawę. Tak więc, tak jak dnia poprzedniego, oddziały Obwodu AK „Wola” nie zdołały zdobyć większości wyznaczonych im celów - tylko

część dzielnicy znalazła się przejściowo pod naszą kontrolą, tak teraz nasi chłopcy na Woli zaczęli się tylko bronić. Od tego momentu to co się działo już nie przypominało w żaden sposób walk jakich się spodziewaliśmy. Wyobrażaliśmy sobie, że będzie to rozgrywka pomiędzy naszymi i ich żołnierzami. A oni od początku zaczęli wykorzystywać w tej walce ludność cywilną. Na własne oczy widziałem jak żołnierze „Hermann Göring” przywiązali do drabiny z pięćdziesięciu cywili i kazali im iść przed jadącym ulicą czołgiem. Te „żywe tarcze”, to był ich nowy wynalazek. Praktycznie wszędzie, gdzie pojawiały się ich czołgi, przed czołgami pędzono złapanych cywili. Tego nie widziałem, ale wiem, że 2 sierpnia ze 300 Polaków pędzonych przed czołgami umożliwiło Niemcom sforsowanie wszystkich barykad od ulicy Wolskiej następnie przez Towarową i Alejami Jerozolimskimi dotarli aż do mostu Poniatowskiego. To było bardzo trudne dla nas - strzelanie do tych czołgów... Niektórzy z nas strzelali i wielu z tych osłaniających czołgi ginęło...

- To jest nie do opisanie. Powstańców jak łapali, to od razu rozstrzelali, jak napotkali jakąś piwnicę, w których chowali się ludzie to wrzucali granaty... Ale najgorsze były następne dni. Między 1 a 4 sierpnia ci z „Hermann Göring” zamordowali na Woli ze chyba ze 400 wziętych do niewoli powstańców, rannych też nie oszczędzali, dobijali i już... Jednocześnie ci bandyci, wsparci przez nie lepszych bandytów z 608. Pułku Ochronnego, wypędzali z budynków cywilów, mordowali, gwałcili, rabowali... Widocznie tych wypędzanych z domów na ulicę ludzi było zbyt wielu, bo w pewnym momencie nie wiedzieli już co z nimi robić, więc zaczęli ich gromadzić w kościele św. Stanisława Biskupa przy ul. Wolskiej - dopiero później ich stamtąd wypędzili i wymordowali...

- Od 3 sierpnia było widać, że Niemcy uzupełniają swe siły. Zaczęły pojawiać się nowe formacje. Wiedzieliśmy, że do walki przystąpili policjanci i żandarmi z Poznania. Na Wolę Niemcy ściągnęli nawet jakieś bataliony azerbejdzańskie. Oni chyba mieli nakazane, żeby być jak najbardziej okrutni i się z tego zadania dobrze, oj dobrze wywiązywali... Ale najwięcej zbrodni w następnych dniach dopuścili się bandyci z pułku Dirlewangera - tego nazwiska nigdy nie zapomnę... Ten wziął z obozów samych najgorszych kryminalistów i z nich utworzył pułk. Tym kryminalistom obiecano wolność w zamian za walkę. Ale chyba jeszcze gorsi od nich byli zwyrodnialcy z brygady „SS RONA” - wiecie co to było RONA? - Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa! dowodzona przez niejakiego Bronisława Kamińskiego. Tam byli wyłącznie Rosjanie i Białorusini. Z nich wydzielono specjalny pułk składający się z niezonatych mężczyzn. Oni nie mieli żadnych zahamowań. Nad wszystkimi, którzy wpadali w ich łapy po prostu się pastwili... Nie mam

siły o tym mówić... I wszędzie masowe egzekucje... Na terenie fabryki Franaszka przy ulicy Wolskiej przy wiadukcie na Górczewskiej... To już była prawdziwa rzeź...

Ale chyba najgorzej było 4 sierpnia. Mnie już wtedy udało się dołączyć do mojego plutonu. Byliśmy częścią III rejonu „Waligóra”, a ja należałem do 316. plutonu. Wtedy rozpoczął się prawdziwy szturm na Wolę. Pojawiło się i lotnictwo i artyleria. Niemcy atakowali wzdłuż ulic Siedmiogrodzkiej, Wolskiej, Górczewskiej, Żytniej i Długosza. To były ich chyba wszystkie siły, bo na Wolskiej i Górczewskiej uderzyli policjanci i żandarmi – ich dowódcą był niejaki Reinefath. Między Wolską i Dworską atakowali Dirlewangerowcy, z nimi pojawiły się kompanie azerbejdzańskie – nazwane oddziałem specjalnym „Bergman”. Na północ od ulicy Górczewskiej też walczyły oddziały policji Reinefartha, ale wspomagane jednostkami Wehrmachtu. Nas ta cała sytuacja przerosła. Najsilniejsze nasze oddziały ze Zgrupowania „Radosław” walczyły na wolskich cmentarzach i w ruinach getta, a główne natarcie Niemców przyjęły na siebie słabsze jednostki Obwodu „Wola” i jednostki Armii Ludowej. Mimo to powstańcy bronili się dzielnie, bo dopiero po godzinie dziesiątej padła barykada na skrzyżowaniu Górczewskiej i Działdowskiej... Żołnierze Batalionu „Parasol” bronili w tym czasie Pałacyku Michlera (Michła) przy Wolskiej 40, wycofali się stamtąd dopiero po południu. Potem padła zajezdnia tramwajowa przy Młynarskiej, Szpital Zakaźny św. Stanisława i największa barykada na skrzyżowaniu Wolskiej i Młynarskiej. Zgrupowanie „Radosław” spróbowało jeszcze wykonać przeciwnatarcie w kierunku Wolskiej, ale ich uderzenie zostało szybko odparte. Po południu Niemcy zajęli Szpital św. Łazarza i dotarli do Placu Kercelego – „Kercelaka” – jak go nazywamy w Warszawie.

- Mimo tych ich sukcesów Woli jeszcze Niemcy nie zdobyli. Mieli chyba duże straty, najwięcej padło tych od Dirlewangera, bo ci na początku w ogólnie nie wiedzieli, o co chodzi w walkach ulicznych i ginęli jak muchy, więc z tym większą zaciekłością mścili się na cywilach. Tam gdzie Niemcy weszli od razu wyciągali skąd tylko mogli wszystkich, których złapali, rozstrzeliwali na miejscu. Kobiety i dziewczynki gwałcono, rabowano co tylko można, podpalano... Początkowo te mordy były takie bezmyślne, chaotyczne, ale niewyobrażalnie okrutne. Oni chyba mieli z tych mordów jakąś wielką przyjemność, jakby rywalizowali ze sobą kto z nich wymyśli bardziej okrutny sposób zabijania. Aż trudno o tym mówić, ale wiercie mi, zdarzało się wrzucanie małych dzieci wprost do ognia albo roztrzaskiwanie ich główek o mur...

- Później ktoś starał się chyba to wszystko jakoś zorganizować. Sędziano więc ludzi w kilka miejsc na Wolskiej i Górczewskiej, i tam dopiero specjalne komanda rozstrzeliwały tych ludzi. Pod wieczór w tych miejscach był prawdziwe stopy trupów. To były tysiące ludzi...

- Ja tych rozstrzeliwań dokładnie nie widziałem, ale widziałem na własne oczy te zwalę trupów. Wyobraźcie sobie taki stos ciał długi na jakieś 25 metrów, szeroki na 10 i wysoki na 2 metry. Tak było na Moczydle i przy Górczewskiej. To samo działo się przez następne dni, choć po 7 sierpnia sytuacja trochę się zaczęła zmieniać. Już nie wszystkich zabijali. Część ludzi z Woli zaczęli gromadzić w kościele św. Wojciecha na Wolskiej i stamtąd całymi kolumnami pędzili ich za Warszawę. Nasz wywiad szybko wypatrzył, że pędzą ich 15 kilometrów - do Pruszkowa, gdzie stworzyli obóz. Tak się złożyło, że wśród tych ludzi, których zaprowadzono do kościoła św. Wojciecha byli wszyscy ludzie z Koła. Na Kole nie było w ogóle masowych egzekucji. Tego jeszcze wtedy nie wiedziałem, ale miałem taką nadzieję, nawet pewność, że Jaśce nic się nie stało, i że trafiła do Pruszkowa. Oczywiście nikt nie wiedział, co oni chcą z tymi ludźmi ostatecznie zrobić, ale myśmy tak to sobie tłumaczyli, że pewnie nie chcą ich zabijać, bo jakby chcieli, to by ich zabili na miejscu. W końcu 11 sierpnia walki na Woli ustały. Powstańcy, którzy przeżyli wycofali się na Starówkę i do Śródmieścia. Nieliczni, tak jak ja i mój pluton, poszliśmy do Kampinosu.

- W Kampinosie na początku poczułem się jak na wczasach. Było nas sporo partyzantów rozlokowanych w całej puszczy. Byliśmy częścią większej struktury - nazywało się to „Obroża”. Początkowo partyzanci z tego zgrupowania mieli jakieś zadania w Akcji Burza, która miała objąć całą Polskę, później mieli przyłączyć się do powstania, ale wyszło na to, że różnymi akcjami będziemy wiązać siły wroga i odciągać ich od Warszawy. Tak też było, w początkowym stadium walk udało się nawet opanować większość Kampinosu i wyzwolić prawie wszystkie miejscowości w obrębie Puszczy. Nie było to trudne. Niemcy słabo się bronili. Tak więc po opanowaniu Kampinosu my żołnierze niewiele mieliśmy do roboty.

- Mnie bardzo ciągnęło do Warszawy, moich kolegów również, przecież wszyscy byliśmy Warszawiakami, zostawiliśmy tam wszystko i mieszkania i rodziny, dlatego naciskaliśmy na dowódców, aby wrócić do Warszawy i walczyć. Ale nie było takich rozkazów... Dlatego kiedy walki w tamtym rejonie Woli już całkiem ustały, to ja bardzo chciałem tam pójść i zobaczyć co z naszym domem. Powiedziałem dowódcy o granatach w szkole przy Grabowskiej i on nam pozwolił pójść po te granaty. Poszliśmy we trzech po cywilnemu z chlebakami w nocy, tak aby dotrzeć do Grabowskiej tuż

przed świtem. Bez przeszkód od północy doszliśmy do Koła, zobaczyłem, że nasz blok na Obozowej stoi nietknięty, poszliśmy tam, wszedłem na górę, drzwi zamknięte. Jaśki nie ma, nie ma nikogo w całym osiedlu, ale nie ma też nigdzie trupów. Trochę odetchnąłem, bardzo chciałem wierzyć, że Janina trafiła do Pruszkowa. Poszliśmy na Grabowską – cała dzielnica wymarła, niesamowita cisza... Stukot naszych butów zdawał się tak głośny, że byłem pewien, że o naszym przybyciu dowiedziała się już połowa Warszawy. Jedynymi dźwiękami z miasta, które nas otaczały było krakanie wron, brzęczenie much i odgłos strzałów gdzieś w oddali. Najgorszy był ten zapach, trudny do opisania zapach śmierci, pomieszany ze swądem dymiących jeszcze gdzieś pożyłki pożarów. Wszędzie pył... Jak rozsypana brudna mąka... Tym pyłem byliśmy pokryci już po piętnastu minutach od wejścia w obręb dzielnicy. Doszliśmy do Grabowskiej gdzieś po piątej rano, szkoła pootwierana, widać było, że ktoś w niej rezydował, ale skrytki w piwnicy nikt nie odkrył. Zapakowaliśmy te granaty do chlebaków i idziemy w drogę powrotną. Przeszliśmy dosłownie 100 metrów, a tam za rogiem stoi samochód wojskowy z wyłączonym silnikiem, a przy nim dwóch żołnierzy Wehrmachtu, stoją i palą papierosy. Dosłownie weszliśmy na nich.

Stanęliśmy jak wryci... Patrzymy na siebie... A jeden z nich po polsku – Jesteście stąd, znacie tę dzielnicę? Wiecie gdzie jest ulica Bema?

Popatrzyłem na kolegów i mówię, że tak, że jesteśmy stąd... A on do mnie grzecznie, żeby im pokazać drogę na Bema. Wiem, że raczej nie mamy szans na ucieczkę, bo oni mają automaty przewieszane przez szyje, a my tylko granaty w chlebakach. Popatrzyliśmy na siebie i pytam kolegów cicho – „No co, jedziemy z nimi? Oni kiwnęli głowami i wsiedliśmy. To był Kübelwagen, odkryty niemiecki samochód powszechnie stosowany do przewożenia osób, szczególnie niższych dowódców, służył także różnym łącznikom. Oni dwaj z przodu, my stłoczeni z tyłu. Pomyślałem, że jak oni nie znają Warszawy – a na Bema stamtąd było przecież blisko, to pojedziemy trochę okrężną drogą, żeby przejechać przez dzielnicę i zobaczyć, co z nią się stało. No i pojechaliśmy przez Moczydło i Młynów, a później na Górczewską. To była najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem, wszędzie, dosłownie wszędzie leżały trupy, niezliczone ilości trupów i nigdzie żywego ducha. Wyobrażacie sobie takie wymordowane miasto...? Przecież przed wojną Wola to była chyba najludniejsza dzielnica, ponad sto tysięcy ludzi tam mieszkało, mnóstwo przemysłu, warsztatów, sklepów i domów, a teraz całkowicie wymarłe miasto... I wszędzie ten zapach... To nie był fetor rozkładających się zwłok, ale taki słodkawy zapach... Jak w pokoju, w którym leży w trumnie nieboszczyk i leży już tam od kilku dni. To był taki zapach, tylko sto razy silniejszy.

Gdzieniedzie wjeżdżaliśmy w rejony z takim fetorem, że aż dusiło, aż oczy łzawiły. Tego zapachu nigdy nie zapomnę. Nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkałem i nigdy nie chciałbym już takiego zapachu poczuć. Wyobrażę sobie, jaki tu jest „zapach” w środku dnia, jak słońce przygrzewa, jeśli teraz wczesnym rankiem powietrze aż przytłacza...

- Przejechaliśmy przez tę Wolę z tymi Niemcami, oni tylko coś między sobą szeptali, było widać, że są poruszeni tym, co widzą. Dojechaliśmy na miejsce, oni wysiedli i mówią nam, że nas odwiozą z powrotem na Grabowską, tylko przekażą to z czym przyjechali. Wyobraźcie sobie zostawili nas w tym aucie, jeden z nich wszedł do jakiegoś budynku, drugi został na ulicy i nas obserwuje. My nic – czekamy. Wrócił ten pierwszy, siedli i jedziemy z powrotem. Teraz poprowadziłem ich innymi ulicami, ale i tam wszędzie to samo – trupy i trupy, nie można było na to patrzeć. Oni nam wtedy powiedzieli, że są ze Śląska, że ich to przysłali, bo znają polski a w dzielnicy są organizowane brygady Verbrennungskommando - takie grupy Polaków do grzebania zwłok. Ale nic z tego nie wychodzi, bo ofiar jest zbyt dużo i że teraz to te zwłoki mają być palone na stosach. Potem już nic nie mówiliśmy... Zawieźli nas na Grabowską, podziękowali i pojechali, a my poszliśmy drogą przez Łaski do Kampinosu.

- Jak może wiecie walki w Warszawie trwały do 3 października. Wtedy to ostatecznie powstanie się poddało. Nikt nam nie pomógł. Co prawda przez Wisłę przeprawili się na Czerniaków żołnierze Berlinga, ale nic z tego nie wyszło, prawie wszyscy zginęli. A cała armia Rosjan stała sobie spokojnie za Wisłą i się przyglądała jak Warszawa ginie. Anglicy i Amerykanie to latali samolotami nad Warszawą i zrzucali zaopatrzenie. Początkowo trafiało do powstańców, później głównie do Niemców. Nic ta pomoc nie dała. Przegraliśmy, bo nie można było wygrać...

- My w Kampinosie byliśmy taką leśną partyzantką. Niemcy starali się nas stamtąd wykurzyć, ale im się nie udało. Cały czas robiliśmy różne akcje, aby choć trochę odciągać Niemców od Warszawy, ale to też niewiele dało. Robiliśmy też rajdy do Warszawy. Raz, gdzieś pod koniec sierpnia, była akcja w kierunku Dworca Gdańskiego, drugi raz weszliśmy do walki na Żoliborzu - i tu i tam ponieśliśmy klęskę i mieliśmy duże straty. Rejon Warszawy przez kilka tygodni to był jedyny rejon z jakimiś poważniejszymi walkami, więc Niemcy mogli tutaj zgromadzić naprawdę dużo wojska. Nie było szans, żeby coś z tego wyszło...

- Pod koniec września dostaliśmy rozkaz opuszczenia Kampinosu i mieliśmy pojedynczymi oddziałami przedostać się po wytyczonej trasie w Góry Świętokrzyskie. Ktoś wymyślił, że działające jeszcze w środkowej Polsce od-

działy AK zgrupują się tam i powstanie z tego jakaś regularna brygada. Z tego też nic nie wyszło, choć początkowo szliśmy bez przeszkód, choć nas cały czas obserwowano - cały czas widzieliśmy Niemców gdzieś w okolicy, chociaż oni nas nie zaczepiali i my ich także. Ale to się skończyło po 29 września pod Jaktorowem. Główne nasze siły zostały nagle zaatakowane w wiosce Budy Zosine. My byliśmy zupełnie na atak nieprzygotowani. Nasi dowódcy pewnie uznali, że tak będziemy bez przeszkód maszerować aż do samych Kielc, a tu niespodzianka - Niemcy nas szybko okrążyli i bój był naprawdę ciężki. My nieokopani, bez łączności, bez zaopatrzenia, mieliśmy tylko to, co przy sobie, odpieraliśmy ataki cały dzień. Zginęło nas ze 150. W końcu część się poddała, a mnie i jeszcze dużej grupie udało się opuścić rejon walk.

- Ja już miałem dość tej wojaczki, bo byłem pewien, że to już nie ma sensu.

Zebraliśmy się w gronie dowódców drużyn na naradę i uradziliśmy, że wracamy do Warszawy. Poszliśmy z powrotem. Po drodze zorientowaliśmy się, że do Warszawy nie ma po co iść, bo walki praktycznie ustały, że cała Warszawa jest w rękach Niemców i pchanie się tam to samobójstwo. Postanowiliśmy wrócić do Kampinosu i tam przeczekać. Nasze siedziby jakoś przetrwały, więc je zajęliśmy i tak przesiedzieliśmy w kilku do stycznia.

- Nie będę opowiadał jak tam żyliśmy, bo to nieważne, ale jak tylko Rosjanie weszli do Warszawy 17 stycznia, to ja już byłem gotowy, aby pójść do domu. Wiedziałem, że dom stoi, byłem tam już trzy razy. Pierwszy raz pod koniec października, później w listopadzie i w grudniu. W grudniu poszedłem na Koło w Wigilię i zostałem w mieszkaniu przez całą noc do rana pierwszego dnia świąt. Wyobrażacie sobie, jakie to były święta...? Nic do jedzenia, zimno, ciemno... Ni żywego ducha wokół i ta niepewność - co się stało z Janiną...

- Do Warszawy wróciłem na stałe 18 stycznia. Takich jak ja było już na ulicach sporo. Na Koło także przyszło kilku sąsiadów. Nasze mieszkanie przetrwało, choć ktoś się już do niego dobrał i wyniósł z niego, co tylko się dało. Zostały szafki w kuchni, jedno łóżko i szafa w pokoju. No nic - myślę, trzeba zacząć do początku. Postarałem się więc o trochę sprzętów, wyremontowałem co było można, ponaprawiałem, wstawiłem zamki. Brak tam pościeli, ubrań, jedzenia, ale da się żyć. Chciałbym zabrać stąd trochę zaopatrzenia. Mam nadzieję, że mi pomożecie?

- No i najważniejsze - dwa tygodnie temu dostałem list od Janiny. Jest we Francji, pracuje w kuchni wojskowej. Jest jej tam całkiem znośnie, ma co jeść, narzeka tylko na francuskie wino - bo kwaśne.

Po świętach rodzina zrobiła zbiórkę wszystkiego, co może przydać się Cześkowi. Szwagier Janek Tymosiewicz zaprzął do drabiniastego wozu podobnego do osiołka konia – taki był malutki i wychudzony – załadowano ten wóz pościelą, garnkami, narzędziami i dziesiątkami innych przedmiotów potrzebnych w gospodarstwie, a także zapasami żywności i Czesiek z Jankiem pojechali tym zaprzęgiem do Warszawy.

Kopina - 7 marca 1946 r.

O tym, że Władek żyje i jest w obozie na Uralu rodzina dowiedziała się dopiero w lutym 1946 roku. Dostali wiadomość od Jurka Sobieszczańskiego przyjaciela Władka, który – jak się okazało – razem z nim wylądował w sowieckim łagrze na Uralu. Jurka zwolniono i jak tylko wrócił do Polski, to odwiedził Marysię w Branicy i dość szczegółowo opowiedział, co ich z Władkiem spotkało. Władek został dłużej w łagrze na własne życzenie, nie pojechał – choć mógł – pierwszym transportem, gdyż uznał że jako obozowy sanitariusz powinien pozostać w szpitalu, by nie zostawiać całkiem bez opieki najciężej chorych kolegów, którzy i tak nie nadawali się do transportu.

Władek przyjechał do Kopiny 7 marca, zaraz następnego dnia po przekroczeniu granicy na Bugu. Był bardzo wymizerowany, ubrany w jakąś dziwną garderobę. Krótkie włosy i blada twarz sprawiły, że w pierwszej chwili jak wszedł do domu to nikt go nie poznał. Dopiero jak się odezwał: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rodzinno” – nastąpił wybuch radości.

- Władek! Władek! Bój się Boga! Władek, wróciłeś! - nikt się nie wstydział łez.

Na wieść o przybyciu Władka zgromadziła się cała rodzina, przyjechali też Dąbrowscy z Branicy, z córką Zdzisią. Wszyscy czekali na opowieści - i Władek opowiadał, częstowany wszystkim co najlepsze można było w domu znaleźć.

Opowiedział o aresztowaniu w Lublinie, o przesłuchaniach, o podróży na wschód, o obozowych warunkach, o pracy ponad siły, o wszach, pluskwach, komarach, chorobach, o kolegach z obozu, o jeńcach niemieckich, z którymi dzielił obozową niedolę, o personelu obozowym i o śmierci, która zabierała codziennie kogoś z jego kolegów.

- Wy wiecie, że w tym naszym obozie nie było żadnych drutów. I tak naprawdę nie bardzo nas pilnowali, bo i tak nikt nie uciekał, bo gdzie miałby pójść – wokół tylko bagno. Nasze baraki były na jedynym nieco wyższym

miejscu w okolicy. Nawet miejsca na groby nie było a odkopane szczątki ludzi sprzed lat - jak kopali kolejne doły dla umarłych - skwitowane zostały przez pilnujących żołnierzy, że nic w tym dziwnego bo - „ *tagier zdies był wsiegda, za cara był, za rewolucji i tiepier, i po was budiet toże*”.

Później opowiedział o drodze powrotnej, o spotkaniu z mieszkańcami Białej Podlaskiej, zaraz po przekroczeniu nowej granicy na Bugu, o małżeństwie Romaniuków, którzy przyjęli go we własnym mieszkaniu brudnego i zawszonego, i zaopiekowali się nim najserdeczniej jak tylko było można.

Wydawało się, że po 5 latach wojny już nic nie może ich zadziwić i zaskoczyć. Jednak szczegóły z przeżyć Władka były tak szokujące, że niemal nie do uwierzenia. To z czym najtrudniej było się pogodzić, to cały bezsens tej wywózki i całkowicie nieludzkie warunki w jakich przyszło żyć i pracować zesłańcom tam na wschodzie. Obóz „wyspecjalizowany” był w kopaniu torfu w miesiącach, gdy ziemia nie była zamrznięta i wyciąganiu drewna spod lodu skuwającego rzekę w miesiącach zimowych. Ta zimowa praca była szczególnie nieludzka. Polegała na tym, że więźniowie najpierw wycinali w lodzie przeręble, później bosakami i żerdziami penetrowali dno w poszukiwaniu zatopionych kłód drewna. Takie namoknięte i bardzo ciężkie kłody wyciągano gołymi rękami na lód i następnie ciągnięto je po ludzkie na brzeg rzeki i składano w stosy. Nikt nie wiedział, po co to robią, bo za ich pobytu w obozie nigdy nikt po te kłody się nie zgłosił. Nie mieli odpowiednich ubrań ni butów i rękawic, by w miarę bezpiecznie wykonywać taką pracę, więc odmrożenia i choroby z przeziębienia dziesiątkowały więźniów.

W domu Ludwiki, z rodzicami, bratową, z bratankami Mietkiem i Tadzikiem, otoczony miłością i opieką dochodził do zdrowia i regenerował siły. Po kilku dniach pojechał jednak do Lublina. Już wiedział, że mieszkanie zostanie wyszabrowane, więc zabrał z Kopiny, co tylko rodzina mogła go wyposażyć. Mieszkanie, tak jak się spodziewał, zastał całkowicie rozkradzione. Gospodyni poinformowała go, że ci sami NKWD-ziści, którzy zrobili kocioł to później przyjechali ciężarówką i ze wszystkich mieszkań tych, których zaarrestowali to wynieśli wszystko, co się dało.

- Może jeszcze ktoś z sąsiadów coś sobie wziął..., bo drzwi przecież później były otwarte..., ale ja tam nic nie wiem i nic nie widziałam. Pana siostra z bratową potem przyjechały, to przecież też coś pozabierały... - Mówiła to w taki sposób, że Władek od razu sobie pomyślał, że i ona pewnie także sobie coś zabrała na pamiątkę.

O tym, że to głównie NKWD wyszabrowało mu mieszkanie, przekonał się za kilka dni, kiedy to przechodząc obok witryny zakładu fotograficznego na ulicy Świętoduskiej zobaczył na centralnym miejscu portret

jednego z NKWD-stów, którzy go nadzorowali. Ubrany był w jego najlepszy płaszcz z futrzanym kołnierzem i jego pilśniowy kapelusz.

Dopiero wizyta w szkołach, które tak niespodziewanie opuścił prawie dwa lata temu, poprawiła mu humor. Na miejscu – o dziwo – od razu bez większych trudności przyjęto go do pracy. Więc ośmielony poszedł do kuratorium i zażądał wypłaty rekompensaty za pobyt na zesłaniu – i znowu wielka niespodzianka – pieniądze mu wypłacono – całą zaległą pensję, za wszystkie miesiące zapłacono tak, jakby normalnie je przepracował, co więcej, jego nieobecność zapisano w dokumentach w taki sposób jakby cały czas pracował.

To nie był koniec miłych zaskoczeń. Po kilku następnych dniach do jego tymczasowego mieszkania u zaprzyjaźnionego małżeństwa Wilczyńskich przyszedł Wolf Szwarcbir, jeden z trojga rodzeństwa, którym Władek pomógł przeżyć wojnę. Pan Szwarcbir w imieniu wszystkich wdzięcznych Żydów zaprosił go na kolację w hotelu Europa w centrum Lublina. Władek trochę się wzbraniał, bo się wstydził - i swego wyglądu i podarowanego, znoszonego ubrania - ale poszedł tam następnego wieczora na umówioną godzinę i ku swemu zdumieniu zastał na miejscu kilkunastu elegancko ubranych lubelskich Żydów oraz kilku znajomych Polaków z żonami oraz zastawione różnymi specjałami stoły. Okazało się, że wszystkim obecnym dobrze jest znana jego okupacyjna działalność i ta dzisiejsza kolacja to w podzięce dla „kochanego pana Władysława” za pomoc Żydom w czasie okupacji. Dowiedział się w trakcie tej kolacji, że pan Szwarcbir i wszyscy, którzy korzystali z jego pomocy przeżyli wojnę i że mieszkają obecnie we Wrocławiu, prowadzą tam sklepy i różne interesy, i że oni zapraszają „drogiego pana Władysława” do Wrocławia, a najlepiej jakby - „kochany pan Władysław się przeniósł na stałe do Wrocławia i zostawił to niewdzięczne miasteczko Lublin”.

- My tam we Wrocławiu to kochanemu panu tak urządzimy życie, że się pan będzie śmiał z tych swoich lubelskich przygód. My panu wyszukamy i wygodne umeblowane mieszkanie i znajdziemy godną pracę. Niech się pan zgodzi, kochany panie, nie pożałuje pan.

Był nieco oszołomiony i tym przyjęciem i propozycją. Powiedział, że się zastanowi. Rozstali się późnym wieczorem w znakomitych humorach. W szatni dwóch z tych, którzy go zaprosili podali mu płaszcz, wzięli go pod ręce jak księdza, wyprowadzili na ulicę i odprowadzili spory kawałek drogi w kierunku jego mieszkania. Pożegnali się wylewnie i poszli z powrotem w kierunku centrum. Władek wrócił do domu, położył się spać, a następnego dnia kiedy założył płaszcz przed wyjściem do pracy wyczuł

w kieszeni ciasno zwinięty rulon. Były to zawinięte w chusteczkę pieniądze. Po przeliczeniu okazało się, że jest tego 10 tysięcy złotych.²²

18 stycznia 1988 r.

O listach Elżbiety Czetwertyńskiej kierowanych do szkoły w Kopinie powiedziała Mieczysławowi Ludwika, gdy ten odwiedził ją którejś niedzieli.

- Ty wiesz, że odnalazła się nasza dziedziczka – Elżbieta Czetwertyńska? Powiedziała mi Lidka Podgórska²³, że już dwa listy od niej dostała. Ta pisze, że mieszka w Kanadzie i że jest ciekawa, co się dzieje z jej majątkiem, że nie zamierza wracać do Polski na stałe, ale chętnie by tutaj przyjechała, aby odwiedzić Kopinę. Coś jej tam Lidka chyba odpisała. Ona – ta Elżbieta to chyba ma teraz już z 80 lat. Pamiętasz ją?

- O tak, pamiętam ją dobrze. Widywałem ją często jak chodziłem do dworu do ojca. Ojciec zawsze dobrze o niej mówił.

- To była dobra gospodyni. Cały majątek był na jej głowie. Książę Włodzimierz często wyjeżdżał, a i tak ona o wszystkim decydowała. A twojego ojca to traktowała całkiem szczególnie, zwłaszcza od czasu, gdy się pojawił Grocholski – pamiętasz? Ojciec się chwalił, że wtedy to ona zwolniła go z obowiązków we dworze i kazała pomagać Grocholskiemu. Oj, nie wyszło mu to na dobre...

- Ciebie mamó też chyba lubiła, pamiętam, że jak miała już wyjeżdżać z Kopiny, to przyniosła ci tę baranicę, pod którą później spałem jak było zimno.

- Ona mi tę baranicę dała na przechowanie, bo myślała, że po kilku miesiącach wróci – no i przechowywałam – ze 40 lat, aż ją mole zaczęły jeść...

- Wiesz co, Mietek – napisz do niej list, weź ze szkoły adres i napisz. Ona może nawet nie wie, że ojciec zginął w Oświęcimiu przez te konszachty z Grocholskim. Napisz jej jak to było po jej wyjeździe, jak nas potraktował Ciompa. Że jak ojciec zginął, to nie mieliśmy znikąd pomocy.

Mieczysław poszedł do Podgórskich. Lidie – dyrektorkę szkoły – dobrze znał, bo ta jak trafiła na początku lat siedemdziesiątych do Kopiny jako młoda nauczycielka po szkole to zamieszkała w wynajętym pokoju u Ludwiki. Mieszkała tam do swego małżeństwa z Podgórskim i dopiero wtedy wy-

²² Władysław Fijewski swoje aresztowanie, wywózkę i gehennę obozowego życia na Uralu opisał w książce „Niedobre dni”, Wrocław 1992

²³ Lidia Podgórska – ówczesna kierowniczką szkoły w Kopinie, jako młoda nauczycielka mieszkała u Ludwiki, u której przez 3 lata wynajmowała pokój.

prowadziła się do męża. Dowiedział się od Lidki, że Elżbieta Czetwertyńska bardzo się interesuje dworem, że w swoich listach pyta o szczegóły, że wyraziła chęć odwiedzin. Mieczysław przeczytał jeden z listów Elżbiety, przepisał adres z koperty, wrócił do domu i napisał:

Radzyń Podlaski, 2 lutego 1989 roku.

Szanowna Pani!

Nazywam się Mieczysław Fijewski, jestem najstarszym synem Stanisława Fijewskiego, który był pracownikiem w Państwa majątku. Pani adres dostałem od kierowniczkki szkoły podstawowej utworzonej w Państwa domu po II wojnie światowej. Kierowniczkka szkoły Pani Podgórska powiedziała mojej mamie Ludwice, że napisała Pani z Kanady do szkoły kilka listów. Moja mama Ludwika Fijewska, która bardzo dobrze Państwa pamięta zasugerowała, abym w imieniu naszej rodziny do Pani napisał.

Pamiętam, że mój ojciec był bardzo zaangażowany w pracę w Państwa majątku, wiem, że Pani mąż ksiądz Włodzimierz i Pani powierzaliście mu ważne zadania. Teraz także wiem, że był zaufanym współpracownikiem Pani szwagra Remigiusza Grocholskiego, który organizował ruch oporu na terenie Lubelszczyzny z wiarą, że wkrótce Niemcy zostaną wyparci i trzeba tworzyć podstawy przyszłej władzy w Polsce. Pamiętam, że o tej pracy wiedziała także Pani, gdyż poleciła Pani rządcy Leonowi Ciompie, aby nie rozliczał z czasu pracy mego taty i żeby on miał swobodę w poruszaniu się zarówno w dzień jak i w noc, gdyż on wypełnia inne ważne zadania, narażając własne życie. Ten ruch konspiracyjny zakończył się niepowodzeniem. Ojciec został aresztowany, osadzony w więzieniu na Zamku w Lublinie, a później wywieziony do Oświęcimia i tam zginął we wrześniu 1941 roku.

W Kopinie nie zmieniło się wiele. W pałacu jest szkoła, budynek jest w niezłym stanie, w miarę potrzeby jest remontowany. Zachował się park, jest zadbany, drzewa nie zostały wycięte. Wiem także, że las „Szpakowizna” był dla Pani szczególnie miłym miejscem. Mój tata opowiadał mi, że jak szykowano starodrzew do wycinki, to Pani wskazała na jeden z największych dębów i powiedziała, żeby tego dębu nie wycinać, żeby on tam pozostał jako pamiątka po Pani. Ten dąb przetrwał wojnę, ale niestety został niedawno ścięty. Ci, którzy teraz zarządzają lasem chyba nie wiedzieli o Pani życzeniu.

Szanowna Pani, chętnie odpowiem na Pani pytania dotyczące Kopiny, majątku, ludzi, których Pani знаła. Moja mama doskonale Państwa pamięta i często wspomina tamte dobre czasy.

*Serdecznie Panią Pozdrawiam zarówno w swoim imieniu jak i mojej mamy.
Mieczysław Fijewski*

Odpowiedź przyszła szybko. Elżbieta napisała, że bardzo się cieszy z tego listu, że czekała długie lata na możliwość znalezienia kogoś, kto mógłby jej pomóc w rozwikłaniu ważnej dla niej sprawy. Opowiedziała o sobie, o swoim życiu w Kanadzie i bardzo liczy na możliwość dalszej korespondencji, a może i spotkania.

Mieczysław w następnym liście trochę więcej napisał o Kopinie, ale przede wszystkim o sobie i swojej rodzinie. Pochwalił się swoimi dokonaniami oraz swymi dziećmi, które pokończyły szkoły, założyły rodziny, pracują.

Odpowiedź od Elżbiety zaskoczyła Mieczysława. Elżbieta dość szczegółowo pisała w tym liście o tym jak z pomocą Stanisława - ojca Mieczysława - ukryła w lesie kilka skrzyń z cennymi pamiątkami i bardzo by chciała, żeby teraz te skrzynie odszukać. Zapowiedziała swój przyjazd do Polski i wyraziła nadzieję, że Mieczysław będzie mógł jej w tym pomóc.

I rzeczywiście przyjechała w lipcu 1991 roku ze swoim chrześniakiem mieszkającym w Warszawie. Przyjechali do Radzyna, przywożąc ze sobą kilka kartonów, licząc na to, że zaraz pojedą do lasu i od razu odkopią te skrzynie, więc Mieczysław ich tam zawiózł. Weszli do lasu, kilka godzin po nim pochodzili, ale Elżbieta nie była wtedy w stanie sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Zdołali tylko z grubsza określić rejon lasu, w którym mogły być zakopane te „rodzinne pamiątki” – jak o nich mówiła Elżbieta.

Pojechali później do dworu. Elżbieta opowiedziała trochę o tym miejscu. Obejrzała park, wyraziła zdziwienie, że lipy, które sama sadziła tworząc aleję wjazdową prowadzącą do głównej bramy, są już takie wiekowe. Wyjeżdżając z Radzyna zapowiedziała, że nie rezygnuje, że jeszcze się odezwie i że liczy, że następnym razem będą lepiej przygotowani.

Po kilku miesiącach Mieczysław otrzymał następny list z Kanady. Elżbieta opisała w nim dość dokładnie miejsce zakopania skrzyń i ich zawartość. Do opisu dołączyła wyrysowaną mapkę z naniesionymi odległościami liczonymi krokami. Pisała, że w kufrach były różne cenne dla niej pamiątki, że najcenniejszym depozytem był mały kuferek, który był własnością jej koleżanki, uciekinierki z Wielkopolski.

- Za zawartość tego kufra – jak się wyraziła – można by było kupić całą taką wioskę jak Kopina. Drogi Panie Mieczysławie – pisała dalej – Panu mogę zaufać – tak, jak ufałam Pana ojcu. Wiem, że to może być trudne zadanie, ale bardzo Pana proszę, jeśli to możliwe, to proszę odszukać te miejsca i sprawdzić, czy tam coś się jeszcze zachowało.

Mieczysław zapalił się do tego zadania, choć jednocześnie zaczął się zastanawiać jak to zorganizować i co zrobić z tym, co uda się wykopać.

Świadomość, że to jego ojciec był zaangażowany w ukrywanie tych skarbów dodatkowo go motywowała. Czuł, że być może cała ta sprawa wiązała się w jakiś sposób z tym, że ojciec musiał zginąć. Pojechał do lasu najpierw sam. Odliczył krokami odległości z mapy i trafił w miejsce, które początkowo bardzo go rozczarowało. Niczego nie mógł dostrzec - ot las jak wszędzie wokół. Chodził w koło, po kilka razy trafiając w te same miejsca. Dopiero za którymś razem uprzytomnił sobie, że pod ściółką w kilku miejscach są płytkie owalne zagłębienia. Odgarnął liście, pod nimi piach. Pomyślał sobie, że jeśli coś mogło być ukryte w tym rejonie lasu, to tylko w tych zagłębieniach, że trzeba szukać tutaj.

O swoim odkryciu Mieczysław opowiedział żonie, ta poradziła mu, aby sam się za odkopywanie nie brał - raz, to zbyt ciężka praca dla jednego człowieka, dwa - powinien mieć, w razie czego, świadków. Przyznał jej w końcu rację, wtajemniczył syna Janusza, córkę Renatę i zięcia Kazimierza. Usiedli i z całą powagą zaplanowali całą akcję. Uznali, że trzeba to zrobić w takim czasie i w taki sposób, aby całość można było przeprowadzić maksymalnie dyskretnie. Pierwszą rzecz, jaką Mieczysław zrobił, to skonstruował sondę z metalowego pręta. Zaostrzył ten pręt, dorobił rękojeść i tak uzbrojony za kilka dni pojechał ponownie do lasu - tym razem z synem Januszem. Zabrali ze sobą taśmę mierniczą, by bardziej precyzyjnie odmierzyć zaznaczone na planie odległości. Pierwszą rzecz, jaką ustalili, to miejsce po sośnie, od której na planie były liczone odległości do tych miejsc, w których kopano doły. Zaczęli metodycznie w różnych miejscach wbijać pręt w ziemię. Szybko się przekonali, że tylko w tych - wcześniej przez Mieczysława wytypowanych - sonda gładko się zagłębiała. Wrócili do domu z postanowieniem, że trzeba jak najszybciej rozkopać te miejsca.

16 lipca 1996 r.

Do lasu „po skarby” pojechali we czwórkę - Mieczysław, jego żona, córka Renata i zięć. Wzięli ze sobą łopaty, kartony i koszyki - umyślili, że będą udawać grzybiarzy. Samochód postawili w niewidocznym miejscu i poszli na miejsce na piechotę, upewniając się po drodze, że w tym rejonie lasu nie ma nikogo postronnego. Mieczysław wskazał miejsce, które jego zadaniem w największym stopniu uprawdopodobniało, że tam coś można znaleźć. Kopało się łatwo, gdyż pod spodem był niemal czysty piach. Prawie od razu na głębokości około 20 centymetrów natrafili na niewielkich rozmiarów metalową plakietkę przedstawiającą w formie płaskorzeźby jakąś scenkę religijną.

- No lisy tu tego nie przyniosły – stwierdzili.

Później na głębokości około jednego metra trafili na deskę, która z całą pewnością była kiedyś fragmentem jakiejś konstrukcji.

-Taka deska na takiej głębokości, w środku lasu, nie mogła przecież pojawić się przypadkowo – Mieczysław nie miał już żadnych wątpliwości, że dobrze trafili.

Za chwilę następna deska i następna.

- Tam musi coś być! Tam musi coś być! – powtarzał zięć „Kajtek” odrzucając kolejne łopaty piachu.

- Teraz trzeba już ostrożnie, żeby niczego nie zniszczyć, chyba jesteśmy blisko – powiedział Mieczysław.

Jeszcze kilka ostrożnych ruchów szpadlem i coś wyraźnie zgrzytnęło. Kajtek odłożył szpadel, nachylił się i zaczął odgarniać piach rękami. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie, bo w tym momencie wyprostował się pokazując zranioną dłoń.

- To nic, nic mi nie będzie – uspokajał.

- Pokaż dłoń! - O nie, koniec tych poszukiwań, dość tego, to znak, jeszcze coś gorszego zaraz się stanie – Marysia uznała, że czas na interwencję.

- Nie, nie będziemy teraz przerywać. Nie zostawimy przecież tego rozkopanego dołu, bo zaraz ktoś się zorientuje, że coś tu jest do znalezienia – Kajtek nie rezygnował.

W końcu, ku niezadowoleniu Marysi, uznali, że trzeba kopać dalej. Kajtek nie zgodził się, żeby do dołu wszedł teść i po prowizorycznym zabezpieczeniu skaleczonej dłoni zaczął już wolniej i bardziej metodycznie odkrywać kolejne przedmioty znajdujące się w dole. Mietek z Renatą i Marysią, po pobieżnym oczyszczeniu ich z ziemi, układali je na dnie pudła.

Było już późne popołudnie, gdy uznali, że w tym dole już niczego więcej nie znajdują.

- Nie wygląda to dobrze, wyraźnie widać, że to miejsce zostało już dawno wyszabrowane – to przecież niemożliwe, aby w tak wielkiej skrzyni było tylko to – powiedział Mieczysław wskazując na leżące w pudle przedmioty.

- To dlaczego nie zabrano wszystkiego, dlaczego to wszystko tutaj zostawiono? – zastanawiali się.

- Być może mieli sporo czasu i zrobili selekcję tego, co znaleźli w skrzyni. Skrzyni nie wyciągali, bo była za duża, wyjmowali poszczególne przedmioty, to co uznali za przydatne, to zabrali, resztę wrzucili z powrotem do dołu i zasypali piachem – domyślał się Mieczysław.

- Zobaczcie, że te resztki to głównie jakieś święte obrazki i ta figurka, która wygląda na figurę Chrystusa Ukrzyżowanego. Dawniej się mówiło,

że złodzieje nie kradną poświęconych rzeczy, żeby nie ściągać na siebie nieszczęścia. Być może ci złodzieje też mieli taką zasadę, żeby nie kraść świętych obrazów, krucyfiksów i innych tego rodzaju przedmiotów.

- Słuchajcie, ważna rzecz. Uważam, że ponieważ zastaliśmy to miejsce w takim stanie, to nie powinniśmy odkopywać pozostałych miejsc bez obecności księżnej Elżbiety lub kogoś z jej rodziny. To zabieramy do domu, nikomu nic nie mówimy, ja zaraz napiszę do księżnej co zostało znalezione, ona niech zdecyduje, co dalej – powiedział Mieczysław wskazując na pudło.

- Tak, racja – zgodzili się pozostali. Jak znajdziemy tamte miejsca nie naruszone, to ktoś mógłby się zastanawiać, czy czasami i w tym dole nie było czegoś więcej, a jak będą puste, to być może także narazimy się czyjeś wątpliwości, czy tego co tam było po prostu sobie nie wzięliśmy.

- Mam prawie pewność, że jak złodzieje dotarli do tego miejsca, to i bez trudu znaleźli pozostałe. Tam też nic nie będzie, ale niech księżna przekona się o tym osobiście, tak będzie lepiej. Widzieliście te korzenie, które poprzerastały ziemię w tym dole? Tak pewnie będzie i w pozostałych. To będzie dowód, że te miejsca było rozkopane już bardzo dawno temu – zakończył temat Mieczysław.

Po powrocie Mieczysław napisał list do Elżbiety:

Radzyń Podlaski 18.lipca. 1996 roku

Droga Pani Elżbieto!

Spełniając Pani prośbę, abym nie czekając na Pani przyjazd odkopał wskazane przez Panią miejsca informuję, że ze swoim zięciem Kazimierzem Raczyńskim odkopaliśmy w dniu wczorajszym miejsce, w którym według planu była zakopana największa skrzynia. Z przykrością informuję, że miejsce to nie zawierało tego czego się spodziewaliśmy. Na głębokości około 1.5 metra znaleźliśmy resztki dużej dębowej skrzyni, bez górnej jej części. Cała wypełniona była piachem, co wskazuje, że już wcześniej została odkopana i następnie ponownie zasypiana. Wszędzie były resztki zbutwiałego prosa. Skrzynia nie była zupełnie pusta. Z jakich powodów część przedmiotów nie została przez złodziei zabrana. Odnaleźliśmy w jej wnętrzu i poza nim liczne odłamki płaskiego szkła, kawałki drewna, skóry, resztki wizerunku Chrystusa Ukrzyżowanego, bardzo zniszczony fragment obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, zniszczony rozkawałkowany mały żyrandol z kryształowymi wisiorami, słuchawki radia kryształkowego, fragment książki z okrągłym szkieletem w okładce oraz inne nierozpoznane przeze mnie szczątki. Ziemia usuwana z wykopu poprzerastana była korzeniami drzew rosnących w pobliżu, co dowodzi, że zawartość skrzyni splądrowana była już dawno temu. Wszystkie przedmioty zostały przez nas dokładnie zebrane

i zabezpieczone, nawet te, które nie zostały rozpoznane. Pozostałych miejsc umieszczonych na planie nie rozkopaliśmy. Bardzo proszę o zadecydowanie, co dalej mamy robić z odszukanymi przedmiotami.

Z wyrazami szacunku

Mieczysław Fijewski

Elżbieta odpisała, żeby te przedmioty przechować, że ona postara się po nie przyjechać i rzeczywiście przyjechała późną jesienią ze swoim chrześniakiem i wnuczką Joanną. W Radzynie byli przed południem. Marysia poczęstowała gości późnym śniadaniem, a Mieczysław położył odnalezione przedmioty na stole w gościnnym pokoju. Elżbieta brała je kolejno do rąk i bardzo szczegółowo oglądała. Jej także nie wszystko udało się zidentyfikować. Wyraźnie się wzruszyła, biorąc do ręki resztki pasyjki wykonanej z kości słoniowej, którą to pasyjkę otrzymała od swego teścia Seweryna. Pasyjka została przywieziona prawdopodobnie z Finlandii, choć z pewnością nie została tam wykonana. Umieszczona była na hebanowym krzyżu, krzyż się nie zachował, pasyjka była zniszczona, zupełnie pozbawiona była tylnej części, ale przód zachował się ze wszystkimi szczegółami. Po tych fragmentach można było się przekonać o mistrzostwie wykonania tego przedmiotu. Skąd pochodził artysta, którą ją wyrzeźbił – dokładnie nie wiadomo. Takie mistrzowskie krzyże w XIX wieku wykonywane były w manufakturze A. Leroy Bruxellec w Belgii, być może właśnie stamtąd pochodziła. Pozostałe przedmioty identyfikowała z trudem. Rozpoznała mały żyrandol, który był zawieszony w korytarzu na piętrze, nawet nie pamiętała dlaczego się znalazł w skrzyni, gdyż jego wartość była niewielka, podobnie zdziwiła się obecnością w skrzyni słuchawek radiowych. Tego to już zupełnie nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego ktoś uznał, że takie coś powinno zostać zakopane w lesie pomiędzy cennymi przedmiotami. O tym co było w skrzyni, a co zostało skradzione Elżbieta nic nie mówiła - zresztą nikt o to nie pytał.

Marysia zaproponowała obiad, ale goście uznali, że szkoda czasu i że trzeba jechać do lasu. Pojechali. Trochę było ciasno w „maluchu” Mieczysława, pogoda pochmurna, ale nie padało jak ostatnio. „Maluch” stanął w stałym miejscu na terenie dawnej leśniczówki dobrze skryty za krzakami. Poszli spacerkiem znaną już drogą, choć dla Elżbiety była to nadal „podróż sentymentalna”. Opowiadała kuzynom z Warszawy o tym lesie w Kopinie, o swoich przeżyciach. Bez trudu trafili na miejsce. Brak liści na drzewach był nieco deprymujący, bo byli widoczni w lesie bez podszycia ze sporej odległości. Mieli nadzieję, że i tym razem nikt postronny się nie zjawi i nie będzie im przeszkadzał w pracy. Pora roku też im sprzyjała – bo pewnie niewiele

osób miałoby powód spacerować po lesie pod koniec października. Mieczysław najpierw pokazał miejsce, które rozkopał z Kajtkiem, następnie wskazał dwa pozostałe miejsca, które, jak wynikało z planu, zawierały pozostałe depozyty. Rzeczywiście po dokładniejszym przyjrzeniu się widać było w tych miejscach niewielkie, dość regularne zagłębienia. Młodzi od razu wzięli się do pracy.

- Tutaj był zakopany niewielki drewniany kufer z przedmiotami należącymi do mojej przyjaciółki - przypominała sobie Elżbieta - jeśli mi na czymś bardzo zależało, to na znalezieniu właśnie tego kuferka. Tam były naprawdę cenne przedmioty, łącznie z rodzinną biżuterią dużej wartości, były też srebra, monety, zegarki i wiele innych bardzo cennych rzadkich rzeczy. Byłby to dla mnie najpiękniejszy dzień jakbym mogła po latach zwrócić rodzinie mojej przyjaciółki, to co z taką ufnością mi kiedyś powierzyła.

Lekka piaszczysta ziemia nie stawiała oporu i po kilkunastu minutach pierwszy wykop osiągnął głębokość około 1,5 metra. Nie natrafiono na nic, co by mogło świadczyć o tym, że coś było tam wcześniej zakopane.

- Jeśli nic tu nie ma, to pewnie złodzieje zabrali go w całości - ocenili zgodnie - głębiej nie ma sensu kopać, bo dalej ziemia jest bardziej zwarta i na pewno nie była wcześniej ruszana.

Elżbieta wyraźnie posmutniała. Dość długo stała nad wykopem, jak nad otwartą mogiłą, nic nie mówiła.

- Jak tu nic nie ma, to i nie będzie nic i w pozostałych miejscach - powiedziała.

- Moim zdaniem nie ma co się trudzić. Zakopcie tę dziurę i wracamy.

Zaprotestowali, ona zrezygnowana kiwnęła głową i poszli do następnego miejsca, w którym miała być zakopana skrzynka z alkoholami.

Dokładnie ten sam scenariusz - miękka ziemia do głębokości około 1,3 metra, później zwarty żwir i ani śladu czegokolwiek. Zasyпали więc i ten wykop.

- Pani Elżbieto, jak pani myśli, kto mógł to ukraść? Bo moim zdaniem tylko ktoś z tych ludzi, którzy byli przy zakopywaniu. Czy pani pamięta, kto wtedy z panią tutaj był?

Elżbieta przez chwilę myślała i powiedziała, że nie pamięta, że pamięta tylko Stanisława, który to wszystko przygotował. Owszem, byli jeszcze jacyś ludzie, ale kto to był i ilu ich było - to nie pamięta.

Wrócili do Radzyna. Marysia poczęstowała wszystkich obiadem, w trakcie którego Mieczysław jeszcze raz usiłował się czegoś dowiedzieć o przebiegu tamtej nocy w 1939 roku. Elżbieta odpowiadała - „nie pamiętam”, „być może”, „mogło tak być”. Przed wyjazdem jeszcze raz wrócili

do znalezionych przedmiotów. Elżbieta zainteresowana była tylko pasyjką z kości słoniowej, ale w końcu spakowano wszystko z wyjątkiem rozkawałkowanego zyrandola.

- Panie Mieczysławie, proszę to zachować. Wiem, że nie jest to wiele warte, ale choć taka pamiątka z tej naszej wspólnej przygody niech zostanie u państwa.

9 marca 1998 r.

Nic nie wskazywało, że jeszcze ktoś wróci po latach do tej sprawy. Tak się złożyło, że na początku 1998 roku umarła ciotka Janina Bożym, żona Czesława Bożyma. Do Warszawy zjechała się rodzina, pojechał też Mietek. Po pogrzebie na zwyczajowym spotkaniu rodzinnym usiadł obok Ryśka Bożyma – syna Sylwina. Sylwin umarł już dość dawno, a tak się jakoś składało, że i Mietek z Ryśkiem nie znaleźli od tamtego pogrzebu okazji, żeby pogadać. Lubli się i traktowali po przyjacielsku mimo sporej różnicy wieku, jaka ich dzieliła. Obaj interesowali się historią, obaj chętnie o niej dyskutowali. Wspominali czasy wojny, Sylwina, Czeska i pozostałych. Rysiek oczywiście nic z tych czasów nie pamiętał, ale pamiętał opowieści swego ojca i wuja. Mieczysław opowiedział Ryśkowi o poszukiwaniach w lesie i o swoich przypuszczeniach, co się mogło z tymi skarbami stać. Rysiek bardzo zainteresował się tą historią, bo jak się okazało od kilku lat pasjonował się poszukiwaniami i kolekcjonowaniem różnych militariów. Zapalił się bardzo do pomysłu, aby wrócić do lasu i z wykrywaczem metalu spróbować zlokalizować miejsce zakopania broni myśliwskiej Włodzimierza Czetwertyńskiego, o którym to miejscu wspominała Elżbieta, ale z braku czasu i dlatego, że Elżbieta nie pamiętała dokładnie, gdzie może być to miejsce – nikt nawet nie próbował dotychczas tam dotrzeć. Mietek został zaproszony na Sadybę, gdzie mu Rysiek z dumą zaprezentował bogatą kolekcję różnych przedmiotów, które wykopał ze swym synem Pawłem z różnych pól bitewnych.

- Miciu, proszę, jedźmy tam. Mam dobry wykrywacz i jeśli tam cokolwiek jest, to na pewno to znajdziemy.

- Dobrze, przyjeżdżaj jeśli chcesz, choć według mnie tam także niczego nie znajdziemy. Jeśli złodzieje dotarli do skrzyń, to i pewnie znaleźli i miejsce z bronią. Mój ojciec także swoją strzelbę ukrył i wiem to na pewno, że ją Ławniczak odkopał, bo ta strzelba była bardzo charakterystyczna i jak się pojawiła na jakimś polowaniu, to od razu ci co znali ojca poznali, że to jego broń. Jak znaleźli strzelbę, to i znaleźli sztucery.

- To Ławniczak miał strzelbę twego ojca? I co, nie upomniałeś się, przecież się znaliście!

- No tak, znaliśmy się, ale nie było o co się upominać. Tej strzelby już nie ma. Nadleśnictwo z Suchowoli zorganizowało gdzieś w latach pięćdziesiątych duże polowanie. Nazjeżdżało się dygnitarzy z całej Polski i przyjechał jakiś partyjniak z Lublina, ale nie miał z czego strzelać, więc mu Ławniczak dał strzelbę ojca, którą jak się okazało gdzieś znalazł. Ten dygnitarz dostał tak dobre stanowisko, że cały czas zwierzyna na niego wychodziła i on strzelał raz za razem - trafiał, nie trafiał, ale strzelał zapamiętale. Nie wiadomo jak on to zrobił - albo gdzieś rzucił tą strzelbę, albo mu upadła i do lufy dostał się śnieg. Lufa była rozgrzana, on tego śniegu nie usunął i przy następnym strzale lufę po prostu rozerwało - i taki był koniec strzelby ojca. Ale jeśli chcesz, to przyjeżdżaj, pokażę ci to miejsce, gdzie przypuszczalnie była zakopana ta broń. Wiem na pewno, że były tam dwa sztucery, może coś jeszcze, o czym księżna Czetwertyńska nie pamiętała lub nie chciała mówić. Pożegnali się z postanowieniem, że Rysiek wkrótce przyjedzie do Radzyna i pojedą do lasu.

I rzeczywiście zaraz wczesną wiosną przyjechali we dwóch - Rysiek i jego syn Paweł z dwoma wykrywaczami. Pierwszą rzeczą, którą zauważyli i ją od razu od Mieczysława wyprosilili był mosiężny rosyjski bagnet z dorobionym ostrzem, który leżał sobie na podwórku u Mietka, bo go do prac w ogrodzie używała Marysia. Bagnet przyniósł kiedyś do domu syn Mietka - ponoć kupił go od kolegi za dziesięć złotych. Rysiek pewnie poznał się na tym przedmiocie, więc już miał sukces i podróż zaczęła mu się zwracać.

Pojechali do lasu. Było zimno i mokro, padał deszcz ze śniegiem, ale pogoda im nie przeszkadzała, nawet cieszyła, bo byli pewni, że nikt poza nimi w tym dniu po lesie nie będzie spacerował. Samochód zestawili jak zwykle za krzakami na dawnym podwórku leśniczówki. Mietkowi się przypomniało, że Elżbieta powiedziała, że obok tego miejsca, gdzie zostały zakopane sztucery, został posadzony modrzew, więc pierwszą rzeczą, którą zrobili było wypatrywanie modrzewia wśród innych drzew. Czyżby to było aż tak proste? - W tym rejonie lasu po tej stronie drogi rósł tylko jeden modrzew i to widoczny z daleka. Poszli tam i od razu, zaraz po uruchomieniu aparatów, mieli sygnał. Trzeba było kopać dość głęboko, bo dopiero na głębokości około 1,5 metra natrafili na to co brzęczało w słuchawkach.

- Widzicie to co ja? - Paweł, który pracował w wykopie był wyraźnie podekscytowany - to srebro!

Na brzeg wykopu wykładali co chwile kolejne sztuki srebrnych łyżek, widelców, noży - Mietek z Ryśkiem oglądali je podekscytowani. Od razu

zauważyli, że na każdym ze sztucców był pięknie wykonany monogram – splecione ze sobą dwie litery „S” i „C”

- Seweryn Czetwertyński! – to są nakrycia należące do Seweryna Czetwertyńskiego! – Mieczysław był pewien, że się nie myli. Tylko skąd się to tu wzięło?

- Ale to nie srebro – powiedział Rysiek po dokładnym przyjrzeniu się kolejnym przedmiotom. – Zobaczcie, to jest jakiś żółty metal i cienka warstewka srebra. To plater! – pokazał, że faktycznie prawie na każdym sztuccu srebrna powłoka była mniej lub bardziej poprzecierana i wyraźnie było widać, że są wykonane z innego metalu.

Łyżki i widelce były w dobrym stanie, noże zachowały się gorzej, bo stalowe ostrza były tak mocno skorodowane, że praktycznie rozpadały się w dłoniach. Trzonki, podobnie jak łyżki i widelce, zachowały się znakomicie. Na każdym widoczny był misterny ornament – monogram „SC” i książęca korona. W końcu Paweł wyjął ostatnie metalowe przedmioty, którymi były okucia i zamki jakiejś większej skórzanej walizki. Wszędzie były też skórzane resztki tej walizki, które także skrzętnie zebrano.

- No cóż, w tym dole już więcej nic nie ma – powiedział Paweł gramoląc się na powierzchnię. Mamy sztucce, ale gdzie są sztucery?

-Trzeba szukać dalej – uznali zgodnie.

Sztucce policzyli, włożyli do torby i z nadzieją zaczęli krążyć wokół. Wykrywacze rzeczywiście brzęczały od czasu do czasu, ale odkryte przedmioty to tylko kawałki drutu, fragmenty jakichś blach i trudny do identyfikacji złom. Po godzinie zrezygnowali. Wrócili do Radzyna, wyłożyli znalezisko na stół i ustalili, że wszystkie te przedmioty powinny zostać u Mietka. Mietek napisze do księżnej i niech ta zadecyduje, co dalej. Rysiek wyprosił, aby mógł zabrać okucia i zamki walizki. Mietek się zgodził, ale zastrzegł, że jeśli Elżbieta zażąda i tych przedmiotów, to Rysiek je odda.

11 marca 1998 roku

Szanowna Pani Elżbieto!

Jestem w obowiązku Panią poinformować, że korzystając z możliwości technicznych, z których nie mogliśmy korzystać w trakcie naszych poszukiwań przed 10-cią laty odszukałem miejsce, w którym według Pani opisu miała być ukryta broń myśliwska Pani męża. Broni nie znalazłem, natomiast we wskazanym miejscu odkopałem zniszczoną walizkę lub skurzany kuferek zawierający 40 sztuk posrebrzanych sztucców: łyżek, łyżeczek, widelców, noży z wyraźnym monogramem utworzonym ze splecionych ze sobą liter „SC”. Domyślałem się, że monogram wskazuje,

że sztucce zostały wykonane dla Ks. Seweryna Czetwertyńskiego. Całość znaleziska została przeze mnie zabezpieczona u mnie w domu w Radzynie Podlaskim. Pozostawiam te przedmioty do Pani dyspozycji. Proszę o decyzję co powinienem z nimi zrobić.

Łączę pozdrowienia od mojej małżonki

Z wyrazami szacunku

Mieczysław Fijewski

Odpowiedź przyszła szybko. Elżbieta napisała, że bardzo się cieszy z tego znaleziska, że się nie spodziewała, że po latach jeszcze coś z tych zakopanych w lesie przedmiotów się znajdzie, że bardzo dziękuje i jest wdzięczna za trud, jaki Mieczysław wkłada w rozwikłanie jej rodzinnych spraw. Potwierdziła, że monogram „SC” z pewnością udowadnia, że sztucce były własnością Seweryna Czetwertyńskiego. Poinformowała Mieczysława, że w sprawie sztucców zgłosił się do niego jej kuzyn Andrzej Żółtowski, potomek dawnych właścicieli Milanowa. Napisała, że pozwoliła sobie przekazać Andrzejowi Żółtowskiemu adres i telefon Mieczysława. Uprzedziła, że Andrzej do niego zatelefonuje, aby się umówić co do daty i formy przekazania mu znaleziska.

Andrzej Żółtowski odezwał się dopiero jesienią 1998 roku, umówili się z Mieczysławem, że Andrzej przyjedzie do Radzyna i osobiście odbierze znalezione przedmioty. Przyjechał w towarzystwie swojej żony na początku grudnia. Rodziny spędziły ze sobą kilka godzin. Panowie mieli sobie dużo do powiedzenia, gdyż co prawda nie znali się osobiście, ale Mieczysław dużo wiedział o rodzinie Żółtowskich, o ich majątku w Milanowie. Okazało się, że mieli wielu wspólnych znajomych. Mieczysław był na pogrzebie brata Andrzeja, który został pochowany na swoje życzenie w Milanowie. Obejrzeliznalezisko. Mieczysław szczegółowo zrelacjonował przebieg poszukiwań, opowiedział o roli swego ojca w ukrywaniu „skarbów”. Obaj zastanawiali się skąd te sztucce mogły się znaleźć w tej części lasu, skoro nawet Elżbieta nic o nich nie wiedziała. Na koniec Andrzej zdecydował, że pozostawi na pamiątkę rodzinie Mieczysława po kilka sztuk sztucców, Mieczysław się ucieszył, podziękował. Panowie rozstali się w przyjaźni, można powiedzieć, że się polubili.

Za kilka tygodni w przeddzień Bożego Narodzenia 1998 roku Mieczysław otrzymał list od Andrzeja Żółtowskiego:

24.12.1998 r.²⁴

Szanowny i Drogi Panie,

Rozmaite dolegliwości i zatrudnienia nie pozwoliły mi wcześniej wyrazić Panu, mego i mojej żony, szacunku za radość jaka Pan sprawił tym co na laurce widnieją podpisani. Również czas, który zbiegł pomiędzy Polską i Kanadą i korespondencją moją z Ks. Elżbietą, by jej życzeniem w dysponowaniu tych (...) (sreber) stało się zadość, oddalił moje odezwanie się do Pana.

Zbiega się ono ze Świątami i Nowym Rokiem, w którym życzymy, by stało się zadość zamysłom Pana i Żony, a najbardziej by Bóg Państwu pobłogosławił w zamierzeniach córki i zięcia.

Serdecznie oddany

Andrzej Żółtowski

Warszawa

Do listu została dołączona kartka A4 z wyrysowaną kolorowymi flamastrami po obu stronach udekorowaną choinką, z której spadają łyżki, noże i widelce z zamieszczonym tekstem:

*Z WIELKĄ WDZIĘCZNOŚCIĄ SKŁADAMY NAJLEPSZE ŻYCZENIA
DLA PANA I PANA RODZINY, NA ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA
I ROK NOWY 1999*

WASOWSCY

GROCHOLSCY

E. GROCHOLSKA-ZANUSSI

POTOCCY

PLATER-ZYBERK

CZETWERTYŃSKI

GIUBOURGE-CZETWERYŃSKI

W te święta, Mieczysław opowiedział zgromadzonej rodzinie o spotkaniu z Żółtowskim i rozdzielił na pamiątkę swym dzieciom po dwie sztuki pozostawionych mu sztućców.

26 stycznia 2001 r.

Wszyscy w rodzinie Fijewskich, a także sporo ich znajomych i przyjaciół zasiadło przed telewizorami, aby obejrzeć film Krzysztofa Zanussiego

²⁴ Kserokopia listu – str. ????

pod tytułem „Skarby ukryte”. Wiedziano o tym filmie i już od grudnia na niego czekano z zainteresowaniem. W grudniu 2000 roku księżna Elżbieta napisała do Mieczysława list z informacją, że taki film powstał, że Zanussi kanwę tego filmu oparł na opowiedzianych mu przez Elżbietę jej przeżyciach, a także na relacji z rozmowy z Mieczysławem złożonej Zanussiemu przez Andrzeja Żółtowskiego.

Film, oczywiście jak większość filmów mistrza, zrobiony zgrabnie, dobrze zagrany przez znanych aktorów, utrzymany w ulubionej przez Krzysztofa Zanussiego konwencji „moralnego niepokoju”, dla rodziny Fijewskich, a szczególnie Mieczysława był szokiem. Marysia od razu usiadła i na gorąco, aby niczego nie zapomnieć, napisała na kartce w linię wyrwanej z notatnika:

Notatka o filmie

26.I.2001 w I pr. TV wyemitowano film reż. Krzysztofa Zanussiego pt. *Skarby ukryte*. Gł. Aktorzy: Maja Komorowska w roli Róży, Agata Buzek – dziewczyna podlotek, Wojciech Siemion.

Kr. treść: Do posiadłości (przedwojennej) przyjeżdża Róża, kobieta z klasą (co widać z zachowania i stylu wypowiedzi) z zamiarem odnalezienia ukrytych w ziemi kosztowności. Chce skontaktować się z dziadkiem (W. Siemion), aby pomógł jej wydobyc, lecz on ukrywa się przed nią. Róża zaprasza do Paryża jego wnuczkę - podlotka, gdzie dziewczyna odkrywa bardzo skromne życie Róży (dorabiającej sprzątaniami u bogatego Araba). Podczas drugiego przyjazdu ze swoimi ludźmi i wykrywaczem metalu odnajduje w ziemi skrzynkę, lecz pustą. Domyśla się, kto ją opróżnił. Dziadek mający nieczyste sumienie dostaje w tym czasie ataku serca, nie chce księdza ni lekarza. Róża uspokaja go i namawia do spowiedzi przed księdzem, bo ona wszystko przebacza, licząc tylko, że może kiedyś tu wróci by zamieszkać w Domu Starców mieszczącym się w jej pałacu, a od młodej wnuczki uzyskuje wyznanie (przysiężenie), że ze spadku po dziadku przyczyni się do remontu pałacu.

O nagraniu tego filmu pisała do nas w XII 2000 p E. Czetwertyńska informując iż powstał na kanwie jej własnych przeżyć (Róża) i opowiadania M. Fijewskiego przed p. hr. Żółtowskim. Zachęcała też do opisania szerzej tła tego filmu.

Maria Fijewska

Nikommu z rodziny nie było przyjemnie po obejrzeniu tego filmu. Młodzi trochę żartowali, snując domysły kto z nich był wśród bohaterów filmu i który z aktorów wcielał się w ich postacie.

- To chyba ciebie zagrała Buzkówna - domyślano się wskazując na Renatę, najmłodszą córkę Mieczysława, choć Renata pięć razy ładniejsza od aktorki.

Mieczysław wysłuchał emocjonalnych ocen filmu wyrażanych przez synów i uznał za wskazane napisać listy do Elżbiety i do Zanussiego, aby w nich powiedzieć, co myśli o takiej manipulacji i o poczuciu krzywdy, jaką odczuwa mając w pamięci losy Stanisława, ale i o poczuciu niesprawiedliwości, jaką on osobiście odczuwa konfrontując treść filmu, który obejrzała przecież cała Polska, z prawdziwymi faktami, które tak silnie zaważyły na jego własnym życiu.

Do Elżbiety napisał, że się nie spodziewał takiego podsumowania ich wspólnej historii, że ma żal do reżysera, który tak spłycił i uprościł całą rzecz, czyniąc z niego, a może i z jego ojca - złodziei. Poinformował o swoim zamiarze napisania listu do Zanussiego w celu sprostowania i wyjaśnienia prawdy o tle tego filmu, które tak dotkliwie zostało przez niego wypaczone. Czekał na list z wyjaśnieniami, ale się nie doczekał, usiadł więc i zaczął spisywać wszystko to, co pamiętał. Powstały dwa teksty „Moje świadectwo o Ojcu – Stanisławie Fijewskim i jego działalności w latach 1939 – 40 w organizacji „Brochwicz”, a później „Prawda o skarbach ukrytych”. Zamierzał je jakoś upowszechnić, myślał aby wysłać do Zanussiego, ale w końcu dał je do przeczytania tylko żonie Marysi. Ponieważ nie otrzymał od Elżbiety odpowiedzi na poprzedni list wstrzymywał się z wysyłaniem do niej tych tekstów, mimo że rodzina go do tego namawiała.

W końcu przed świętami Bożego Narodzenia 2001 roku otrzymał z dawna oczekiwaną kopertę z Kanady, ale wewnątrz była tylko kartka z życzeniami świątecznymi i ani słowa odniesienia do jego emocjonalnego listu, który wysłał do niej prawie przed rokiem. Fakt, że jednak się do niego odezwała - mimo że były to tylko świąteczne życzenia - skłonił go jednak do wysłania do niej tekstu „Prawda o ukrytych skarbach”. Do dokumentu dołączył list:

Szanowna Pani Elżbieto!

Spełniając dawną Pani prośbę w załączeniu przesyłam swoją wersję o „Skarbach ukrytych” napisaną po 12-u miesiącach od obejrzenia filmu p. Krzysztofa Zanussiego. Ten czas był mi potrzebny na wszechstronne rozważenie powiązań znanych i prawdopodobnych faktów z lat wojny i naszych wspólnych wysiłków z ostatnich czasów z literacką wersją scenariusza i filmu. Rozumiem jego głęboki aspekt moralny, ale co to ma wspólnego z rzeczywistymi faktami? Początkowo nosiłem się z zamiarem przestania panu K. Zanussiemu swojej prawdziwej wersji historii „skarbów ukrytych”, lecz doszedłem do wniosku, że nie mam żadnego prawa do wnoszenia uwag do Jego interpretacji. Jako twórca ma prawo każdą

kwestię przedstawić według własnego uznania, tym bardziej, że wszystkie osoby w filmie są anonimowe. Cała rzecz, dla mnie b. ważna, wywodzi się z informacji, że scenariusz oparty został na naszej relacji i zdarzeniach autentycznych. Z tego wywodzi się świadomość, że w oczach „jakichś” ludzi jestem chciwym, tchórzliwym człowiekiem, który bez skrupułów skradł czyjąś własność. Przyznaję, że zarówno w osobistych kontaktach, jak i obszernej korespondencji, nigdy ze strony Pani nie odczułem ani cienia nieufności. Udzielony mi kredyt zaufania dawał mi satysfakcję i radość, że robię coś dobrego i jest to kontynuacja bezinteresownej działalności mego Ojca.

Uprzejmie proszę o zapoznanie się z zestawionymi przeze mnie faktami i wnioskami i udzielenie mi odpowiedzi przynajmniej na niektóre pytania. Do Pani decyzji pozostawiam przekazanie mego odczucia w tej sprawie p. K. Zanussiemu i ewentualnie innym zainteresowanym osobom.

Wspomnienia o swym Ojcu i Jego pracy konspiracyjnej opisałem oddzielnie dla wiadomości moich dzieci i wnuków.

Serdecznie dziękuję za pamięć i życzenia świąteczne i noworoczne, jak zawsze piękne i wzruszające. Proszę również przyjąć od całej mojej rodziny, a szczególnie od nas obojga z małżonką najlepsze życzenia, by Dobry Bóg darzył Panią zdrowiem i przez długie jeszcze lata pozwolił się cieszyć wszelkim dobrem, jakie na tej Ziemi przygotował dla jej mieszkańców.

Mieczysław Fijewski

Tekst był dość długi, więc list nie mieścił się w standardowej kopercie. Trzeba było postarać się o większą, półaktową, ale i tak była to pokaźna przesyłka. Elżbieta otrzymała ją w lutym i zaraz odpowiedziała. Jak się później okazało to już był ostatni list od niej.

poniedz. 18-II-2002

Kochany panie Mieczysławie,

Dziś otrzymałam „grubaśny” list z Radzynia z całą opowieścią o Ukrytych Skarbach, o którą już dawno prosiłam. Jak bardzo ucieszył mnie fakt, że Pan się na to zgodził, że tak pięknie i żywo opisał, nie potrafię znaleźć słów. To spadło na mnie dziś tak nieoczekiwanie, zupełnie mi „dech odebrało”. Muszę Panu od razu tylko tyle napisać: opowieść Zanussiego nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością i sam K. Z. na początku filmu daje nam to do zrozumienia. Zastrzega się, że jeśli cokolwiek w tym filmie mogłoby przypominać rzeczywistość, to jest to zupełny przypadek. Zanussi chciał opowiedzieć dzieje pewnej starszej pani i obrał sobie mnie za „bohaterkę”, osnuł opowieść tylko częściowo na znanych mu faktach z opowiadań rodzinnych (Czetwertyńskich, Grocholskich, Żółtowskich), a resztę wymyślił, aby opowieść

miała mocniejszy charakter. Ja to tak odebrałam (co prawda z góry wiedziałam mniej więcej, że zupełnie zmienił rzeczywistość, nie wiedziałam co prawda co zmienił, ale byłam przygotowana i dlatego mi się tak podobało rozwiązanie końcowe). Napiszę więc za chwilę parę poprawek i wyjaśnień, które (mam wrażenie) były już „wyjaśnione”. Bardzo serdecznie pozdrawiam i dziękuję raz jeszcze za Pana wysiłek.

Serdeczności dla żony i całej rodziny

Elżbieta Czetwertyńska

Te „poprawki i wyjaśnienia” już do Mieczysława nie trafiły. Mieczysław wysyłał zwyczajowe kartki świąteczne, w ostatniej z niej w grudniu 2003 roku napisał:

Droga nam Pani Elżbieto!

Dzięki opatrności Bożej już za miesiąc kolejny rok naszego życia przejdzie do przeszłości. Ile czasu nam jeszcze zostało – nie wiemy, ale pewnym jest, że mamy go coraz mniej.

Na czas Pięknych Świąt Bożego Narodzenia i nadchodzący Nowy 2003 Rok prosimy przyjęć od szczerych przyjaciół z dalekiej Polski, okrytej już teraz śniegową bielą, serdecznie życzenia, by Boże Dziecię i jego Matka przynieśli Pani i jej rodzinie swoje błogostawieństwo, pokój i spełnienie wszystkich pragnień.

M.M. Fijewscy

P.S.

List Pani napisany bezpośrednio po otrzymaniu mojej wersji interesującej nas historii sprzed lat wzbudził we mnie nadzieję, że przynajmniej niektóre wątki do dziś będące tajemnicą zostaną wyjaśnione. Martwi mnie bardzo brak od 10-u już miesięcy jakiegokolwiek wiadomości.

Odpowiedzi już nie było.... Minęło kilka lat zanim rodzina dowiedziała się, że Elżbieta zmarła w Vancouver w 2004 r. Przeżyła 90 lat.

Zakończenie

Mieczysław zmarł 8 stycznia 2020 roku. Kilka miesięcy przed śmiercią powiedział mi, że w biurku na górze znajdzie niebieską tekturową teczkę z kilkoma rękopisami dotyczącymi historii „skarbów”. Powiedział, że znajdzie w niej także jego wspomnienia o dziadku Stanisławie i niektóre listy jakie otrzymał od Elżbiety Czetwertyńskiej, a także jego reakcję na film Zanusiego. Przeczytałem wszystko i pierwsze co zauważyłem, to duża zgodność tego co już wcześniej napisałem z tym, co tam znalazłem. Nie wszystkie szczegóły się jednak zgadzały, dlatego też w zakończeniu cytuję wiernie - bez żadnych zmian ni poprawek - prawie wszystkie dokumenty znalezione w niebieskiej tezcze. Czytelnik będzie mógł skonfrontować moją opowieść z zapiskami ojca, które należy w tym kontekście uznać za teksty źródłowe.

Mieczysław Fijewski

s. Stanisława

(adres zamieszkania)

Prawda o „Skarbach ukrytych”

- do scenariusza i filmu p. Krzysztofa Zanussiego.

Święta Bożego Narodzenia 2001 roku zgromadziły całą moją rodzinę liczącą już 19 osób. Była wspólna modlitwa, dzielenie się opłatkiem i radością, że jesteśmy razem, tradycyjna wieczerza wigilijna, piękne polskie kolędy, wzajemne życzenia, podarki i wspomnienia o dawnych świętach z moich dziecięcych lat, o smutnych wigiliach z czasów okupacji, o osobach nam bliskim, których nie ma już wśród żyjących. Swym wnukom opowiadałem o moim ojcu, o jego zaangażowaniu w prace konspiracyjne i społeczne oraz jego aresztowaniu jesienią 1940 roku. Wówczas pod moim adresem padło konkretne pytanie – „Tato, czy nie widzisz konieczności wyjaśnienia do końca sprawy „skarbów ukrytych” jakie obejrzelśmy w programie telewizyjnym w dniu 26. I. 2001 r.”. Dorośli członkowie rodziny wiedzą jaki był w niej udział mego Ojca – Stanisława w 1939 r. i jakie było moje zaangażowanie w odszukanie tego, co przed pół wiekiem zostało ukryte, skąd wypływa żądanie rodziny o pełną i obiektywną ocenę wszystkich okoliczności i ludzi.

W miesiącu grudniu 2000 r. po długiej przerwie w ożywionej w poprzednich latach korespondencji otrzymałem list od p. Elżbiety Czetwertyńskiej z Kanady, którego fragment cytuję – „Czy Pan Panie Mieczysławie spisał już całą historię Pana ś.p. Ojca? – tak wspaniale opowiadana Andrzejowi Żółtowskiemu z Milanowa. Ta historia łącznie z moimi listami i osobiście opowiedzianą wersją Krzysztofowi Za-

nussiemu (mąż Elżbiety Grocholskiej – najmłodszej z rodziny Remigiusza i Barbary) sprowokowała do napisania scenariusza i nakręcenia filmu „Skarby ukryte”. Historia zupełnie przeinaczona, ale wątki podobne. Nawet bardzo. Prawdziwa historia MUSI być uwieczniona. Nikt tego lepiej nie zrobi jak Pan. Bardzo o to proszę” (koniec cytatu). Była to już druga prośba o podobnej treści, a mnie ciągle brakło odwagi do pisania o sprawach z tak odległej przeszłości, niegdyś okrytych głęboką tajemnicą, częściowo zatartych w ludzkiej pamięci i ściśle powiązane z dramatami osób, często wplątanych bez własnej woli w splot wydarzeń, jakie przyniosła wojna. Czas jest jednak nieubłagany, po 62 latach, jakie minęły od tragicznego września 1939 r. pozostało już mało ludzi pamiętających atmosferę tamtych dni, wzajemną zyczliwość i bezinteresowną pomoc okazywaną potrzebującym. Przyznaję, że bardzo pragnąłem obejrzyć fil p. Krzysztofa Zanussiego p.t. „Skarby ukryte”. Ciekawość moja została zaspokojona 26 I 2001 r. przez program I TV. Film oceniłbym bardzo pozytywnie, jak wszystkie inne reżyserowane przez p. K. Zanussiego, gdyby mnie wcześniej nie powiadamiano, że scenariusz został napisany na podstawie mego opowiadania p. Andrzejowi Żółtowskiemu, uzupełnionego wspomnieniami p. Elżbiety Czetwertyńskiej. W świetle tych informacji ze smutkiem mogłem się domyślać, że moja osoba stała się wzorcem dla stworzenia postaci dziadka mającego wiele na sumieniu, świetnie zagrane przez p. Wojciecha Siemiona.

Jest faktem bezspornym, że ojciec mój Stanisław w 1939 r. „skarby” ukrywał, ale czy robił to sam? I jest prawdą, że po pięćdziesięciu kilku latach, bez mojej inicjatywy, zostałem włączony w próbę ich odszukania. Podjąłem się tego zadania i robiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby pomóc prawowitej właścicielce odzyskać to, co w czasie wielkiego zagrożenia zabezpieczono przed utratą. Robiłem to z poczuciem pełnej dyskrecji, odpowiedzialności, traktując to jako kontynuację poufnej pracy zapoczątkowanej przez mego Ojca.

Prawdziwy problem „skarbów ukrytych” jest jednak bardziej złożony i tragiczny niż przedstawiono go w filmie p. Zanussiego. Należy podzielić go na dwa odległe od siebie okresy: - rok 1939 – okoliczności związane z ukrywaniem oraz czas poszukiwań w latach 1989 – 99.

Okres pierwszy – rok 1939 – opisuję na podstawie opowiadań mojej mamy – Ludwiki Fijewskiej, p. Elżbiety Czetwertyńskiej, własnych wspomnień i wniosków wyciągniętych po dotarciu do miejsc i obejrzeniu pozostałości po „skarbach ukrytych”.

W czasie zagrożenia jakie niesła wojna w 1939 r. dla ludzi i ich mienia zrozumiałym jest, że każdy, kto miał dla siebie coś cennego starał się przed zniszczeniem i rabunkiem przez Niemców zajmujących nasz kraj. Pojęcie ukrywanych skarbów jest względne, są to najczęściej rzeczy powszechnie uznawane za cenne – dzieła sztuki, biżuteria, ale są także pamiątki rodzinne i osobiste, które dla innych mogą nie

mieć żadnej wartości. Zawsze jednak ukrywanie ich wymaga maksymalnej dyskrecji i ograniczenia liczby osób wtajemniczonych. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych, zmasowanych nalotów na terenie całego kraju, szybkiego postępu wojsk nieprzyjacielskich z zachodu i wschodu, licznych pożarów, wszyscy chowali to, co mieli najcenniejszego, najczęściej w ziemi, mając nadzieję, że zagrożenie nie będzie trwało długo. Taką decyzję podjęła i p. Elżbieta Czetwertyńska. Do realizacji tego przedsięwzięcia byli potrzebni zaufani ludzie, którzy pomogliby zapakować ukrywane przedmioty, przewieźć w wybrane bezpieczne miejsce, zakopać tak, aby nie uległy szybkiemu zniszczeniu i zatrzeć ślady ukrycia. Jest faktem bezspornym, że w tych czynnościach brał udział mój ojciec – Stanisław Fijewski. Dlaczego został o to poproszony, nigdy odpowiedzi nie otrzymałem. W majątku państwa Czetwertyńskich pracował tylko 4 lata w charakterze strażnika łowieckiego, a więc stał bardzo daleko w hierarchii pracowników dworskich. Był człowiekiem skromnym, dyskretnym, pracowitym, znał się na pracach ciesielskich i stolarskich – więc może dlatego zwrócono na niego uwagę? O jego zaangażowaniu w ukrywanie przedmiotów państwa Czetwertyńskich nikt z naszej rodziny nie wiedział, być może, że tylko w jakiś ograniczony sposób, swej małżonce, a mojej matce, uzasadniał swoją częstą nieobecność w domu po godzinach pracy i w porach nocnych.

Dzisiaj już wiadomo na pewno, że „skarby ukryte” były w lesie Szpakowizna oddalonym od miejsca zamieszkania o około 2.5 kilometra, zapakowane były w nie mniej niż 4-ech skrzyniach i zakopane były każda w osobnym miejscu. Największa z nich, której szczątki widziałem miała przybliżone wymiary 1,2 x 0,8 x 0,7 m, wykonana była z dębowych desek wzmocnionych okuciami i posiadała metalowe uchwyty do przenoszenia. Inne sądząc po śladach jakie zostały w ziemi miały mniejsze wymiary. Trzy z nich zakopane były w lesie - w tamtym czasie - młodniku w odległości około 1000 m od leśnej drogi, tylko jedna z nich ukryta była w innej części lasu, oddalona była od drogi około 30 m.

Rozmiary skrzyń, odległości konieczne do przeniesienia, głębokość umieszczenia ich w ziemi (1 – 1.5 m) zabezpieczenie izolacją z ziarna prosa, warstwą grubości około 10 cm – wszystko to przemawia, że przy transporcie i ukryciu musiało pracować kilku ludzi a wiedziało o nich może jeszcze więcej.

Po pięćdziesięciu kilku latach, kiedy było już wiadomo, że wszystkie skrzynie już bardzo dawno zostały odkopane, dwie mniejsze zabrano w całości, gdyż nie pozostało po nich żadnych śladów poza zagłębieniem w powierzchni terenu. Dwie większe splądrowano, pozostawiając niektóre przedmioty i same skrzynie, z których przetrwały tylko szczątki. Do dziś jest jeszcze aktualne pytanie – kto to mógł zrobić? Odpowiedzi na to pytanie nie ma, ale jest pewność, że mógł tego dokonać tylko człowiek obecny przy ukrywaniu. Jest rzeczą niemożliwą, aby w drodze przypadku w czterech różnych miejscach, doskonale zamaskowanych odkopać i zabrać wybrane przez siebie przedmioty.

Kilkakrotnie pytałem p. Elżbietę Czetwertyńską kto poza ojcem wtajemniczony był w sprawę? Informacji pozytywnej nie otrzymałem. Od 1939 r. upłynęło bardzo dużo czasu, wiele się wydarzyło w życiu każdego człowieka, ale trudno jest uwierzyć, że nie pamięta się ludzi, którym w dużym zaufaniu oddało się swoje cenne mienie – a może przyszły później wydarzenia, których lepiej już nie mówić? W świetle znanych faktów i przemyśleń można dziś stwierdzić, że zadanie ukrycia pamiątek rodzinnych wykonywało kilku zaufanych ludzi mających dostęp do wszystkiego, co było konieczne do jego realizacji.

Czołową postacią, po właścicielach majątku, w tamtym czasie w Kopinie, był rządcą – Leon Ciompa, dysponujący wszystkim co znajdowało się w folwarku – poza domem właścicieli. Sądzić również można, że w tym czasie był również najbardziej zaufanym człowiekiem. Przy braku odpowiedzi, dlaczego memu Ojcu powierzono takie odpowiedzialne zadanie, mam prawo brać pod uwagę i to, że organizatorem ukrycia pamiątek rodziny państwa Czetwertyńskich był ich pełnomocnik administracyjny p. Leon Ciompa – on mógł wyznaczyć ludzi i udostępnić wszystko co było potrzebne. Jest to daleko idący wniosek, lecz ma swoje uzasadnienie w wydarzeniach, jakie miały miejsce jesienią 1940 r. i wczesną wiosną 1941 r.

We wrześniu 1940 r. represje niemieckie dotarły do naszej wsi – Kopiny. Najpierw aresztowano Marcelego Ostrowskiego – ogrodnika państwa Czetwertyńskich, równocześnie poszukiwano mego Ojca. Nie było go w miejscu pracy, ani w domu. Od tego czasu zaczął się ukrywać. Aresztowano dużą ilość osób, wielu zwalniano po przesłuchaniach, innych przetrzymywano przez kilka dni i poddawano torturom. Trudno było się zorientować co Niemcy wiedzą i o co im chodzi. Aresztowaną również moją mamę, wypytywano o sprawy powszechnie znane, mało ważne. Następnego dnia po zatrzymaniu została zwolniona. Po dwóch tygodniach ukrywania się mój Ojciec, za namową kolonistów niemieckich znanych mu sprzed wojny, mieszkańców wsi Okalew, sam dobrowolnie zgłosił się do komendy policji niemieckiej w Radzyniu. Został zatrzymany. W jego sprawie interweniowała liczna delegacja rodzin niemieckich z Okalewa, lecz i to nie przyniosło pozytywnego skutku, ojciec wraz z Ostrowskim zostali w listopadzie wywiezieni do więzienia w Lublinie, skąd 8 stycznia 1941 r. w dużym transporcie więźniów z całej Lubelszczyzny przewieziono ich do Oświęcimia. W marcu 1941 r. nastąpiły w Kopinie następne aresztowania, uwięziono wówczas dwóch braci Wiśniewskich oraz dwóch braci Ciołków – pracowników majątku i trzech mieszkańców wsi w tym Tadeusza Bożyma – brata mojej mamy. Po krótkim śledztwie w Radzyniu, poprzez więzienie lubelskie zostali wszyscy wysłani do Oświęcimia. Żaden z więźniów wysłanych w obu transportach do domu nie powrócił.

Na podstawie ustaleń wywiadu AK i przeanalizowaniu znanych poszlak stwierdzone zostało, że inspiratorem wszystkich aresztowań w naszej wsi i wysłanie

10-u ludzi na niechybną śmierć, był rządcą majątku Leon Ciompa. Ze szczególnym zaangażowaniem domagał się telefonicznie i listownie zatrzymania mego ojca w czasie, gdy koloniści niemieccy czynili starania o jego zwolnienie. Przez całe lata trudno nam było domyślić się przyczyny tak niegodziwego postępowania. W tamtych czasach głównym powodem aresztowań były podejrzenia o działalność konspiracyjną, ale w przypadku represji niemieckich w Kopinie i okolicy, czy tylko o to chodziło? Z osób zatrzymanych i następnie zamordowanych, poza moim ojcem Stanisławem Fijewskim w pracach konspiracyjnych, zapoczątkowanych na naszym terenie przez p. majora Remigiusza Grocholskiego brali udział tylko Marceli Ostrowski i Tadeusz Bożym. Wszyscy inni represjonowani, z organizacją niepodległościową nic wspólnego nie mieli. W organizacji natomiast byli między innymi trzej bracia żony p. Leona Ciompy – Kazimierz, Mieczysław i Antoni Ławniczakowie – oni nie doznali żadnych prześladowań ze strony okupanta.

Po tylu już latach w dalszym ciągu brak jest odpowiedzi na pytanie – czy wśród ludzi wówczas zamordowanych rękami niemieckimi nie znaleźli się wszyscy – za wyjątkiem jednego – którzy brali udział w ukrywaniu „skarbów”? Marceli Ostrowski – ogrodnik i Józef Wiśniewski – stangret należeli do osób bliskiego otoczenia p. Elżbiety Czetwertyńskiej. Czy nie byli kłopotliwymi świadkami?

Potwierdzeniem powyższych wniosków było słowa ks. Seweryna Czetwertyńskiego wypowiedziane do mojej matki, kiedy pozwolono jej na odwiedzin w szpitalu w Lublinie gdzie przebywał pod nadzorem policji. Kiedy usłyszał od mamy, że p. Ciompa zatrzymał wynagrodzenie za pracę Ojca przed aresztowaniem – powiedział „nie wiedziałem, że wychowuję i kształcę bestię, przez którą cierpi cała moja rodzina i tylu niewinnych ludzi”. W marcu 1943 r. miejscowa placówka AK dokonała nieudanego zamachu na jego życie. Zginął niewinny człowiek Melchior Domalski – rządcą majątku Planta. Pan Ciompa, dzięki poręczeniu wpływowych osób z organizacji, objęty został ochroną dowódcy 35.p AK majora Millera, który zdecydował, że za swoją współpracę z okupantem zostanie osadzony po wojnie, a obecnie jest gwarancja, że nikomu już szkodzić nie będzie.

Pan Leon Ciompa przeżył wojnę, był aresztowany przez UB, ale szybko zwolniony bez przetworu sądowego, gdyż nie udowodniono mu zwalczania komunistów, z Podlasia wyjechał w niewiadomym kierunku i nigdy już nie pokazał się w okolicy, gdzie pracował w latach okupacji. Dopiero w latach 80-tych mój przyjaciel zapoznał Henryka Ciompę syna Leona i od niego dowiedział się, że ojciec jego osiedlił się po wojnie we wsi Pokrzywianka gm. Rudki Kieleckie, gdzie zakupił dom i młyn gospodarczy. Nie zdążyłem tam pojechać, choć bardzo pragnąłem, ale dostałem wiadomość, że zmarł pod koniec lat 80-tych. Jego syn Henryk mieszkał w Warszawie przy ulicy Ostrobramskiej (dokładny adres zagubiłem). Wiadomościami tymi dzieliłem się z p. Elżbietą Czetwertyńską, proponowałem wizytę u któregoś z nich z nadzieją, że coś

się spotka z przedmiotów ukrytych, a następnie skradzionych przez „nieznanych” sprawców. Propozycja nie została przyjęta.

Fakty i wnioski wyżej opisane dotyczą ludzi i zdarzeń z odległych lat wojny i okupacji. Naocznych świadków nie ma już wśród żyjących. Ci którzy jeszcze zostali znają groźną atmosferę tamtych lat, stan ciągłego zagrożenia, ogólną biedę, ale o sprawach, które staram się wyjaśnić nic nie wiedzą. Podobnie było ze mną – do czasu nawiązania korespondencji z p. Elżbietą Czetwertyńską. Od tego momentu rozpoczął się etap „Skarbów ukrytych” - poszukiwania.

W 1988 r. moją mamę zaproszono do szkoły w Kopinie na „Dzień seniora”. W czasie uroczystości p. Kierowniczką szkoły odczytała życzenia świąteczne i noworoczne dla dzieci i mieszkańców Kopiny od. P. Elżbiety Czetwertyńskiej. Wszyscy byli wzruszeni pamięcią i serdecznością przystanych życzeń. Był adres nadawcy – potraktowałem to jako zachętę do napisania kilku zdań o zdarzeniach, ludziach żyjących w dawnym majątku państwa Czetwertyńskich. Odpowiedź otrzymałem bardzo szybko. Już w drugim liście z kwietnia 1989 r. bardzo długim i serdecznym zawarte były informacje o ukrytych przez mego Ojca pamiątkach rodzinnych i propozycjach ich odszukania. Zgodziłem się na udzielenie pomocy w zakwaterowaniu na czas poszukiwań, środka lokomocji, orientacji w terenie i pracy fizycznej zwracając uwagę na konieczność zachowania całkowitej dyskrecji, by ustrzec się szkodliwych komentarzy i plotek. Ożywiona korespondencja w tej sprawie trwała do jesieni 1991 r. t.j. do czasu pierwszego przyjazdu p. Elżbiety Czetwertyńskiej. Wspólnie z nią i jej chrzestnym synem mieszkającym w Warszawie, moim małym samochodem pojechaliśmy do lasu. Pani Elżbieta nie wzięła ze sobą szkicu sytuacyjnego, sporządzonego osobiście, ukrywanych skrzyń – dużej z pamiątkami własnymi, mniejszej zawierającej srebra należące do koleżanki, która szukała schronienia w czasie działań wojennych w domu państwa Czetwertyńskich i trzeciej najmniejszej zawierającej kilkanaście butelek alkoholu produkowanego w Suchowoli.

Według opisu p. Elżbiety skrzynie zakopane były w odległości około 100 m od skrzyżowania dróg leśnych i 90 m od drogi wg młodego lasu. Punktem odniesienia w tym miejscu był okazała stara sosna. Od niej ustalono odległości w różnych kierunkach, miejsc z zabezpieczonymi skrzyniami. We wskazanym miejscu stwierdziliśmy kilkudziesięcioletni las, bez podszycia oraz brak starej sosny mającej być punktem orientacyjnym, dla szczegółowych pomiarów. Wizyta ograniczyła się do spaceru po lesie i stwierdzeniu, że odszukanie czegokolwiek nie będzie łatwe bez przyrzędu do wykrywania metali.

Po kilku miesiącach otrzymałem list do p. Elżbiety Czetwertyńskiej z wyrysowanym planem sytuacyjnym, przybliżonymi odległościami liczonymi krokami i prośbę bym we własnym zakresie starał się odnaleźć miejsca zachowanych pamiątek. Okazane mi zaufanie zaskoczyło mnie i zaniepokoiło z kilku względów. Po pierwsze,

czy będę w stanie przy swoich ograniczonych możliwościach dokonać szczegółowej lokalizacji. Po drugie, czy będzie to możliwe z zachowaniem całkowitej dyskrecji i uniknięcia spotkania z przypadkowymi ludźmi w czasie poszukiwań. Po trzecie – niezależnie od wyników mojej pracy – czy nie zostaną posądzony o przywłaszczenie cudzej własności – może bardzo cennej.

Po długim wahaniu i przedyskutowaniu wątpliwości z żoną i synem, postanowiłem podjąć próbę odszukania skrzyń ukrytych przed ponad 50-ciu laty. W znane już miejsca pojechałem z synem Januszem, zaopatrzeni tylko w taśmę mierniczą. Po starannym odmierzeniu podanych odległości do starej sosny, jako głównym punktem orientacyjnym, znaleźliśmy wyraźne, rozległe zagłębienie terenu świadczące o tym, że przed wielu laty był tam jakiś wykop. Przyjeliśmy, że jest to miejsce wykarczowanie pnia po ściętym dawno temu drzewie. Od tego miejsca nanieśliśmy następną odległość do zaznaczonej na szkicu dużej skrzyni. Dokładnie w namierzonym punkcie stwierdziliśmy duże prostokątne zagłębienie terenu tuż przy licznych, starych i świeżych norach lisich. Uznaliśmy, że odnaleźliśmy właściwe miejsce, że zostało ono wybrane bardzo starannie, gdyż lisy swoje gniazda zakładają zawsze w miejscach suchych i przewiewnych oraz w ich sąsiedztwie na powierzchni spotkać można świeży piasek, a więc ziemia wzruszana ręką człowieka nie wzbudza niczyjej ciekawości. Miejsce zakopania największej skrzyni było ustalone. Były pewne trudności ze zlokalizowaniem dwóch pozostałych miejsc, ponieważ na szkicu błędnie naniesiono kierunki od rosnącej niegdyś sosny, lecz i one zostały odnalezione. Tam także stwierdziliśmy bardzo stare zarośnięte dołki, przed wielu laty wykopane ręką człowieka. Byliśmy już pewni, że jesteśmy w miejscu gdzie w 1939 r. ukryto pamiątki z domu państwa Czetwertyńskich ale wzrosła obawa, czy zagłębienia na powierzchni nie są dowodem, że ukryte tam przedmioty już dawno temu zostały zabrane.

O swoich ustaleniach i wątpliwościach powiadomiłem p. Elżbietę Czetwertyńską. Otrzymałem zapowiedź przyjazdu w ściśle określonym terminie. Pokonując znaczne trudności, na ten czas udało mi się wypożyczyć z jednostki wojskowej aparat do poszukiwania metali. Pani Elżbieta przyjechała z synem Jerzym i panią Anną Grocholską. Przed udaniem się do lasu oświadczyli, że muszą pojechać do Jabłonia. Pobyt tam trochę się przedłużył. W międzyczasie spadł ulewny deszcz, zrobiło się już późno, a na dzień następny zostać nie mogli i prace poszukiwawcze w lesie stały się nieaktualne. Poproszono mnie bym sam sprawdził, czy tam coś jeszcze pozostało.

Po kilku miesiącach w upalny letni dzień udaliśmy się tam z żoną córką i zięciem udając, że interesuje nas zbieranie grzybów. Rozkopaliśmy miejsce zachowania największej skrzyni. Tuż pod powierzchnią natrafiliśmy na odlew niezidentyfikowanej scenki rodzajowej z miedzi lub brązu o rozmiarach kartki pocztowej. Do głębokości około 1.5 m odkopaliśmy resztki dużej skrzyni dębowej (bez pokrywy górnej) izolowanej zewnątrz warstwą zbutwiałego prosa, a we wnętrzu wypełnionym ziemią

odnaleźliśmy liczne odłamki płaskiego szkła, kawałki drewna, skóry, resztki wizerunku Chrystusa Ukrzyżowanego, bardzo zniszczony fragment obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, zniszczony klosz osłaniający lampę z wisiorami kryształowymi, słuchawki radia kryształowego, fragment książki z okrągłym szkieletem w okładce oraz inne nierozpoznane szczątki. Ziemia usuwana z wykopu poprzerašana była korzeniami drzew rosnących w pobliżu. Był to dowód, że zawartość skrzyni splądrowana była już bardzo dawno.

O wynikach poszukiwań tylko w jednym miejscu bezzwłocznie powiadomiłam p. Elżbietę Czetwertyńską zachowując wszystkie wydobyte przedmioty i charakterystyczne resztki nawet te, które nie można było zidentyfikować.

Po raz trzeci przyjechała p. Elżbieta ze swą wnuczką Joanną i chrzestnym synem z Warszawy późną jesienią. Z zabezpieczonych przeze mnie szczątków rozpoznała jedynie częściowo zniszczoną długim przebywaniem w ziemi pasyjkę wykonaną z kości słoniowej. Inne przedmioty i ich fragmenty nie zostały rozpoznane. Wszyscy czworo pojechaliśmy do lasu. W miejscu odnalezionym już poprzednio rozkopaliśmy dwa pozostałe miejsca nie znajdując w nich niczego ze skrzyń przed laty ukrytych. Można się było domyślać, że zostały wyjęte i zabrane w całości razem ze swą zawartością.

Było jeszcze jedno miejsce, w zupełnie innej części lasu, gdzie wg informacji p. Elżbiety miały być zakopane dwa sztucery myśliwskie należące do jej męża. Tymi przedmiotami, mimo że miała je naniesione na szkicu sytuacyjnym, uznała, że już nie należy się interesować, bo po tylu latach leżenia w ziemi z metalu i z drewna nic już nie pozostało.

Po powrocie do domu raz jeszcze analizowaliśmy wszystkie okoliczności z czasów wojny związane z ukryciem pamiątek rodzinnych, lecz dla mnie w dalszym ciągu wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Rozstaliśmy się w przeświadczeniu, że już nic więcej w tej sprawie się nie wydarzy. Narzucony nam nieludzki system, źli ludzie i nieubłagany czas przekreśliły nadzieję na odzyskanie przedmiotów, które w dniach wielkiego zagrożenia ukryto przed utratą.

Sprawa „skarbów ukrytych” jednak raz jeszcze odżyła w 1999 r. w sposób niespodziewany i do obecnej chwili dla mnie pozostający zagadką.

Oglądałem ciekawą prywatną kolekcję militariów gromadzoną przez mojego kuzyna, który w wolnych chwilach jeździł po dawnych polach bitew z aparatem do wykrywania metali i wyszukiwał różne drobiazgi z wyposażenia wojskowego, konserwował je i skrzętnie gromadził. Wykorzystywał wszystkie okazje aby zakupić lub dostać w podarunku jakiś ciekawy eksponat. Poinformowałem go, że znam miejsce gdzie na początku wojny zakopane zostały dwa sztucery myśliwskie. Bardzo mnie prosił bym umożliwił mu przeszukanie tego miejsca. Zgodziłem się wychodząc z założenia, że przedmioty te nie przedstawiają już żadnej praktycznej wartości i właści-

ciela nie są nimi zainteresowani. Dla formalności zastrzegłem, że w przypadku znalezienia innych przedmiotów mam obowiązek przekazania ich znanej mi właścicielce.

Przyjechał wraz z synem i aparatem do wykrywania metali wczesną wiosną 1999 r. Było zimno, padał deszcz z śniegiem, ale pojechaliśmy do lasu, mając nadzieję, że nikogo tam nie spotkamy. W miejscu zaznaczonym na szkicu sytuacyjnym aparat w różnych miejscach wskazywał obecność metali, były to kawałki drutu, resztki okuć, gwoździe, kawałki blachy, itp. Bardzo nasilone sygnały wystąpiły przy badaniu sporego pagórka ziemi i dość dużego starego dołu – tuż przy okazałym kilkudziesięcioletnim modrzewiu. Rozkopując pagórek znaleźliśmy kilka drobnych elementów z blachy miedzianej w kształcie nitów i skrawków okuć walizki lub kuferka. Przyrząd ciągle wskazywał, że w starym dole głębiej coś się jeszcze znajdzie. Odnaleźliśmy solidnie wykonane, ale bardzo skorodowane zamki, zawiasy i narożniki kufra lub skrzyni z resztkami skóry czy podobnego tworzywa użytego do jego wykonania. Z całą pewnością nie była to zwykła drewniana skrzynia. Na dnie wykopu, około 1,4 m od powierzchni natrafiliśmy na rozrzucone w różnych miejscach około 40 szt. widelców, łyżek i trzonek od noży stołowych. Można się było domyślić, że to część zastawy stołowej na 24 osoby. Zastawa wykonana była z żółtego metalu i posrebrzana. Wszystkie jednostki miały monogramy ze splecionych liter S.C. oraz miniaturową książeczką koronę. Łyżki i widelce zachowane były w dobrym stanie, ostrza noży całkowicie skorodowane. Noże i widelce były w dwóch rozmiarach – mniejsze i większe, łyżki tylko w jednym, łyżeczek odnaleziono tylko dwie sztuki. Przy bardzo dokładnym sprawdzeniu całego wykopu innych przedmiotów nie znaleziono.

Niespodziewane odkrycie zrodziło nowe pytania i wnioski:

1. Kufer ukryty został w miejscu gdzie miała być broń myśliwska. Kto, kiedy i dlaczego dokonał takiej zamiany?
2. Dlaczego kufer nie był izolowany nasionami prosa, mimo tego, że zawierał cenne przedmioty?
3. Co było w jego wnętrzu, jeśli sprawca odkrycia i splądrowania zostawił tak dużą część cennej zastawy?
4. Dlaczego z niej zrezygnował i pozostawił na zniszczenie?
5. Kto to był i skąd wiedział o miejscu ukrycia?
6. Kto dokonał podmiany sztucerków na zastawę stołową?

Podobnych pytań nasuwa się więcej i ściślej się one łączą w logiczny związek niewyjaśnionych zagadek mających swój początek w 1939 r. To ostatnie miejsce, podobnie jak poprzednio opisane, rozkopane i splądrowane zostało przed wieloma laty, świadczyły o tym grube korzenie drzew wrośnięte w stary wykop i pozostawione resztki.

O dokonanym przez nas niespodziewanym odkryciu bezzwłocznie powiadomiłem p. Elżbietę Czetwertyńską i zgodnie z jej życzeniem całość przekazałem p. An-

drzejowi Żółtowskiemu, który wraz z żoną osobiście zgłosił się po to w moim domu. Po kilku tygodniach otrzymałem list z podziękowaniem od p. Elżbiety Czetwertyńskiej i p. Andrzeja Żółtowskiego za przekazanie pamiątek rodzinnych. Można było sprawę uważać za zakończoną, chociaż ciągle pozostawał żal, że tylko tyle udało się odnaleźć z ukrytych przed laty przedmiotów, że tak trudno znaleźć odpowiedzi na ciągle aktualne pytania zmierzające do wyjaśnienia postaw ludzi wtajemniczonych. Nie wiem kim oni byli za wyjątkiem mego Ojca. Jego dobrego imienia jestem obowiązkowo bronić przed podobnymi posądzeniami jak to wyrażono w filmie „Skarby ukryte”. Już mało ludzi go pamięta, ale we wspomnieniach tych, którzy go znali był człowiekiem uczynnym, pracowitym, sprawiedliwym, bezinteresownym, gorącym patriotą i zaangażowanym społecznikiem w każdą słuszną sprawę. Stracił życie w wieku 36-u lat, zawsze wierzyliśmy, że zginął za swą działalność konspiracyjną – niepodległościową – ale czy tylko to było przyczyną? Majątku żadnego nie pozostawił. W bardzo trudnej sytuacji materialnej pozostawił żonę, dwoje starych rodziców i dwóch synów (11 i 4 lata).

Dziś ja już jestem starym człowiekiem jedynym w rodzinie pamiętającym czasy wojny i ludzi, którzy przeszli już do historii, ale żyją w naszej pamięci i sercach, bo dla nas oddali życie, abyśmy byli wolni w swoim domu i kraju. Obecna rzeczywistość daleko odbiega od ideałów o jakie walczyli bohaterzy narodowi, tym bardziej jesteśmy zobowiązani wyjaśnić każdą sprawę mogącą rzucić nie tylko podejrzenie, ale nawet cień na ich bezinteresowną działalność. Dlatego raz jeszcze proszę p. Elżbietę Czetwertyńską o szczerze ustosunkowanie się do wyżej przedstawionych wniosków i pytań. Jest to konieczne dla utrwalenia dobrego imienia mego Ojca i jasnego ustosunkowania się do mojego zaangażowania w sfinalizowanie poufnych zleceń z 1939 r. oraz późniejszych z okresu poszukiwań.

Mieczysław Fijewski

**Mieczysław Fijewski ur. w 1929,
Moje świadectwo o Ojcu – Stanisławie Fijewskim
i jego działalności konspiracyjnej w latach 1939-40
w organizacji „Brochwicz”**

Stanisław Fijewski ur. się w 1905 r. jako syn Wawrzyńca i Anieli z Łopackich. Rodzice jego majątku żadnego nie posiadali, utrzymywali się z pracy ojca w folwarku ks. Czetwertyńskiego, pracował on tam jako pomocnik stelmacha i robotnik zatrudniony przy pracach ciesielskich. W czasie I wojny światowej został wcielony do armii rosyjskiej gdzie w 1915 roku w czasie bitwy odniósł poważne rany, które przyniosły trwałą niezdolność do ciężkiej pracy i odestanie do cywila. To spowodowało, że syn Stanisław od najmłodszych lat musiał przyjąć na siebie dużą odpowiedzialność za pomoc rodzicom i rodzeństwu. Własną edukację zakończył w miejscowej 4-klasowej szkole w Kopinie. Od ojca nauczył się prac ciesielskich, wykonywał również szeroki asortyment sprzętów domowych. Po odzyskaniu niepodległości w latach 20-tych dał się poznać jako zdolny organizator działalności patriotycznej wśród miejscowego społeczeństwa a szczególnie młodzieży. Po przeszkoleniu wojskowym na 5-u kilkutygodniowych kursach, zorganizował oddział „Strzelca”, który prowadził do 1935 r. Był jednym z inicjatorów budowy domu ludowego, który stał się długoletnią siedzibą pierwszej wiejskiej szkoły podstawowej i miejscem gdzie rozwijano różne formy życia kulturalnego młodzieży.

W 1928 r. ożenił się z Ludwiką Bożym i przystąpił do budowy własnego domu. Był to ogromny wysiłek dla niego i całej rodziny nie mającej żadnych zasobów materialnych. Sytuacja ta spowodowana była kosztami utrzymania siostry i brata ojca w seminariach nauczycielskich w Lublinie i Leśnej Podlaskiej. Dzięki dużym wyrzeczeniom, pracowitości i wytrwałości zasadnicze trudności zostały pokonane. Nadeszły lata 1934-35 w folwarku w Kopinie nowy właściciel Włodzimierz Czetwertyński z młodą swą małżonką budowali swój dom. Znalazł tam zatrudnienie przy różnych pracach również mój ojciec. Jego pracy wielokrotnie przyglądał się ks. Wł. Czetwertyński i dziwiły go wszechstronne umiejętności ojca. Po zakończeniu budowy zaproponował mu stałą pracę – strażnika i hodowcy zwierzyny łownej na dzierżawionych terenach we wsiach – Kopina, Cichostów i Okalew. Nowe obowiązki wymagały ciągłej lustracji rozległego terenu i stwarzały możliwość kontaktów ze wszystkimi mieszkańcami wsi leżącymi w granicach obwodu łowieckiego. W tamtych latach nawiązane zostały liczne znajomości i przyjaźnie, które zaowocowały w tragicznych latach wojennych.

W okresie międzywojennym, poza związkiem strzeleckim ojciec do żadnej organizacji politycznej nie należał. Był gorącym patriotą mającym dar jednania sobie

ludzi dla swoich przekonań i pracy na rzecz środowiska i celów ogólnonarodowych. Pamiętam, że do naszego domu prawie każdego wieczoru przychodził ktoś ze znajomych, bliższych i dalszych sąsiadów, młodych i starszych, toczono niekończące się dyskusje na różne tematy wynikające z atmosfery poprzedzającej wybuch 2-giej wojny światowej.

W 1939 r. w czasie powszechnej mobilizacji żołnierzy rezerwy ojciec karty powołania nie otrzymał, powierzono mu obowiązki gajowego w zastępstwie powołanego do wojska Mieczysława Ławniczaka.

Atmosferę pierwszych dni wojny wszyscy, którzy żyli w tamtym czasie pamiętać będą do ostatnich swoich dni. W sierpniu poprzedzającym wybuch wojny ukończyłem 10 lat, byłem przygotowany do rozpoczęcia nauki w IV klasie szkoły podstawowej. Z dziecięcą jeszcze ciekawością patrzyłem na podniecenie, zatroskanie i niepewność co przyniosą następne dni, wyrażane w niekończących się rozmowach ludzi starszych pamiętających grozę I wojny światowej. W dyskusjach dominował jednak ogromny entuzjazm i przekonanie, że broni nas niezwykła armia wyszkolona i wychowana w atmosferze głębokiego patriotyzmu i umiłowania tak niedawno jeszcze odzyskanej niepodległości. Komunikaty radiowe były jednak zaskakująco niepomyślne. Przerwany front obrony przed Niemcami na wielu odcinkach długiej granicy, ciągłe naloty samolotów praktycznie na terenie całego kraju, narastająca fala uciekinierów, budziła narastające wątpliwości o losy niepodległego państwa i narodu. Z tym większą radością, wręcz entuzjazmem komentowano wtargnięcie polskiej kawalerii na teren Prus Wschodnich, obronę Westerplatte i Helu, przystąpienie do wojny Anglii i Francji.

Prawdziwą grozę przeżyliśmy w dniach 8 i 9 września, kiedy na spokojne, o setki kilometrów od linii frontu oddalone miasto Radzyń i osadę Wohyń spadły liczne bomby burzące i zapalające. Był to naoczny dowód, że ta wojna nie ogranicza się jak wszystkie poprzednie, do frontu i armii ale obejmuje całe społeczeństwo zamieszkałe w dotychczasowych granicach państwa polskiego. Moja rodzinna wieś Kopina położona była w odległości kilku kilometrów od dróg utwardzonych, którymi na wschód podążały całe kolumny uchodźców. Jechali i szli oni również mniej uczęszczanymi drogami. Każdego dnia i nocy ktoś obcy korzystał z gościnności moich rodziców. Po zbombardowaniu Radzyna do lasu będącego pod opieką mego ojca uciekł wraz z rodziną powiatowy lekarz weterynarii p. Beniamin Nikolski. Przez kilka dni nosiłem dla nich świeże mleko i chleb, potem przez kilkanaście dni mieszkali u nas w domu. Niektórzy z uciekinierów, w tym brat mojej mamy Tadeusz, który zgodnie z apelem przedstawicieli władz wyszedł z Warszawy i przyjechał rowerem na Wschód, namawiali ojca do ewakuacji, gdyż za linią Bugu nastąpi dopiero prawdziwie zorganizowana obrona. Ojciec kategorycznie temu się sprzeciwił twierdząc, że w miejscu swej pracy i zamieszkania jest bardziej potrzebny tym, którzy uciekać nie

mogą. Zgodnie z tym twierdzeniem każdemu pomagał, dobrym słowem, radą, pracą, pożywieniem i miejscem na wypoczynek.

Pamiętam takie zdarzenie – już wieczorem koło naszego domu zatrzymał się wóz zaprzęgnięty w dwa konie, jechała nim liczna 3-pokoleniowa rodzina, wracająca już ze wschodu, gdzie wkraczały wojska sowieckie. Zanoceowali u nas wszyscy. Rano nasz gość poprosił ojca o rozmowę i z troską o czymś opowiadał, po czym wspólnie zdjęli wszystko z wozu, pozostały tylko sprzężone koła. Ojciec poszedł do szopy, gdzie stał warsztat stolarski, coś tam piłował, stukał i przyniósł jakieś dwie grube wydrążone deski, do których nasz gość powkładał jakieś pakiety. Wszystko to jako wzmocnienie nadwozia zostało przybite do spodu wozu. Były to jakieś ważne dokumenty i pieniądze.

Na przełomie września i października 1939 r. - dokładnej daty nie pamiętam, w piękny słoneczny dzień w godzinach popołudniowych od strony Planty przez łąki i torfowiska szeroką nieuformowaną tyralierą, liczącą setki ludzi przyszedł do nas żołnierz sowiec. Zmęczony, brudny, w obszarpanych mundurach i płaszczach z niezwykle długimi karabinami, dodatkowo wydłużonymi trójkątnymi bagnietami, Pytali tylko o wojsko polskie i prosili o chleb. We wsi się nie zatrzymali, poszli na południe, lecz na polach skręcili na wschód, okrążyli las i weszli na pola milanowskie, gdzie dostali się pod dwustronny ostrzał wszelkiego rodzaju broni jednostki wojska polskiego i własnych wojsk zaległych za torem kolejowym. O wynikach tej walki różnie mówiono, ale straty sowieckie bezspornie były wysokie. Oddział polski spokojnie odszedł w kierunku zachodnim.

Kilka dni później z ciekawością, nadzieją i niepokojem wsłuchiwaaliśmy się w kanonadę artyleryjską, jak się później okazało ostatniej bitwy regularnych jednostek wojskowych pod Kockiem. Po dwóch dniach armaty umilkły, ojciec coraz rzadziej pojawiał się w domu, kilka razy powrócił z ludźmi w polskich mundurach. Na drugi dzień odchodzili od nas w cywilnych ubraniach ojca lub sąsiadów. Z fragmentów cichych rozmów domyśliłem się, że ojciec zajmuje się gromadzeniem i zabezpieczaniem broni, amunicji i wszelkiego wyposażenia wojskowego, wychodząc z założenia, że to wszystko wkrótce będzie bardzo potrzebne. Zwycięstwo wroga jest tylko chwilowe, mamy potężnych sojuszników, własna armia rozbita, ale żołnierze żyją w kraju i poza jego granicami – Polska powstanie silniejsza i większa niż była. O bitwie pod Kockiem opowiadali liczni uczestnicy, którzy uniknęli niewoli i różnymi drogami powracali do swych domów. Byli jednak i tacy, którzy mówili, że dla nich wojna się nie skończyła, że już teraz należy tworzyć bazę organizacyjną dla przyszłych sił zbrojnych mogących podjąć skuteczną walkę z najeźdźcą.

Działalność konspiracyjna na szerszą skalę zapoczątkowana została w drugiej połowie października 1939 r. we wschodniej części powiatu radzyńskiego przez majora Remigiusza Grocholskiego ożenionego z Barbarą Czetwertyńską córką Seweryna

właściciela Suchowoli i okolicznych folwarków - senatora RP w latach 30-tych²⁵. W czasie działań wojennych jego liczna rodzina – żona i 7-ro dzieci²⁶ z miejsca swego stałego zamieszkania na kresach wschodnich w okolicach Winnicy²⁷ przyjechali na Podlasie i zamieszkali w Kopinie w domu Włodzimierza Czetwertyńskiego, w którym mieszkała tylko jego żona Elżbieta z małym synkiem. Włodzimierz dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywał do końca wojny.

Major Remigiusz Grocholski zjawił się w Kopinie bezpośrednio po zakończeniu walk pod Kockiem, wraz z nim przyszło kilku ludzi, którzy zamieszkali w małym pokoju, bez żadnych wygod i ogrzewania nad garażem o ścianach z pustaków cementowych. Nie wiem i od nikogo dowiedzieć się nie mogłem, dlaczego major R. Grocholski od pierwszych dni swego pobytu zwrócił uwagę na mego ojca wtajemniczając go we wszystkie swoje plany konspiracyjne. Sam prowadził bardzo aktywny tryb życia, ciągle się z kimś spotykał, gdzieś wyjeżdżał. Poprzez właścicielkę majątku Elżbietę Czetwertyńską wymógł na rządcy majątku, którym był Leon Ciompa, aby nie rozliczał mego ojca z czasu pracy i nie pytał gdzie przebywał.

Pierwsze tygodnie po zakończeniu działań wojennych cechowała szczególna atmosfera wyrażająca się niepewnością co przyniosą najbliższe dni. Wracali niektórzy żołnierze walczących na różnych frontach, którym udało się przeżyć i uniknąć niewoli. Ich opowiadania przybliżały nam tragedię całego narodu i w ciemnych barwach rysowały przyszłość pod panowaniem Niemców. Z najbliższej rodziny wrócili dwaj żołnierze, bracia mojej mamy – Stanisław Bożym – ochotnik walczący w obronie twierdzy brzeskiej i Sylwin Bożym – podoficer rezerwy walczący w pułku ciężkiej artylerii pod Wieluniem i w obronie Warszawy. Pozostawał również w domu swych rodziców niezmobilizowany, przeszkolony w jednostkach lotniczych – spadochroniarz Tadeusz Bożym, przed wojną na stałe zamieszkały w Warszawie. Oni stali się pierwszymi pomocnikami ojca w jego działalności konspiracyjnej. Z późniejszych informacji uzyskanych od Sylwina Bożyma – dowódcy plutonu ZWZ – AK w latach 1941 – 44 w obwodzie Kopina – Wołyń wiem, że w tym czasie do prac konspiracyjnych zwerbowani zostali: Skrzetuski (imięcia nie pamiętam) - nauczyciel małego Czetwertyńskiego, Marceli Ostrowski – ogrodnik majątku Kopina, dwóch braci Ławniczaków Mieczysław i Antoni, Stanisław Łopacki – późniejszy partyzant w oddziale AK dowodzonym przez maj. Millera w lasach Kąkolewnickich, sądzony później wraz

²⁵ W rzeczywistości Seweryn Franciszek Calixt ks. Świątopelk-Czetwertyński na Nowej Czetwertni herbu Pogoń Ruska był posłem na Sejm RP trzech kadencji i Wicemarszałkiem Sejmu w latach 1928 -1931.

²⁶ Remigiusz Adam Grocholski miał dziesięcioro dzieci. W Kopinie urodziła się najmłodsza jego córka - Elżbieta.

²⁷ W tym czasie rodzina Remigiusza Grocholskiego nie mieszkała już w Winnicy, gdyż te tereny włączone były po Rewolucji Październikowej do Związku Radzieckiego. W latach 20 - tych XX wieku rodzina Remigiusza mieszkała w Falentach pod Warszawą. W latach 30 - Remigiusz rozpoczął budowę nowego domu w miejscowości Puchały, nazwał to miejsce Nowe Grocholice. Tych miejsc nic się nie zachowało – wszystko zostało zniszczone w czasie II wojny światowej.

z nim w procesie lubelskim w 1951 roku. Spoza Kopiny wiem tylko o Antonim Janiaku z Okalewa, Antonim Stopniaku z Cichostowa i Gołosiu – gajowym w majątku Planta.

Organizacja nie była nastawiona na masowy werbunek, miała na celu przeciwdziałanie propagandzie wroga, gromadzenie informacji mających znaczenie wojskowe, przygotowanie kierowniczych grup na czas walk wyzwolenicznych.

Bardzo szybko dotarło do nas pierwsze zarządzenie władz okupacyjnych o obowiązku złożenia wszelkich posiadanych jednostek broni, oddanie „na przechowanie” odbiorników radiowych i zgłoszenie się do rejestracji i obozów jenieckich wszystkich oficerów wojska polskiego. Niewykonanie polecenia zagrożono karą śmierci. Odbiorniki radiowe, głównie na słuchawki wymagające do odbioru programu długich, wysoko zawieszonych anten, były już w wielu domach, te jako powszechnie znane, zgodnie z poleceniem zostały oddane. Nieliczne głośnikowe najczęściej ukrywano i w późniejszym czasie wykorzystywano do nastuchu komunikatów głównie z Francji i Anglii. Wiadomym mi jest fakt, że organizacja „Brochwicz” dysponowała dwoma takimi odbiornikami. Jeden był własnością Elżbiety i Włodzimierza Czetwertyńskich, przekazany memu ojcu przez p. Elżbietę, drugi na potrzeby organizacji przekazali Maria i Józef Dąbrowscy z Branicy Suchowolskiej. Główną trudnością w ich wykorzystywaniu był brak baterii i akumulatorów, ale i tak przez kilka miesięcy były wykorzystywane w różnych miejscach.

Obowizek rejestracji oficerów zasadniczo zmienił styl pracy Remigiusza Grocholskiego. Jako powszechnie znana osoba w kręgach wojskowych musiał się liczyć z żywym zainteresowaniem jego osobą władz okupacyjnych. Żandarmeria niemiecka przyjechała po niego już w miesiącu listopadzie. Udało mu się uniknąć spotkania z nimi i od tego czasu zaczął się ukrywać. Przez pierwszych kilka tygodni przebywał w małym niepozornym domku należącym do starszych bezdzietnych małżonków Anieli i Piotra Szpilów. O fakcie tym dowiedziałem się dopiero po wielu latach, wówczas okryto to było ścisła tajemnicą, z którą było zapoznanych tylko kilku najbardziej zaufanych ludzi.

W 1939 r. po bardzo ciepłym, słonecznym i suchym wrześniu i październiku nadszedł mokry i zimny listopad z początkami wczesnej zimy. Pobyt ludzi przybyłych z majorem R. Grocholskim w zimnym pokoju nad garażem stał się niemożliwy, tym bardziej, że jeden z nich dostał wysokiej gorączki. Ojciec przyprowadził ich do naszego domu, gdzie przebywali przez kilka tygodni. Było ich trzech. Nazwisk ich nie znaleźmy, czy i imiona były prawdziwe, też nie jestem pewny. Ten, który chorował leczony był domowymi sposobami przez moją babcię i mamę za pomocą baniek, ziół, okładów i maści rozgrzewających przez wszystkich nazywany był „Munio”. Drugi wysoki, przystojny, młody blondyn, bardzo ciekawie opowiadał o sposobach polowania na głuszce i wilki, nazywany był przez kolegów „Tatuńcio” lub „Kola”.

Trzeci niskiego wzrostu, niczym się nie wyróżniający, najczęściej milczący, odpowiadający tylko na pytania to był „Edzio”, mieszkał u nas najkrócej a w czasie pobytu także często przebywał poza domem. Kola i Munio po wyzdrowieniu wychodzili gdzieś prawie każdego dnia, niekiedy nie wracali na noc i nie było ich przez kilka dni. Czasem przychodzili do nich lub do ojca jacyś nieznani ludzie, zamykali się w pokoju, cicho rozmawiali, czasami krótko, czasami przez kilka godzin i odchodzili. Domownicy wiedzieli, że rozpoczęta została praca na rzecz wolnej Polski i z nikim rozmawiać nam na ten temat nie można.

W miesiącu listopadzie, w lesie planterskim wybudowana została starannie zamaskowana kryjówka, mogąca pomieścić kilku ludzi na dłuższy okres czasu. Długo dyskutowano o wyposażeniu i zamaskowaniu tego podziemnego schronu. Zaopatrzone go w najbardziej potrzebny sprzęt, oświetlenie, zapas wody i suchego prowiantu. Długo zastanawiano się nad sposobem ogrzewania, rozważano zainstalowanie piecyka z rurą odprowadzającą dym wysoko w gałęzie świerku. Ograniczono się jednak tylko do kuchenki spirytusowej. W pomieszczeniu tym zainstalowano również odbiornik radiowy i maszynę do pisania. Wraz z opadami śniegu wyłonił się poważny problem pozostawionych śladów w czasie dojścia do schronu. Na ten czas sporządzono bardzo ciekawe szczudła na racicach dzików i saren wkładanych na stopy i dłonie. Wszyscy trzej nasi goście przez kilka wieczorów w żartach i ze śmiechem uczyli się na nich chodzić. Jak długo korzystali z nich w praktyce trudno mi już teraz stwierdzić. Pamiętam, że zima w 1939 r. zaczęła się wcześniej i charakteryzowała się dużymi opadami śnieżnymi i niskimi temperaturami. W takich warunkach dłuższy pobyt w bunkrze leśnym stał się niemożliwy. Podjęta została decyzja o zorganizowaniu lokalu konspiracyjnego dla ukrywających się ludzi. Lokal taki zorganizowano w Lubartowie na ul. Szkolnej. O okolicznościach jego zorganizowania i życia w nim dowiedziałem się po latach od p. Marii Oleszczukowej – żona Aleksandra Oleszczuka, nauczycielka, znana w okresie przedwojennym działaczka ludowa i społeczna. Pierwsze miesiące okupacji wraz ze swoim kilkuletnim synkiem spędziła u swoich rodziców w Stępkowie koło Parczewa. Mąż Aleksander brał udział w kampanii wrześniowej i jako oficer wojska polskiego dostał się do niewoli niemieckiej.

Pewnego bardzo mroźnego dnia pod koniec grudnia 1939 r. do domu pp. Zająców przyjechał mój ojciec, którego p. Maria znała z czasów pracy z młodzieżą w okresie międzywojennym. Poprosił ją o osobistą rozmowę i powiedział krótko „Pani Mario, Polska panią potrzebuje, w Bogu nadzieja, że do domu pani wróci, nie wykluczam jednak niebezpieczeństwa, decydować się trzeba natychmiast, gdyż jechać musimy jak najszybciej”. Pani Maria spytała tylko rodziców, czy zaopiekują się wnukiem? Po godzinie byli już w drodze powrotnej do Parczewa. Zatrzymali się przy plebanii, tam czekał na nich major R. Grocholski i trzech innych młodych ludzi. Po krótkiej rozmowie wszyscy za wyjątkiem mego ojca wsiedli do dużych dworskich sań i pojechali

do Lubartowa. Kto powoził końmi i z jakiego majątku były sanie nie wiem. Jest mało prawdopodobne, że były z Kopiny, już w tym czasie nie darzono zaufaniem rządcy majątku Leona Ciompe.

W Lubartowie był przygotowany kilkupokojowy lokal w niezupełnie jeszcze wykończonym domu. Zamieszkali tam wszyscy, jako rodzina uciekinierów z terenów wschodnich. By nie wzbudzać podejrzeń, że zbyt wielu ludzi ich odwiedza i sami domownicy często wychodzą i wyjeżdżają, zorganizowano mały sklepik z artykułami piśmiennymi. W lokalu tym będącym swego rodzaju bazą konspiracyjną przebywali różni ludzie, już dziś nie sposób ustalić szczegółów. Przez pewien czas jak pamiętam z relacji p. Oleszczukowej przebywał tam również pułkownik Adam Epler – jeden z dowódców walczących po Kockiem, któremu udało się uniknąć niewoli niemieckiej. Po kilku miesiącach p. Maria przywiozła do Lubartowa również swego kilkuletniego synka – Sławka. Po wielu latach, kiedy już jako emerytka powróciła na stałe do swego rodzinnego domu w Stępkowie pokazała mi wiersz napisany przez majora Grocholskiego dla małego Sławka – wiersz o głębokiej treści patriotycznej i zatroskaniu ludzi niepewnych jutra o los dzieci, które nie rozumieją jeszcze zagrożenia w jakim żyją i swoją radością i beztroską dodają otuchy opiekunom.

Konspiracyjny lokal w Lubartowie utrzymywany był do 1941 r. Dokładnej daty jego likwidacji nie znam. Być może, że miało to związek z dużą falą aresztowań, jakie nastąpiły na całym naszym terenie jesienią 1940 r. lub wczesną wiosną 1941 r. w czasie drugiej fali aresztowań. Rozstając się z p. Oleszczukową major Grocholski powiedział: „Sytuacja polityczna jest bardziej złożona i trudna niż to przewidywaliśmy. Nasza działalność konspiracyjna jest bardzo potrzebna, lecz musi być sprowadzona do głębokiego podziemia, w którym przetrwać trzeba jeszcze długi czas, wojna będzie trwała jeszcze kilka lat, chronić musimy każdego prawego Polaka”. Wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Szkolnej wyjechali do Warszawy. Pani Oleszczukowa powróciła do Stępkowa i zgłosiła się do pracy nauczycielskiej. Do końca okupacji niemieckiej uczyła dzieci w szkole i młodzież na tajnych kompletach we wsi Derewiczna. Po wyzwoleniu podjęła pracę w Gimnazjum w Komarówce skąd w 1946 r. wyjechała do Gdańska.

W naszym domu po wyjeździe ludzi mieszkających u nas przez ostatnich kilka tygodni pozornie nic ciekawego się nie działo. Przyszła wyjątkowo śnieżna i mroźna zima. Nasza wioska praktycznie odcięta była od świata. Docierały jednak informacje o coraz to nowych drakońskich zarządzeniach władz okupacyjnych, o braku żywności i opału, szczególnie w miastach. We wsiach najbardziej dokuczał brak ropy i soli oraz nakaz pracy przy odśnieżaniu odległych od nas o kilka kilometrów dróg utwardzonych Parczew – Lublin i Radzyń – Wisznice. Ojciec chodził do pracy w majątku w Kopinie. Nie zajmował się już ochroną zwierzyny łownej, choć ona bardzo tego potrzebowała lecz pracował głównie w stolarni. Wieczorami jak dawniej przychodzili

różni ludzie i prowadzili długie rozmowy o aktualnej sytuacji, szybkim końcu wojny i nadejściu lepszych czasów. Niekiedy odwiedzał nas ktoś z dawnych naszych gości i zwykle w oddzielnym pomieszczeniu długo z ojcem rozmawiał. Już w miesiącach zimowych zaczęły pojawiać się w naszym domu tajne biuletyny informacyjne, skąd one były dostarczane tego nie wiem. Kilka razy przynosił je Antoni Ławniczak i Tadeusz Bożym, który często gdzieś wyjeżdżał. Pewnego razu w czasie dużych mrozów pojechał rowerem do pałacu w Borkach. Pamiętam o tym, bo w czasie podróży przemroził sobie ręce. Ciekawie opowiadał o położeniu i wystroju wewnątrz w domu państwa Jazwińskich.

Pod koniec 1939 r. pani Elżbieta Czetwertyńska wraz z synkiem wyjechała do swoich rodziców do Czechosłowacji. Na miejscu została żona majora Remigiusza Grocholskiego ze swą liczną rodziną. W tym czasie urodziła jeszcze jedną córeczkę – Elżbietę, która po latach została żoną Krzysztofa Zanussiego – znanego reżysera.

Nie znam warunków w jakich żyli ponad rok w Kopinie. Mieli do dyspozycji obszerny dom, ale chcąc mieć dostateczną ilość mleka, kupili od nas krowę, mimo tego, że w dworskiej oborze było zawsze około 30-u wysokomlecznych krów. Prawdopodobnie z tego mleka nie mogli korzystać. Rodzina ta była życzliwie nastawiona do ludzi pracujących w folwarku. Szczególnie najstarsi synowie Mikołaj i Remigiusz zaprzyjaźnili się ze mną i innymi chłopcami w moim wieku. W okresie wiosennym organizowali zawody sportowe z nagrodami, które wręczała p. Barbara Grocholska. Dużo czasu poświęcaliśmy nas spacerom, wycieczki po okolicznych polach i lasach, ich program i atmosfera wzorowana była na doświadczeniach drużyn harcerskich z okresu międzywojennego.

Dochodziły do nas wieści o aresztowaniach powszechnie znanych i szanowanych obywateli oraz różnych prześladowaniach i szykanach jakich dopuszczały się władze okupacyjne, ale to wszystko działo się gdzieś daleko i trudno było nawet w to uwierzyć. Taki stan względnego spokoju trwał do końca kwietnia 1940 r. Wtedy na torach kolejowych między Milanowem i Parczewem znaleziono ciało kolonisty niemieckiego mieszkającego na stałe we wsi Cichostów. W jakich okolicznościach i kto się do tego przyczynił, nikt tego nie ustalał i do dziś nie wiadomo. Był to jednak wystarczający pretekst dla miejscowych kolonistów z Okalewa i Cichostowa, popartych przez żandarmerię wojskową, do wyrównania dawnych urazów i pretensji wobec sąsiadujących z nimi Polaków.

Nastąpiły liczne aresztowania, tortury i groźby. Pamiętam, pewnego wieczoru przyszedł do nas mieszkaniec Cichostowa – Zarzycki. Radził się ojca co ma dalej robić, jak się zachować, gdyż czuje się zagrożony ze strony swych sąsiadów – Niemców. Ojciec radził mu przeczekać gdzieś w ukryciu ten czas niepokoju i rozdrażnienia. Długo rozmawiali, ale nasz gość nie chciał nawet zanocować u nas, odszedł z przekonaniem, że nic złego nikomu nie uczynił i ukrywać się nie ma powodu. Następnego

dnia razem z 8 innymi mieszkańcami Cichostowa i okolicznych wsi został zastrzelony przy torach do Parczewa i w miejscu rozstrzelania pochowany we wspólnej mogile wraz z innymi. Po kilku dniach popełniona została następna szokująca zbrodnia na mieszkańcach w Rudnie. W godzinach rannych przyjechało tam kilka samochodów ciężarowych z żandarmerią niemiecką i gestapo w czarnych mundurach. Wszystkich mężczyzn spędzili w jedno miejsce w polu na gościńcu wiodącym do Planty. Tam przeprowadzili selekcję, wybrali 50-u głównie młodych ludzi. Z tą grupą pędzoną do lasu dobrowolnie poszedł miejscowy proboszcz, wszyscy oni zostali rozstrzelani w lesie należącym do majątku Planta i zakopani w dołach pozostałych po kopalni piasku. Zbrodnię tę widział i wskazał miejsce pochówki ukryty w zaroślach gajowy Gołaś. Ekshumacja pomordowanych i przeniesienie ciał na cmentarz w Rudnie miała miejsce w 1945 r. Zbrodnie popełnione w najbliższej okolicy na niewinnych ludziach uświadomiły wszystkim całą grozę jaką przyniosła narodowi polskiemu okupacja niemiecka.

W miesiącach wiosennych i letnich propaganda niemiecka w gazetach polskojęzycznych zalewała nas informacjami o nowych wielkich zwycięstwach militarnych, szczególnie we Francji. Wiadomości te połączone ze stale rosnącymi restrykcjami władz okupacyjnych i brakami najpotrzebniejszych artykułów codziennego użytku, powodowały u wielu ludzi nastroje przygnębienia i rozdrażnienia. Ojciec mój nigdy nie tracił optymizmu, Każdą nawet najbardziej tragiczną wiadomość starał się komentować na swój sposób. W jego argumentacji dominowała wiara i nadzieja, że już niedługo te koszmarne obecne czasy miną bezpowrotnie i znowu będziemy wolni, tylko bardziej doświadczeni i mądrzejsi. Nic już dziś nie mogę powiedzieć o jego działalności konspiracyjnej w miesiącach wiosennych i letnich 1940 r. W tym czasie przychodziło do niego mniej obcych ludzi, niż poprzednio, sam również więcej czasu spędzał w domu. Dużo rozmawiał z sąsiadami, którzy przychodzili do niego ze wszystkimi swymi problemami, dla każdego miał czas i cierpliwość i dobre słowo. Często spotykali się z braćmi mojej mamy – Sylwinem i Tadeuszem, czytali jakieś pisma i cicho rozmawiali. Stwierdzić należy, że tajemnice konspiracyjne w tym okresie były już bardzo ściśle przestrzegane, gdyż często dochodziły do nas wiadomości o aresztowaniach, torturach i rozstrzelaniach ludzi podejrzanych o działalność wrogą poczynaniom okupanta.

Wiosną 1940 r. chodząc po zaroślach na łąkach w poszukiwaniu wikliny dla dziadka do wyrobu koszyków, znalazłem dwa karabiny i skórzane ładownice z amunicją. Miały już ślady rdzy, ale były w bardzo dobrym stanie. Schowałem je po sobie, aby nikt ich nie zobaczył i z wielkim podnieceniem przekazałem tę wiadomość ojcu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, tata nie wyraził większego zainteresowania, powiedział tylko, że dobrze by było części metalowe pokryć wazeliną. Zrobiłem to i ukryłem je w zeschniętej trawie przy starych dołach po wybranym torfie. Po kilku-

nastu dniach moi wujowie Sylwin i Tadeusz kopali torf, w tym czasie powszechnie używany u nas na opał. Byłem przy tej pracy i powiedziałem im o mojej zdobyczy. Nie chcieli jej nawet oglądać, bo to niebezpieczne, tylko poradzili mi bym wziął od nich szpadel i zakopał na małej łące osłonionej zaroślami. Zrobiłem to, tylko mimo wysiłków nie mogłem ukryć śladów zdejmowanej darni. Wujowie mnie uspokajali, że po kilku dniach szybko rosnąca trawa miejsca te szybko ukryje. Po dwóch dniach poszedłem tam sprawdzić, czy już wszystko w porządku. Dołek był przykryty, ale pusty. Po pewnym czasie zrozumiałem, że było to bardzo rozsądne załatwienie sprawy. Wujowie przenieśli karabiny w inne miejsce i mieli gwarancję, że tylko oni są wtajemniczeni. Broń ta bardzo się przydała w późniejszej działalności oddziału partyzanckiego.

Mieszkańcy naszej wsi żyli we względnym spokoju do września 1940 roku. Dokładnej daty nie pamiętam ale w pierwszej połowie września rozpoczęły się pierwsze aresztowania. W czasie pierwszego przyjazdu gestapo z Radzyna, w miejscu pracy pytali już o ojca. Tam go nie spotkali ale do domu nie przychodzili. Spośród ludzi należących do konspiracji aresztowali Marcelę Ostrowskiego, kogo więcej już nie pamiętam, ponieważ od tamtego czasu rozpoczęła się cała fala aresztowań i wezwań na przesłuchania zarówno do Radzyna jak i Wołynia. Prawie wszystkich zatrzymanych po jednorazowych przesłuchaniach w areszcie zwalniano do domów. Niektórzy byli torturowani, innych traktowano łagodnie, wypytywano tylko o różnych ludzi i wydarzenia zarówno z okresu przedwojennego jak i z czasów obecnych. W ciągu 2-tygodni aresztowano, bądź wezwano na przesłuchania około 30-osób, byli to ludzie cieszący się nienaganną opinią i w różnym wieku. Po ojca przyjeżdżali do domu dwukrotnie. W tym czasie w domu już nie przebywał. W czasie drugiej wizyty zabrali ze sobą moją mamę Ludwikę, po przesłuchaniu zwolnili ją następnego dnia. Zainteresowało ich kto u nas przebywał, kto przychodził i o czym rozmawiano. W aresztowaniach i przesłuchaniach najbardziej aktywni byli koloniści niemieccy pochodzący z Okalewa Adolf i Jan oraz pochodzący z Ostrówek Bołba – Polak, który poszedł na haniebną współpracę z okupantem i w ich ręce wydał nawet własnego brata i kilkunastoletniego bratanek. Ten ostatni, jako jeden z nielicznych przeżył gehennę kilku obozów koncentracyjnych. Po wyzwoleniu zmienił nazwisko na Podlaski i opisał swoje i innych męczarnie rozpoczęte w więzieniu radzyńskim, poprzez pobyt i sąd na Zamku Lubelskim, pierwszy masowy transport w dniu 8 stycznia 1941 r. do Oświęcimia w książce pod tytułem „Piekło na raty”.

Pod koniec września 1940 r. do naszego domu przyszedł znany nam sprzed wojny kolonista niemiecki z Okalewa. Prosił aby przekazać ojcu wiadomość, że interesował się jego sprawą i żadnych poważnych zarzutów w stosunku do niego policja niemiecka nie posiada, najpoważniejszym obciążeniem jest fakt, że się ukrywa. On sam po konsultacji z prowadzącym śledztwo radzi po przyjacielsku, aby ojciec po-

jechał do Radzyna a na pewno zostanie zwolniony i powróci do domu, jak prawie wszyscy wzywani na przesłuchanie mieszkańcy Kopiny. Ojciec uwierzył w dobre intencje człowieka, którego znał od lat i nie podejrzewał, że o jego działalności konspiracyjnej Niemcy mogą cokolwiek wiedzieć. Pojechał bardzo wczesnym rankiem dworską furmanką, wspólnie z gajowym Mieczysławem Ławniczakiem, który również się ukrywał. W godzinach wieczornych furmanka wróciła ale tylko z Ławniczakiem. Ojca zatrzymano rzekomo dlatego, że nie wszystkie sprawy w ciągu jednego dnia dało się wyjaśnić. W ciągłym oczekiwaniu i niepewności minęło kilka dni. Pewnego dnia wczesnym rankiem przyjechał rowerem kolonista niemiecki z Okalewa i poprosił mamę aby poszła z nim do rządcy majątku Leona Ciompy i poprosiła o furmankę, którą pojedzie delegacja Niemców – mieszkańców Okalewa domagać się by ojciec został wypuszczony na wolność. Furmankę otrzymali, ale po kilku godzinach oczekiwania. Do Radzyna dojechało około 10 osób, już w godzinach popołudniowych. Na miejscu nie zastali szefa gestapo, bez którego nikt nie miał prawa podjąć decyzji o zwolnieniu. Delegację zapewniono, że Stanisław Fijewski wróci do domu w najbliższych dniach. W trzy dni po pobycie delegacji niemieckiej w Radzynie moją mamę wezwał do siebie p. Ciapa, zapytał o ojca, czy jest już w domu i poradził aby nie liczyła na żadną pomoc interwencyjną, ale żeby zebrała skąd tylko się da większą sumę pieniędzy – przynajmniej tysiąc złotych i wręczyła to Dykowowi, a wtedy dopiero będzie można liczyć na zwolnienie ojca. Była to bardzo duża kwota przerastająca możliwości całej rodziny (dobrą krowę można było wtedy kupić za 200 złotych). Mimo to mama te pieniądze w ciągu kilku dni pożyczyła od wielu życzliwych ludzi i pojechała z nimi do Radzyna. Zgodnie z poradą poszła do mieszkania Adolfa Dykowa. Był w domu razem z żoną. Gdy dowiedział się z czym mama przyszła zachował się jak furia, wykrzykując różne obelgi i groźby wybiegł z mieszkania oświadczając, że za chwilę wróci i jeśli jeszcze mamę zastanie w mieszkaniu, to już nigdy swoich dzieci nie zobaczy. Na pytanie, co się stało, żona Dykowa odpowiedziała „pani męża zgubili wasi, my ratowaliśmy go jak mogli a mamy z tego duże nieprzyjemności. Proszę stąd iść jak najszybciej i nigdy już tu nie przychodzić a pieniądze będą pani potrzebne na wychowanie dzieci”.

Po kilku dniach pojechał do Dykowa Antoni Janiak najbliższy jego sąsiad i rówieśnik z czasów przedwojennych. Przywiózł informację, że wraz z Marcelim Ostrowskim, Ludwikiem Wojciechowskim z Kopiny i licznymi więźniami z okolicy nasz tata wywieziony został na Zamek do Lublina. Pocieszał jak umiał, ale wyczuć można było, że wszystkiego już nie mówi. Dopiero po kilku miesiącach po następnej fali aresztowań w wyniku, której aresztowano mego wujka Tadeusza Bożyma, dwóch braci Wiśniewskich – Józefa i Aleksandra, dwóch braci Ciołków – imion nie pamiętam i Józefa Szpila, wyjawiał, że ojca zatrzymano bezpośrednio po zgłoszeniu się na skutek donosu telefonicznego od Leona Ciompy, następnie szeroko uzasadnione w liści do

szefa gestapo Dykowa, po staraniach o zwolnienie przez kolonistów niemieckich. To było przyczyną ostrych wymówek ze strony gestapo pod adresem miejscowych Niemców, że starali się o wypuszczenie na wolność szczególnie niebezpiecznego człowieka dla realizacji planów niemieckich w Generalnej Guberni. Można się było domyślać, że Leon Ciompa był cenionym i szczególnie chronionym tajnym współpracownikiem gestapo, świadczą o tym następujące fakty: Dzięki ludziom z konspiracji udało się mojej mamie nawiązać kontakt z ojcem, więzionym w Zamku Lubelskim. Przez człowieka pracującego w więzieniu na Zamku, otrzymaliśmy od ojca trzy grypsy, miał więc możliwość podania informacji o przyczynie zatrzymania i ostrzeżenia innych. Ponieważ tego nie zrobił, domyślać się należy, że nie podano mu do wiadomości zarzutów i dowodów świadczących o jego winie. Aresztowania w Kopinie i okolicy objęły takich ludzi jak książe Seweryn Czetwertyński – właściciel majątku Suchowola – senator²⁸, jego córka Maria Józefa Grocholska z Planty, hr. Żółtowski z Milanowa i wielu innych, których p. Ciompa znał i dużo o nich wiedział. Jego działalność została ujawniona i w miesiącu marcu 1943 r. dokonano zamachu na jego życie. Zrobiono to wieczorem w dużych ciemnościach, kiedy z woźnicą jechał ze stacji kolejowej w Milanowie do domu. Wyrok mieli wykonać znani mu ludzie, stąd obawa przed rozpoznaniem przez woźnicę. Po zatrzymaniu bryczki i oświetleniu od tyłu jadących ludzi zobaczyli, że na tylnym siedzeniu jedzie dwóch pasażerów podobnie ubranych. Padł strzał obaj wypadli z bryczki, później się okazało, że zginął Melchior Domalski zarządca majątku z Planty. Po tej tragicznej pomyłce p. Ciompa użył sobie tylko znanych kontaktów, które doprowadziły do wydania rozkazu przez pułk. Millera, dowódcy miejscowej placówki AK Sylwinowi Bożymowi PS. „Wrzos”, aby p. Ciompę pozostawił w spokoju do czasu zakończenia wojny. Dopiero zostanie osądzony za swą współpracę z Niemcami. Jednocześnie poinformowano, że on już nikomu nie szkodził nie będzie. Od tamtej pory aresztowania w okolicy już nie miały miejsca.

W dniu 8 stycznia 1941r. w dużym transporcie liczącym około tysiąca osób wywieziono mego ojca z Zamku Lubelskiego do Oświęcimia. W przeddzień napisał ostatni swój gryps następującej treści: „Kochana żono! Nie martw się o mnie, ze mną nie jest źle, a nawet czuję się dobrze, wytrzymam wszystko i wrócę szczęśliwie. Jadę transportem prawdopodobnie do Rzeszy. Zawiadom, że ze mną jadą: Ostrowski, Wojciechowski, Bokiniec, Wójcika zięć, no i z Łukowa dużo. Zawiadom, że wyjechali, pod adresem Apteki M. Racz...ka (nieczytelne)²⁹. Napiszę list jeśli będzie możliwość. Otrzymałem sweter, buty i paczkę żywnościową. Zawiadom Ostrowską i Wojciechowską niech będą spokojne. Gospodarujcie jak można. Żadnych poleceń specjalnych nie daję. Da Bóg, że wrócimy Twój Stacho”.

²⁸ Seweryn Czetwertyński był posłem.

²⁹ To była apteka M. Raczunasa w Łukowie przy ulicy dr Chęcińskiego 45.

Jak dowiedzieliśmy się po latach z licznych świadectw i dokumentów, pierwszy lubelski transport dotarł do Oświęcimia w czasie najstraszniejszego terroru, wtedy tylko nieliczni więźniowie mieli szansę przeżyć dłużej niż 3 miesiące. Ojciec napisał tylko 3 kilkudzaniowe, nic nie mówiące listy. Potem nastąpił kilkumiesięczny brak wiadomości i zawiadomienie o śmierci w miesiącu wrześniu 1941 r. Już w kwietniu 1941 r. następnym transportem lubelskim zawieziony został brat mamy Tadeusz Bożym aresztowany po wywiezieniu ojca do Oświęcimia. Na pytanie w liście czy spotkał Staśka odpisał „Stasiek jest przeniesiony i szczęśliwy”. Zdanie to dawało nadzieję, że żyje ale nie może pisać. Po latach dopiero stało się w pełni zrozumiałe. Tam faktycznie za szczęśliwych można było uważać ludzi, którzy już zmarli.

Z grupy 10-u aresztowanych z naszej wsi i wywiezionych do Oświęcimia w styczniu i kwietniu 1941 r. wszyscy za wyjątkiem Tadeusza Bożyma – zdrowego, wysportowanego, młodego człowieka, znającego dość dobrze język niemiecki, przeżyli nie dłużej niż 3 miesiące. O śmierci Tadeusza Bożyma przyszło zawiadomienie w październiku 1942 roku.

Ojciec działając w konspiracji często uspokajał moją mamę – „to co robię, to stanowi jakieś zagrożenie, ale pracuję wśród swoich dla wolnego kraju a jeśli nie przeżyję, to Polska o nas pamiętać będzie i życie wasze łatwiejsze będzie niż moje”.

Co pozostano po młodym 36 – letnim ofiarnym patriocie, który wolną ojczyznę kochał bardziej niż własną rodzinę?

Pozostał maleńki poźółtkły skrawek papieru z odręcznie ołówkiem wydrukowaną przez majora Grocholskiego treścią: „Posiadacz niniejszego jest dowódcą ośrodka organizacyjnego BROCH. Wszyscy obywatele Rzeczpos. Polskiej prawdziwie po polsku czujący winni w jego ośrodku podporządkować się jego rozkazom...Data - 2.XII .1939r. Podpis „Brochwicz” i nieczytelna pieczętka. Na odwrocie czytelny podpis Stanisław Fijewski i odcisk dwóch palców – kciuka i wskazującego prawej ręki. Pozostała również zalakowana butelka z dokumentacją organizacji, zakopana pod jednym z drzew w parku przypałacowym, którą może ktoś kiedyś przypadkowo odnajdzie oraz znaczna ilość broni i amunicji zachowana w lesie Szpakowizna, z której już nikt korzystać nie będzie. Pozostała też serdeczna, często łzawa pamięć starych rodziców, rodzeństwa, żony do końca życia zapracowanej i zatroskanej o godne życie swoich synów, z których młodszy Tadeusz ojca prawie nie pamięta. W czasie jego aresztowania miał 4 lata. Pozostała również moja pamięć, dziś już najstarszego przedstawiciela rodziny Fijewskich, jedyne, który dobrze zapamiętał – często zatroskaną, poważną, ale pełną dobra i życzliwości twarz Stanisława Fijewskiego – mojego ojca, jego czarne, falujące włosy z pierwszymi zwiastunami przedwczesnej siwizny i ciemne przenikliwe oczy, które zdawało się, że dostrzegają wszystko co było w ich zasięgu.

Tata zabierał mnie czasem na długie spacery po polach łąkach i lesie. On udzielał mi pierwszych lekcji z życia roślin i zwierząt, uczył odczytywać ślady na śniegu,

pokazywał miejsca lęgowe ptaków i mówił jak je chronić przed szkodnikami. W czasie wiosennych i letnich wędrówek po lesie opowiadał bardzo ciekawie o drzewach, zwierzętach i grzybach, których wiedział wszystko i zawsze bezbłędnie trafiał w miejsca, gdzie rosły najbardziej okazałe borowiki. Wszystkie wspólne spacerunki kończyły się puentą „zapamiętaj jakie to piękne, niszczyć tego nie trzeba, niech to w takim stanie zostanie dla innych, co dobre i piękne należy chronić i umacniać, bo nasze polskie”.

Stratę ojca rodzina moja odczuła bardzo boleśnie. Na nadchodzącą zimę pozostaliśmy bez opału. Zapracowanych jeszcze przez ojca 10-u m³ drewna opałowego zatrzymał rządca majątku p. Ciompa, odmówił wydania należnego siana i słomy na utrzymanie krowy, nie pozwolił również na wykopanie posadzonych przez rodziców na ziemi dworskiej ziemniaków. Tłumaczył to, że takie jest zarządzenie władz administracyjnych w stosunku do rodzin więźniów politycznych. Dzięki pracowitości i zapobiegliwości mojej mamy oraz pomocy rodziny nigdy nie byliśmy głodni a wszelkie inne ograniczenia i powszechna bieda czasów wojny obejmowała całe polskie społeczeństwo. Najbardziej jednak boleśnie odczuwaliśmy dalsze straty życiowych nam bliskich członków rodziny. Po aresztowaniu ojca we wrześniu 1940 r., i wuja Tadeusza w marcu 1941 r. zmarła na tyfus moja babcia Marianna Bożym, żyła 64 lata. Kilka dni po otrzymaniu zawiadomienia o śmierci Tadeusza Bożyma zmarł nagle mój kochany dziadek Stanisław Bożym – miał 68 lat. W maju 1943 r. został aresztowany najmłodszy brat mojej mamy Stanisław Bożym i po kilku dniach zmarł w areszcie w Parczewie – miał 23 lata. Za dwa tygodnie zaplanowane było jego wesele. W ciągłym dużym zagrożeniu żył najstarszy brat mojej mamy Czesław Bożym, prowadzący od 1941 do 1944 r. w Warszawie, który maskował pracującą pod nim tajną drukarnię. Był również projektantem i wykonawcą kilkudziesięciu skrytek na potrzeby konspiracyjne batalionu „Parasol”. Walczył w powstaniu warszawskim i do wejścia armii czerwonej ukrywał się w Puszczy Kampinoskiej. Drugi z braci Sylwin Bożym, który po moim ojcu objął dowództwo ośrodka a następnie plutonu AK, ukrywał się od 1940 r. i przez długi czas przebywając w oddziale partyzanckim w lasach kąkolewnickich. Brał udział w licznych akcjach bojowych.

W pracach konspiracyjnych ZWZ i AK brał udział również Władysław Fijewski młodszy brat ojca – nauczyciel, kierownik szkoły w Rybczewicach. Z ramienia organizacji kierował tajnym nauczaniem na terenie gminy. Produkował fałszywe dokumenty dla ludzi ukrywających się przed Niemcami w tym i dla Żydów, przechowywał ich u siebie w szkole i innych zaufanych rodzinach. Przez cały czas okupacji wszystkim potrzebującym i zagrożonym służył swoim mieszkaniem, pomocą materialną i organizacyjną. Okupację niemiecką, mimo ciągłego zagrożenia, przeżył szczęśliwie – został jednak aresztowany we wrześniu 1944r. przez NKWD i wywieziony do obozu internowanych i niemieckich jeńców wojennych w głąb ZSRR, skąd w stanie skrajnego wyczerpania powrócił w 1946r. Przyczyną aresztowania był

znaleziony u niego plik wypisanych a nie rozdanych świadectw z tajnego nauczania. Swe przeżycia Władysław opisał w książce pt. „Niedobre dni”.

Mimo nieszczęść jakie zostały zapoczątkowane aresztowaniem ojca mój dom rodzinny zawsze był otwarty dla ludzi zagrożonych, potrzebujących schronienia i doraźnej pomocy. Często gośćmi byli ludzie z konspiracji przyprawiani na odpoczynek i nocleg przez Sylwina Bożyma. Nigdy nikt ich nie pytał kim są, skąd przyszli i gdzie odchodzą? Szczególnie bliskie kontakty utrzymywane były z rodzinami wysiedlonymi ze swoich domów z terenów polskich wcielonych do III Rzeszy - z liczną rodziną państwa Olejniczaków z Krobii w woj. Poznańskim i małżeństwem Kruków z Łodzi. Dzieliliśmy się z nimi wszystkim co potrzebne do skromnej codziennej egzystencji: świeżo wypieczonym chlebem, mlekiem, warzywami, i kawałkiem słoniny czy mięsa, gdy niekiedy takie luksusy czasu wojennego mogły być na naszym stole z okazji świąt Bożego Narodzenia, czy Wielkanocy. Z dziećmi państwa Olejniczaków do dziś utrzymuję kontakty.

Wiosną 1944 r. na polach majątku Kopina Niemcy zbudowali lotnisko polowe dla lekkich samolotów bojowych. Pas startowy kilkusetmetrowej szerokości długi na około 2 km był wyrównany ciężkimi wałami i obsiany trawą, wokół drogi dojazdowej do licznych stanowisk ziemnych chronionych wałami dla samolotów. Na obrzeżach lotniska rozmieszczono zamaskowane stanowiska artylerii przeciwlotniczej, namioty dla obsługi oraz liczne magazyny bomb lotniczych i amunicji. Wszystko to stanowiło duże zagrożenie dla mieszkańców wsi. Prawdziwą grozę przeżyliśmy w nocy z 21 na 22 lipca 1944 r. kiedy to specjalny oddział żołnierzy niemieckich jeżdżąc samochodem terenowym detonował zgromadzone składy bomb lotniczych i innego wyposażenia wojskowego. Co kilkanaście minut następowała eksplozje, do których wypadały szyby w oknach i całą okolicę rozjaśniały kaskady ognia tryskającego na ogromną wysokość. Noc pełną grozy spowodowaną siłą niszczycielską człowieka dopełniły nad ranem ciemne chmury z wyładowaniami atmosferycznymi i ulewnym deszczem. W tej scenerii nikt nie zauważył kiedy i gdzie odjechali żołnierze niemieccy niszczący mienie wojskowe, którego nie zdołali zabrać ze sobą.

We wczesnych godzinach rannych od strony Milanowa przyjechał samochodem terenowym kilkunastoosobowy patrol żołnierzy sowieckich. Zachowywali się przyjaźnie wypytywali o wojsko niemieckie, zaglądali do pozostawionych namiotów i zapewniali, że teraz już będzie wolność, bo oni będą gonić Niemców aż do Berlina. Około godziny 8⁰⁰ od strony Cichostowa przez pola nadjechało kilka czołgów sowieckich. Zatrzymali się we wsi i po krótkiej chwili zlikwidowali obsługę niemieckiego samochodu terenowego, który nadjechał od strony Wohynia.

c.d. do napisania

Niestety ten tekst nie został dokończony. Być może ojciec uznał, że to co zamierzał napisać jako świadectwo o swoim ojcu już napisał, i to co można by było pisać dalej wykracza już poza tytułowy zamiar.

Nie znam dat powstania obu tekstów. Myślę, że pierwszy z nich został napisany w 2001 roku bezpośrednio po obejrzeniu filmu „*Skarby ukryte*” i wymianie korespondencji z Elżbietą Czetwertyńską. Natomiast tekst o Stanisławie Fijewskim był napisany wcześniej i pisanie zajęło ojcu więcej czasu. Świadczy o tym kilkakrotna zmiana długopisu, a także zmieniający się charakter pisma.

Powojenne losy bohaterów tej opowieści

Ludwika Fijewska

Po zakończeniu wojny Ludwika z ogromnym trudem i heroizmem wychowywała samotnie synów. Jak trochę dorośli, to się z kopińskiego domu wyprowadzili, pozostawiając Ludwikę samą. Obaj oczywiście często przyjeżdżali do domu i pomagali w czym tylko mogli. Nawet wtedy jak już założyli własne rodziny nie zapominali o matce i starali się poświęcać jej jak najwięcej czasu. Do tradycji, szczególnie w rodzinie Mieczysława, weszła zasada, że wakacje dzieci spędzają u babci. Do babci przyjeżdżało się też przy każdej innej okazji, tym bardziej, że było niedaleko. Ludwika była we wsi osobą bardzo popularną, drzwi do niej się nie zamykały, co chwilę ktoś przychodził, a to po to, aby coś opowiedzieć albo się w czymś poradzić, albo choćby trochę posiedzieć. Znała się także na chorobach. Zawsze miała w swojej apteczce różne medykamenty, którymi ratowała sąsiadów, i czasami ich zwierzęta, w nagłych przypadkach. Ludwika uprawiała trochę pola, hodowała zwierzęta domowe, ale realizowała się przede wszystkim jako krawcowa. Szyła sprawnie, pięknie i tanio na napędzanej pedałem maszynie marki Singer – klientek jej nie brakowało. W domu miała zawsze jakieś żurnale modowe, którymi się inspirowała projektując krój sukienek, bluzek, spodni, garsonek. Jak skończyła 70 lat postanowiła szyć kołdry. Szybko się w tym nowym fachu wyspecjalizowała, zdobywając klientów z kilku okolicznych powiatów. Aby u niej uszyć kołdrę trzeba było czekać w kolejce nawet pół roku, albo i dłużej. Pod koniec życia bardzo jej dokuczało zwyrodnienie kręgosłupa - mówiła, że to przez te kołdry. Doczekała się czwórki wnuków, dziewięcioro prawnuków i jednej praprawnuczki. Zachowało się zdjęcie, do którego ustawili się jednocześnie przedstawiciele pięciu pokoleń Fijewskich. Zmarła w 1998 roku w wieku 94 lat. Jest pochowana na cmentarzu w Wohyniu w tym samym grobie, w którym wcześniej zostali pochowani Władek, Marysia Dąbrowska i jej mąż Józek. Wieś o niej pamięta – do dzisiaj ludzie wspominają jak to za czasów Ludwika cała wieś gromadziła się w jej domu na wspólne modlitwy – „majówki”, „czerwcówki” i na październikowy różaniec. To był prawdziwy „domowy kościół”, ludzie nie mieścili się w mieszkaniu, klęczeli w sieni a niektórzy nawet na podwórku. Modlitwy prowadziła Ludwika – głośno i wyraźnie. Chętnie też intonowała pieśni, których znała na pamięć całe mnóstwo. Starsi ludzie zapamiętali ją także jako społeczną działaczkę i ludową poetkę, bez której nie mogła się odbyć żadna

lokalna inicjatywa; no i jej wypieki, a szczególnie torty, to było prawdziwe mistrzostwo. Na słowa zachwytu i na pytania, jak się robi takie delicje, mówiła skromnie - „A tak, natryciałam tam coś po prostu i jakoś tam wyszło...”

Aniela Fijewska - babcia

Całe życie bardzo pomagała swoim dzieciom, najbardziej swemu najmłodszemu synowi Władkowi. Kiedy Władek chodził do szkoły w Leśnej Podlaskiej, to odwiedzała go w szkole chodząc do niego piechotą ponad 40 kilometrów w jedną stronę. Aniela po wojnie mieszkała na zmianę u synowej Ludwiki w Kopinie lub u córki Marysi Dąbrowskiej w Branicy. Jak Mietka wysłano do szkoły do Komarówki, to rodzina uradziła, że trzeba tam wynająć dom, w którym zamieszka Mietek i kilku jego kolegów. Utworzona coś na kształt małej prywatnej bursy. Do opieki nad tą gromadką wydelegowano babcie Anielę. Babcia chętnie tam pojechała i przez ponad dwa lata prowadziła im dom i wychowywała jak umiała. Koledzy Mieczysława przez całe dziesięciolecie z ogromnym sentymentem wspominali to wspólne mieszkanie i wspólną babcie. Po tym jak Mietek musiał uciekać z Branicy do Wrocławia babcia wróciła do Kopiny, a po śmierci męża Wawrzyńca w 1961 roku i ona przeprowadziła się do syna Władysława do Wrocławia. Często przyjeżdżała w rodzinne strony. Zawsze pogodna i bardzo żywotna, lubiła gotować, znana była z wytwarzania chodników i dywaników z różnych starych tkanin i zużytych ubrań. Obdarowywała rodzinę i znajomych tymi chodniczkami i bardzo się cieszyła jak u obdarowanych osób widziała gdzieś te swoje rękodzieła. Uwielbiała grzybobranie, uznawana była za ekspertkę od grzybów. Chodziła do lasu nawet po przekroczeniu 80. roku życia. Zmarła przeżywszy 92 lata w 1972 roku w Radzynie Podlaskim w trakcie swoich odwiedzin u wnuka Mieczysława. Jest pochowana w rodzinnym grobie w Wohyniu razem z mężem Wawrzyńcem.

Wawrzyniec Fijewski - dziadek

Długoletni żołnierz carskiej armii, weteran dwóch wojen. Ranny w 1915 roku w bitwie pod Smoleńskiem. Nigdy nie doszedł do pełni sił. Był znanym w okolicy specjalistą od wytwarzania wielu przydatnych w owym czasie przedmiotów. Robił na zamówienie beczki, szafliki, znał się na wytwarzaniu i naprawie wozów konnych, robił gonty do krycia dachów. Był też znawcą zwierząt domowych - szczególnie owiec i koni. Jego kompetencje w tym względzie potwierdzał miejscowy weterynarz, który mówił odwiedzającym go rolnikom, że „jeśli Fijewski coś zaordynował, to trzeba się go słuchać, bo on się zna”. Fachu owczarza nauczył się od swego ojca, znawcą

koni i ich dolegliwości stał się w carskim wojsku, gdzie był pomocnikiem felczera. Po wojnie był już schorowanym człowiekiem, mieszkał początkowo u swojej córki Marysi w Branicy, później przeniósł się do Kopiny do synowej Ludwiki. Mimo choroby – mówiło się, że chorował na płuca – starał się być aktywny. Pomagał na ile mógł w gospodarstwie, ale najbardziej lubił wypłacać wiklinowe kosze i koszyki. Te jego kosze służyły jeszcze niektórym do dzisiaj. Miał kilku przyjaciół z dawnych lat, których z latami mu ubywało. W końcu pozostał jeden – sąsiad Jan Sokół, z którym grał namiętnie w „tysiaca”. Świadkowie tych spotkań zapamiętali, że rywalizowali ostro, nie szczędząc sobie uszczypliwych uwag, choć czynionych zawsze w żartobliwej formie. Licytowali się, kto przed kim pierwszy będzie niósł krzyż na cmentarz. W domu dziadek Wawrzyniec niewiele się odzywał, być może dlatego, że każdą próbę jakiegось jego opowieści gasiła babcia Aniela mówiąc – „dałbyś spokój tym bajdurzeniom, kogo to teraz obchodzi”. Zmarł w 1961 roku w Kopinie przeżywszy 88 lat, jest pochowany w rodzinnym grobie na cmentarzu w Wohyniu.

Marianna Dąbrowska z domu Fijewska - Marysia

Całe dorosłe życie była bardzo cenioną i lubianą nauczycielką. Po ślubie z Józefem Dąbrowskim zamieszkała w Branicy Suchowolskiej w powiecie radzyńskim i pracowała w tamtejszej szkole podstawowej. Oprócz pracy w szkole prowadziła wraz z mężem spore gospodarstwo rolne. W takim tradycyjnym gospodarstwie na Podlasiu uprawiano wszystkie rodzaje zbóż i prowadziło hodowlę różnych zwierząt i drobiu, życie upływało więc pracowicie, dodatkowo cała była czas zaangażowana w różne działania społeczne. Pogodna i życzliwa, zawsze otoczona dużą liczbą przyjaciół i znajomych. We wsi miała duży autorytet – do niej przychodziło się jak komuś potrzebna była porada lub fachowa pomoc. Obdarzona dobrą pamięcią była dla całej rodziny źródłem cennych informacji dotyczących wspólnych przodków. Napisała wspomnienia, które są dla współczesnych bogatym źródłem wiedzy o historii rodziny. Jej jedyna córka - Zdzisława - ukończyła stomatologię we Wrocławiu i zamieszkała w Opolu. Mimo odległości często przyjeżdżała do rodziców ze swymi córkami Ewą i Bożeną. Pod koniec życia rodzinę spotkała ogromna tragedia – tuż obok ich domu zginął w wypadku Józef. Marysia nie mogła już mieszkać sama w Branicy, przeprowadziła się więc do córki. Męża przeżyła o dwa lata. Zmarła w 1991 roku przeżyła 90 lat. Jest pochowana na cmentarzu w Wohyniu we wspólnym grobie z mężem Józefem, bratem Władysławem i bratową Ludwiką. Pełen pamiętek dom Dąbrowskich w Branicy przetrwał – zajmuje

się nim, nie szczędząc czasu i kosztów, wnuczka Ewa, która niemal w każdym weekend dojeżdża do Branicy z Warszawy.

Władysław Fijewski - Władek, pseudonim „Czarny”

W czterdziestym szóstym roku Władysław obawiając się dalszych represji ze strony lubelskiego UB dał się namówić swoim żydowskim kolegom i wyjechał na stałe do Wrocławia, ale i tam UB go znalazło. Wielokrotnie był wzywany, zatrzymywany i przesłuchiwany. To nękanie nie skończyło nawet w latach siedemdziesiątych. Wtedy został zatrzymany - co bardzo przeżył - pod całkowicie spreparowanym - jak się później okazało - zarzutem handlu złotem. Był bardzo cenionym nauczycielem, uczył geografii w kilku szkołach, ale najpełniej swoje pedagogiczne pasje realizował pełniąc obowiązki kuratora sądowego dla młodocianych przestępców. Im oddał chyba najwięcej ze swego czasu. Bardzo skrupulatnie prowadził dokumentację swojej pracy, pozostawiając setki stron zapisków. Nigdy się nie ożenił, za to bardzo pomagał rodzinie. Zaraz po wojnie do Wrocławia trafił, jeszcze przed maturą, bratanek - Mieczysław. Później po jego opiekę trafił drugi z bratanków Tadeusz i siostrzenica Zdzisia Dąbrowska - oboje we Wrocławiu ukończyli i szkoły średnie i studia. Z pomocy Władysława korzystało i następne pokolenie Fijewskich. Mieszkał u niego syn Mieczysława - Janusz i córka Zdzisławy - Bożena. Mietek i pozostali z ogromną czułością i wdzięcznością wspominają „stryjka Władka”, szczególnie Mietek, który zawsze powtarza, że Władysław zastąpił mu ojca i jest pewien, że Władek dlatego nie założył własnej rodziny, aby móc skutecznie pomagać swoim bratankom. Prywatnie Władysław uwielbiał podróżować. Postanowił sobie, że odwiedzi wszystkie miasta powiatowe w Polsce i rzeczywiście tego dokonał, korzystając jedynie z PKP i autobusów PKS. Często odwiedzał rodzinę na Podlasiu, zawsze oczekiwany i zawsze z radością witany - szczególnie przez dzieci, dla których zawsze miał coś dobrego. Zmarł we Wrocławiu w 1991 roku. Został pochowany - na własne życzenie - na cmentarzu w Wohyniu w jednym grobie z siostrą Marysią, bratową Ludwiką i szwagrem Józefem Dąbrowskim.

Mieczysław Fijewski - Mietek

Aresztowanie na początku wojny, a później śmierć jego ojca w Oświęcimiu całkowicie zmieniło życie Mietka jak i całej jego rodziny. Mając dwa naście lat musiał gwałtownie wydorosnąć i w dużym stopniu przejąć męskie obowiązki w domu. Szybko nauczył się, że wszystkie ciężkie prace, to są już jego obowiązki. Jednocześnie został wciągnięty w wiele działań

podejmowanych przez swoich kuzynów z ruchu oporu. Szczególnie Sylwin traktował go jako swego gońca, posyłając w różne miejsca, a to po to, aby przekazać komuś jakąś informację, a to po to, aby coś przenieść. Po skończeniu szkoły podstawowej w 1944 rozpoczął naukę w szkole zawodowej w Radzynie Podlaskim. Rodzina uznała, a on nie protestował, że jako najstarszy musi szybko nauczyć się jakiegoś zawodu i pójść do pracy zarobkowej. Ale szczęście w nieszczęściu – Mietek przy jakiejś pracy w szkolnych warsztatach poważnie zranił rękę. Rodzina się o tym dowiedziała i uznała, że szkoda Mietka do takiej szkoły i takiego zawodu i tym sposobem Mietek trafił do gimnazjum w Komarówce. Tam poznał Marysię Plebanowicz – najładniejszą dziewczynę w szkole i chociaż wtedy w Komarówce nie zostali jeszcze parą, to zaiskrzyło na tyle poważnie, że po kilku latach - w 1951 roku - się pobrali. Powojenna młodzież nie należała do pokornych. Czasy były burzliwe, działały podziemne organizacje wojskowe, cześć szkolnej młodzieży aktywnie angażowała się w ruch oporu, tym razem przeciwko władzom komunistycznym. Mietek i część jego kolegów należeli do tych bardziej zaangażowanych. Mieli broń, niektórzy włączali się w różne akcje. Początkowo byli pod obserwacją UB, później zaczęły się aresztowania. Mietek uniknął aresztowania, ale powiedział o zagrożeniu Władkowi i ten uznał, że Mietka trzeba zabrać z Komarówki. Więc zaraz po małej maturze Mietek przeniósł się do stryjka Władka do Wrocławia. Tam poszedł do liceum i mieszkał we Wrocławiu do matury. Po odebraniu świadectwa dojrzałości poszedł na studia rolnicze w Lublinie. W Lublinie odnaleźli się z Marysią, która po ukończeniu szkoły już wtedy pracowała. Postanowili rozpocząć wspólne życie po tym jak Mietek skończył studia inżynierskie na Wydziale Rolnym UMCS w 1950 roku. Rok później byli już małżeństwem. Po kilku przeprowadzkach osiedli na stałe w Radzynie Podlaskim. Dochowali się trójki dzieci, po następnych dziesięcioleciach dziewięciorga wnucząt i ósemki prawnucząt. Mieczysław zmarł 8 stycznia 2020 roku przeżywszy 90 lat. Urodził się w końcówce lat 20-tych XX wieku, zmarł na początku lat 20-tych XXI wieku zamykając tym samym swym życiem jak klamrą całe stulecie. Do końca życia aktywny na wielu polach, obdarzony doskonałą pamięcią, posiadający „dar słowa” był nieocenionym źródłem informacji z historii rodziny i miejscowości w których mieszkał. Poza tym miał dar zjednywania sobie ludzi, więc całe życie byli z Marysią otoczeni wieloma przyjaciółmi. Ci, chociaż w czasie się zmieniali – starsi odchodzili, pojawiali się nowi - byli zawsze obecni w ich domu, a ostatnio, jak już oboje niedomagali, służyli pomocą i wsparciem.

Tadeusz Fijewski - Tadzio

Trudne losy rodziny doświadczyły także młodszego brata Mietka – Tadeusza. Kiedy ich ojciec Stanisław ginął w Oświęcimiu, Tadzio miał jedynie 4 lata, więc z tamtych czasów pamięta niewiele, ale doskonale pamięta, że jego wczesne dzieciństwo naznaczone było niedostatkami, ciężką pracą matki, a czasem zwyczajnym strachem. Zarówno Ludwika jak i babcia Anieła troszczyły się o niego i starały się bardzo, aby Tadziovi niczego nie brakło. Później czasy wczesnego PRL-u, szkoła podstawowa w Milanowie, upływały jak u większości wiejskich dzieci w tamtym czasie na względnym spokoju. Rzeczywiście dzięki staraniom matki, starszego brata, stryja Władka i reszty rodziny dorastanie Tadeusza odbywało się bez większych zawirowań. Dobrze się uczył, nie sprawiał żadnych kłopotów wychowawczych, więc rodzina uradziła, że Tadeusz powinien trafić do lepszych szkół i uczyć się w lepszych warunkach. Akurat Mietek zdał maturę we Wrocławiu i „zwolniło” się miejsce u stryjka, więc Tadzik pojechał do Wrocławia i poszedł do gimnazjum. Dołączyła do niego także siostra cioteczna - Zdzisia Dąbrowska i oboje pod opieką stryjka Władka szczęśliwie pokończyli szkoły, później studia i na stałe pozostali na zachodzie Polski. Tadeusz został elektronikiem kończąc Politechnikę Wrocławską, w której to uczelni pozostał i pracował w niej do emerytury. Ożenił się z Zosią Górniak - koleżanką ze studiów Zdzisi Dąbrowskiej. Założyli szczęśliwą rodzinę, urodził im się syn Michał. Tadzik, kiedy tylko mógł przyjeżdżał do matki do Kopiny. Ludwika wyczekiwała jego przyjazdu z niecierpliwością, bo na Tadzika zawsze czekała jakaś praca. Wszyscy wiedzieli, że Tadzik żadnej pracy się nie boi i że chętnie pomoże w naprawie domowych sprzętów, szczególnie elektronicznych. Zawsze przyjeżdżał z narzędziami i z całą torbą różnych części zamiennych – lamp, kondensatorów, oporników, potencjometrów. Naprawiał radiodbiorniki, a później telewizory, nie tylko Ludwice, ale i jej sąsiadom. Ludwika bardzo była mu wdzięczna za różne domowe udogodnienia, które wymyślał, aby ułatwić jej życie. Najbardziej przydatna była elektryczna pompa pozwalająca korzystać ze studni bez konieczności mozolnego wyciągania wiaderek z wodą przy pomocy niewygodnego kołowrotka, co było szczególnie kłopotliwe – wręcz niebezpieczne – zimą. Zbudował też coś na kształt wodociągu zasilanego wodą z wiadra i kanalizację odprowadzającą wodę z umywalki bezpośrednio na pole. W lecie budował ogrodowe prysznice, a dzieciom piaskownicę i huśtawki. Tadeusz do dzisiaj mieszka we Wrocławiu – doczekał się już dwójki dorosłych wnuków i prawnuczki.

Czesław Bożym – Czesiek, pseudonim „Szprycha”

Janina, żona Czesława, wróciła z Francji w 1946 r. Rodzina mimo wszystko miała szczęście - przeżyli wojnę, przetrwało bez większych zniszczeń ich mieszkanie - można było zaczynać od początku. I dopiero wtedy dotknęła ich najgorsza tragedia. W 1948 roku zmarła ich ukochana córka - Krystyna. Zachorowała w 1945 roku. Czesław po pobieżnym przygotowaniu mieszkania postanowił zabrać z Kopiny do Warszawy swoje dzieci. Jakoś dotarł do Kopiny jadąc pociągiem, spakowali się i Janek Tymosiewicz odwiózł ich na stację w Milanowie. Nie znaleźli miejsca w pociągu - taki był zatłoczony, więc jechali przez kilka godzin na buforach łączących wagony. Krysia bardzo się przeziębiła, zapadła na zapalenie płuc, później rozwinęła się gruźlica, antybiotyki nie były dostępne i mimo starań rodziny Krysia umarła - miała tylko 18 lat. Czesiek miał dość, nie miał już siły na walkę. Uznał, że w interesie rodziny trzeba się przystosować. Znalazł pracę w fabryce i ku zaskoczeniu reszty rodziny zapisał się do partii PPS. Rozpoczął życie typowej PRL-owskiej, warszawskiej rodziny. Etatowa praca, powolne dorabianie się i urzędowanie, wolny czas na działce. Poświęcił się rodzinie i już nigdy nie zaangażował się poważnie w żadne polityczne sprawy. Z żoną Jaśką stanowili wydawałoby się niedobraną parę - on dość niski i raczej szczupły, ona za to tęga - rodzina nazywała ją „grubą ciotką” - byli jednak ze sobą bardzo życzliwi, bardzo się kochali i wspierali. Oboje obdarzeni wyjątkowym poczuciem humoru wypracowali sobie wielce oryginalny styl porozumiewania się. Postronni obserwatorzy mogliby przypuszczać, że ciągle się kłóca, prawiąc sobie złośliwości - w rzeczywistości te przekomarzenia się niezmiernie ich wzajemnie bawiły. Ich syn Mieczysław obdarzył ich dwiema wnuczkami, które bardzo kochali i poświęcali im wiele starań i uwagi. Czesław zmarł w 1984 roku w wieku 85 lat, Janina czternaście lat później w wieku 89 lat. Są pochowani na Cmentarzu Wołoskim w Warszawie.

Mieczysław Bożym

Dopiero po wojnie dalsza rodzina dowiedziała się, że Mietek w czasie okupacji miał wielkie kłopoty, bo się zaangażował w „małą dywersję” w Szarych Szeregach i wpadł. Ojcu udało się go uwolnić, bo przekupił dużą sumą kogoś na Gestapo. Z tego też powodu Mietek razem z Krysią został „zesłany” na wieś do Kopiny, gdzie spędził prawie całą okupację. Po wojnie wrócił do szkoły, zrobił maturę i ukończył Warszawską Politechnikę. Ale nigdy nie pracował w swoim wyuczonym zawodzie inżyniera, za to całe swoje życie zawodowe poświęcił pracy z młodzieżą. Uczył kilku

przedmiotów w w słynnym Technikum Łączności w Warszawie, ale nie rola dydaktyka przysporzyła mu największej popularności w szkole i w całym środowisku warszawskich pedagogów. Najbardziej znany był z działalności turystycznej i krajoznawczej. Organizował dziesiątki najprzeróżniejszych imprez turystycznych, wycieczek, obozów, rajdów, w których to imprezach uczestniczyli nie tylko jego uczniowie. Był aktywnym działaczem Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Uroczy rozmówca i gawędziarz. Przez dzieci w rodzinie nazwany „wujkiem wędrowniczkiem” był wręcz uwielbiany przez wszystkich, którzy mieli szczęście poznać go bliżej. Jak przyjeżdżał w rodzinne strony swoich rodziców, to zawsze był zaopatrzony w pokaźnych rozmiarów torbę z różnymi słodkościami dla dzieci. Torba była wręczana najstarszym dzieciom, które miały za zadanie sprawiedliwie rozdzielić jej zawartość wszystkim dzieciom, które akurat były w okolicy. Mieczysław swe pasje pedagogiczne i turystyczne przekazywał córkom Basi i Ewie oraz wnuczkom Ani i Agnieszce. Zmarł w Warszawie w 2012 roku w wieku 84 lat. Jest pochowany na Cmentarzu Wolskim.

Sylwin Bożym – pseudonim „Wrzos”

Po wojnie, po uzyskaniu zgody swego dowództwa z AK, Sylwin wyjechał z żoną i synkiem do Warszawy. Tam ukrywał się początkowo pod przybranym nazwiskiem - Mościcki - później, po pięćdziesiątym szóstym roku wrócił do swego prawdziwego nazwiska. Nigdy oficjalnie się nie ujawnił, nigdy nie wstąpił - jak mawiał - „do żadnego ZBOWiD-u”. O swojej partyzanckiej przeszłości prawie nie wspominał. Chyba bardzo dokuczala mu ta przeszłość, bo pił dużo i jeśli wracał do starych czasów, to tylko wtedy jak był pod wpływem alkoholu. Siadał wtedy za stołem i tak jakby do siebie snuł chaotyczną opowieść o swoich przeżyciach. Zwykle miał jakiegoś słuchacza, do którego się zwracał, mogło być to nawet dziecko i mówił: „No widzisz - pomylili się... Zabili niewinnego. Jak oni mogli się pomylić? Takie to było wojsko, tacy partyzanci...”. Do Kopiny przyjeżdżał regularnie, mieszkał najczęściej u Ludwiki, odwiedzał kuzynów i dawnych kolegów, chodził na grzyby i je masowo marynował. Te marynowane grzybki zawoził do Warszawy, czym bardzo radował swoich warszawskich kolegów. Szczycił się mocnym zdrowiem - zawsze powtarzał, że z „kasy chorych” nie korzysta, że nawet nie wie gdzie jest jego osiedlowa przychodnia. „O lekarstwo mnie nie pytajcie” - mówił z uśmiechem, dając do zrozumienia, że bardzo mu służy ten tryb życia, któremu był wierny do końca życia. Zmarł w 1992 na pierwszą poważniejszą chorobę, na którą

zachorował. Któregoś dnia dostał wysokiej temperatury, wezwana karetka pogotowia zwiózła go do szpitala, tam stwierdzono zapalenie płuc, którego nie dało się już wyleczyć. Jest pochowany w Warszawie na Cmentarzu Wolskim. Przeżył 83 lata.

Leon Ciompa

Zniknął z Kopiny krótko po odejściu Niemców. Dzięki pomocy szwagrów Ławniczaków udało mu się uniknąć kłopotów ze strony partyzantów. Początkowo przeniósł się do Cichostowa, gdzie zamieszkał w gospodarstwie należącym do niemieckiej rodziny, która opuściła Polskę. Później przeniósł się do Jabłonia, był tam krótko administratorem tamtejszym majątku Zamojskich przejmowanego właśnie przez nowe władze. O tym, że jest w Jabłoni dowiedział się kuzyn i przyjaciel Mietka - Olek Woźniak. Olek o rok starszy od Mietka wstąpił wcześniej do organizacji i wiedział o przewinach Ciompy. Przyszedł do Mietka z propozycją, żeby oni we dwóch wykonali na nim stary wyrok wydany jeszcze przez Sylwina. Miał broń i plan. zaproponował, aby obaj pojechali rowerami do Jabłonia i tam po prostu go zastrzelili. Mietek początkowo nawet wyraził zgodę na ten plan, ale po kilku dniach przemyślał i uznał, że nie mogą tego zrobić, więc i tym razem Ciompie się upiekło. Ten dwukrotnie był zatrzymywany przez UB, ale zawsze go wypuszczano bez żadnych konsekwencji. Nie czuł się chyba zbyt pewnie w tych okolicach, gdyż już po kilku latach ostatecznie zniknął. Przez wiele lat nikt niczego o Ciompie nie słyszał. Dopiero w latach 80-tych jeden z kuzynów Mieczysława przywiózł wiadomość, że spotkał syna Ciompy, od którego się dowiedział, że Leon Ciompa kupił młyn we wsi Pokrzywianka pod Kielcami i tam przez nikogo nie niepokoiony mieszka sobie do dzisiaj. Mieczysław w pierwszym odruchu chciał wsiąść do samochodu i pojechać do tej Pokrzywianki, aby spojrzeć Ciompie w oczy i powiedzieć, co o nim myśli. W końcu nie pojechał, bo zaprotestowała matka Mieczysława - Ludwika. Mieczysław uznał jej rację i pogodził się z tym, że po takim długim czasie niczego nie wskóra, jadąc tam naraziłby się tylko na stres, a może i kłopoty.

Konstanty Witkowski - pseudonim „Müller”

Był komendantem Obwodu Armii Krajowej w powiecie radzyńskim wchodzącego w skład 35 pp AK. Po niepowodzeniu akcji „Burza” i wkroczeniu na te tereny Rosjan, Müller uznał, że trzeba zaprzestać walki partyzanckiej. Postanowił pozytywnie odpowiedzieć na apel dowództwa polskiego wojska przybyłego wraz z Rosjanami ze wschodu i wcielić swój pułk w struktury polskiej armii. Ogłosił coś na kształt mobilizacji swoich jednostek

i rozkazał zgłosić się wszystkim z bronią do Kąkolewnicy gdzie stacjonowało dowództwo tworzącej się II Armii Wojska Polskiego. Nic dobrego z tego jednak nie wyszło, część partyzantów zgromadzono w jednym miejscu i początkowo zwodzone ich obietnicami wcielenia do armii, jednak ktoś na górze postanowił, że AK to niepewny, a może i wrogi element i wszystkich partyzantów, którzy byli w ich zasięgu aresztowano. Ci, którzy się opóźnili lub stacjonowali w innych miejscowościach po zorientowaniu się, co się dzieje rozpiechli się po okolicznych wioskach i zaczęli się ukrywać albo zasilac szeregi WiN i NSZ. Powstawały też nowe niepodległościowe oddziały leśne - taką był na przykład oddział sformułowany przez byłego podkomendnego Müllera - Jana Grudzińskiego pseudonim „Płomień”. Rozpoczęły się represje. Aresztowanych szybko w trybie doraźnym sądzono i najczęściej skazywano na śmierć. Wyroki wykonywano w Uroczysku Baran i na miejscu chowano w zbiorowych grobach. Według niektórych szacunków pochowano tam nawet 1800 osób. Sam Konstanty Witkowski, podobnie jak wielu jego ludzi także został aresztowany następnie osadzony na Zamku w Lublinie. Wytoczono mu proces, skazano na śmierć - później wyrok zamieniono na 10 lat więzienia. Była opinia, że z więzienia na Zamku nie można było uciec, ale w nocy 18 lutego 1945 roku około 20 więźniów - w tym Konstanty Witkowski - uciekło. Udało się to z pomocą kilku strażników - żołnierzy z Armii Berlinga, którzy wcześniej byli partyzantami z oddziału „Kmicica”. Witkowski z jakichś powodów wkrótce sam dobrowolnie zgłosił się na posterunek MO w Spiczynie, gdzie został powtórnie aresztowany. Był osądzony w 1951 roku w głośnym procesie w Lublinie. Siedział w więzieniu we Wronkach, później został warunkowo zwolniony, następnie ponownie aresztowany i tak to trwało do 1956 r. Wtedy to objęła go amnestia i mógł znaleźć nawet jakąś pracę. Został magazynierem w Warszawie. Na starość zdrowie go opuściło. Zmarł w 1982 roku, jest pochowany na cmentarzu przy ulicy Lipowej w Lublinie.

**Adam Remigiusz Grocholski - pseudonim „Brochwicz”,
„Waligóra”**

Po utworzeniu w 1940 Związku Walki Zbrojnej wcielił swoją organizację „Brochwicz” w jego struktury. Sam po wyjeździe z Kopiny w 1940 roku ukrywał się w różnych miejscach pozostając jednak początkowo w tej organizacji bez wyraźnego przydziału. Wiosną 1941 złożył w Komendzie Głównej ZWZ projekt stworzenia organizacji dywersyjnej, która miałaby - wobec przewidywanego konfliktu między III Rzeszą i ZSRR - działać na tyłach frontu niemiecko-radzieckiego. Od września 1941 został szefem sztabu i zastępcą ppłk.

Jana Włodarkiewicza komendanta „Wachlarza”, a po jego śmierci od marca 1943 roku pełnił funkcję komendanta. Zadaniem „Wachlarza” było utworzenie silnych struktur wojskowych na terenach Polski, które zostały zajęte w 39 roku przez ZSRR. Po rozwiązaniu „Wachlarza” ponownie pozostawał bez przydziału. Później brał udział w Powstaniu Warszawskim a od 1 września 1944 został komendantem V Rejonu (Mokotów Dolny) Obwodu Mokotów, Okręg Warszawa. W AK działał pod pseudonimem „Waligóra” (być może od jego pseudonimu całość sił tego rejonu nazwano pułkiem „Waligóra”). Ciężko ranny 25 września dwa dni później został wyprowadzony z terenu walk przez łączniczki wraz z ludnością cywilną opuszczającą Mokotów. 29 września 1944 został awansowany do stopnia pułkownika AK. Po wojnie zamieszkał w Szklarskiej Porębie, a od 1954 w Warszawie. Zmarł 17 marca 1965 w Cannes. Jest pochowany na cmentarzu wojskowym w Laskach pod Warszawą.

Od autora

„Adam Remigiusz Grocholski był uczestnikiem tzw. „bitwy pod Kockiem”. Była to ostatnia bitwa w okresie 2-6 października na Lubelszczyźnie polskiej regularnej armii w 1939 roku z Niemcami. Dla Polaków skończyła się wygraną, jednak strategicznie armia została już rozbita. Grocholski ze swoim oddziałem nie złożył broni i założył na tych terenach jedną z pierwszych organizacji konspiracyjnych pod nazwą „Brochwicz”. Od końca września 1939 roku i do momentu podporządkowania tej organizacji ZWZ, wykonywał zadania rozpoznawcze i dywersyjne.”

(Słowo Polskie: „Kresowy wachlarz pułkownika Grocholskiego”)

„Gdy w czasie bitwy pod Kockiem wojskom polskim kończyła się amunicja i stawało się jasne, że będą musiały się poddać, Kleeberg nakazuje „Brochwiczowi” kontynuowanie działań partyzanckich. 5 października Grocholski i jego konni odłączają się od głównych sił WP i znikają w okolicznych lasach. W następnych miesiącach energiczny weteran tworzy na terenie Lubelszczyzny prężną kilkusetosobową siatkę konspiracyjną, która w niedługim czasie przeprowadza kilka udanych akcji dywersyjnych. Jego organizacja zostaje zauważona przez dążący do zjednoczenia wszystkich grup ruchu oporu Związek Walki Zbrojnej. Wiosną 1940 r. docierają do niego emisariusze od płk. „Rakonia”, czyli Stefana Roweckiego, komendanta ZWZ. „Brochwicz” podporządkowuje się jego dowództwu bez stawiania żadnych warunków.”

(W. Rodak, Remigiusz Adam Grocholski. Pierwszy dywersant II Rzeczypospolitej, polskatimes.pl, 1918)

„Pod koniec kwietnia 1941r. nastąpiły aresztowania w Milanowie. Najpierw Antoniego Ostapiuka /wójta/, Borysewicza, Czarnołuskiego, hr. Żółtowskiego /właściciela Milanowa/, Floriana Daniluka, Eugeniusza Żelazowskiego, Mieczysława Bożyma, Seweryna Adamskiego, Czerkawskiego /leśniczego/ i Sójkę. Wszystkich przewieziono do więzienia w Radzyniu, a wkrótce nastąpiły dalsze aresztowania: Józefa Wojtysiaka, Stanisława Witkowskiego, Tomasza Ustasza /komendanta policji granatowej/, Sadowskiego /leśnika/, Antoniego Syczyńskiego oraz Tomasza Denisiuka z Kostrów. Niemcy przy aresztowaniu posługiwali się imienną listą – nie wszystkich zastano w domach i ci zdążyli się uratować: Michał Czarnecki, Stanisław Ilczuk, Bolesław Ilczuk, Jerzy Daniluk, Mieczysław Siuciak, Andrzej Żółtowski /syn hrabiego/, Aleksander Kot /były wójt gminy Milanów; uchronili go niemieccy żołnierze, którzy ukryli go między koźmi w stajni, oświadczając zbliżającym się żandarmom, że nie ma

tam nikogo/. Przypadkowa nieobecność uratowała im życie – przetrwali okupację wyjeżdżając na inne tereny. Aresztowanych osadzono w więzieniu w Radzynie, gdzie poddano ich badaniom celem rozpracowania całej organizacji. Według domniemań byli oni członkami ZWZ, zorganizowanej w tym terenie przez mjr. Remigiusza Grocholskiego, jeszcze wcześniej pod nazwą OW „Brochwicz”, która podporządkowała się ZWZ. Należy nadmienić, że R. Grocholski - „Waligóra” znał te strony z czasów międzywojennych, był spokrewniony z Czetwertyńskimi, przebywał często w majątku Planta /swojej bratowej/ koło Wohynia, znał okoliczne ziemiaństwo, co ułatwiało mu pracę organizacyjną na tym terenie.”

(A. Smoliński Milanów Wieś Podlaska, PDF)

To wszystko, co wiedzą historycy o organizacji „Brochwicz” tworzonej w 1939 r. przez Adama Remigiusza Grocholskiego. Za tymi krótkimi komunikatami z życiorysu pułkownika kryją się tragiczne losy wielu ludzi, w tym mojego dziadka Stanisława. On i wielu innych uległo patriotycznemu porzywowi towarzyszącemu polskiej ludności w pierwszych miesiącach okupacji i żarliwie odpowiedziało na apel takich ludzi jak pułkownik Grocholski. Nieprzygotowani, bez żadnych doświadczeń w działalności konspiracyjnej podjęli się zadań, które skazane były na porażkę. Po kilku miesiącach organizacja przestała istnieć. Tacy jak mój dziadek poświęcili jej życie. Sam Grocholski i jego koledzy - zawodowi wojskowi - przeżyli i mogli kontynuować działalność w innych organizacjach. Pułkownik być może nie miał możliwości, aby opowiedzieć o ludziach, których wciągnął do konspiracji na Lubelszczyźnie i którzy przez to zginęli. Być może nie pamiętał o tym krótkim epizodzie ze swego bogatego życia. Nikt, oprócz mojej rodziny, nic nie wie o tamtych czasach. Jesteśmy winni Stanisławowi Fijewskiemu i innym osobom działającym w organizacji „Brochwicz”, pamięć i porządne opracowanie historyczne. Niech początkiem tych badań będzie świadectwo mego ojca Mieczysława Fijewskiego.

Muszę na koniec wytłumaczyć się z kilku spraw. Początkowo nie myślałem o książce, po prostu spontanicznie spisywałem nagrane na dyktafonie opowieści mego ojca. Tekstu było coraz więcej i zrodziła się konieczność, aby zebrać wszystko w jakąś logiczną całość i nadać temu kształt, który umożliwiłby zapoznanie się z tymi opowieściami także innym niż sam autor czytelnikom. Bardzo chciałem, aby z jednej strony wiernie odtworzyć najważniejsze fakty, ale też przekazać emocje jakie wyczuwałem w opowieściach ojca - choć on tych emocji się wystrzegał starając się mówić tylko o zapamiętanych faktach. Zacząłem więc opowiadać o tych emocjach, ale nie wychodziło to dobrze bez pokazania szerszego tła omawianych wydarzeń i bez wchodze-

nia w ich szczegóły. Szczegółów ostatecznie ojciec mi nie przekazał – być może nie pamiętał lub ja nie dopytałem. Zaufałem więc swojej intuicji i uciekłem się do fikcji. Zbeletryzowałem więc nieco suche fakty przekazane przez ojca dopisując do nich wymyślone dialogi, brakujące okoliczności i daty. Na przykład ojciec opowiedział mi o konspiracyjnej działalności swego wuja Czesława Bożyma i o jego udziale w Powstaniu Warszawskim. Zapamiętał, że stolarnia wuja była przykrywką podziemnej drukarni, że wykonywał skrytki w różnych lokalach, że brał udział w powstaniu walcząc na Woli, że wuj widział skutki eksterminacji mieszkańców Woli, później przeszedł do Kampinosu, a po kapitulacji szedł z oddziałem w kierunku Gór Świętokrzyskich, nie doszedł, więc wrócił do Kampinosu i tam doczekał wejścia Rosjan. Tyle. A ja zapamiętałem jak w latach 60 –tych wuj Czesiek przy okazji jakiegoś świątecznego spotkania snuł przez wiele godzin bardzo barwną opowieść z tysiącem szczegółów o swoich wojennych „przygodach”. Słuchałem tego jak najlepszej bajki braci Grimmów leżąc w łóżku za ścianą, aż zasnąłem. Oczywiście niczego z tej opowieści nie zapamiętałem, bo miałem nie więcej niż 6 lat. Ale wrażenie pozostało, a teraz zrodził się żal, że ten ogromnie ważny przekaz bezpośredniego uczestnika i świadka wydarzeń – przepadł bezpowrotnie. Zapoznałem się więc z przebiegiem walk na Woli, prześledziłem losy powstańców w Puszczy Kampinoskiej i podjąłem próbę odtworzenia tej wujowej opowieści. W podobny sposób odtworzyłem i inne wydarzenia opisywane w książce. Ale jeśli chciałem utrzymać się przyjętej konwencji, to trzeba było i tworzyć całkowicie fikcyjne, czysto powieściowe fakty. W ten sposób powstał opis spotkania mego dziadka Stanisława z majorem Grocholskim w dworku w Kopinie, spotkanie księżnej Elżbiety Czetwertyńskiej z rodziną w Hotelu Europejskim, odprawę jaką miał Sylwin Bożym ze swoimi podwładnymi przed tragicznym w skutkach zamachem na Leona Ciompe, rozmowę Sylwina ze swym dowódcą Millerem. Większość z tych „ubarwionych” fragmentów książki przeczytałem ojcu, on ich wysłuchiwał i mówił - „Widzisz, nie pamiętałem, że tak było - skąd ty to wiesz...?” „Jakbyś tam był”. Albo - „No tak, tak to musiało być”, „To jest bardzo prawdopodobne, że tak to się odbyło”, Uznałem jednak, że tej fikcji w całej opowieści nie może być za dużo, że nie może zastąpić prawdziwych faktów. Dlatego też zamieszczam w aneksach skany dokumentów, z których korzystałem a także stworzyłem bibliografię, tak jak to się robi w opracowaniach historycznych. Uważny czytelnik bez trudu oddzieli to, co jest prawdą od fikcji i zauważy, że cała opowieść w warstwie historycznej jest całkowicie prawdziwa i fikcja jej nie fałszuje a jedynie ubarwia, tak jak to się często czyni w powieściach lub w historycznych rekonstrukcjach.

Miałem do rozstrzygnięcia jeszcze jeden ważny dylemat. Czy mi wolno umieszczać w opowieści konkretne osoby, wymieniając je z imienia i nazwiska? Nawet na pewnym etapie pisania zacząłem zmieniać prawdziwe nazwiska na zmyślane, ale ostatecznie z tego zrezygnowałem, gdyż zrozumiałem, że efekt tego zabiegu był taki, że całość stawała się niezrozumiała dla członków rodziny, a dla ewentualnego czytelnika spoza rodziny to co by przeczytał byłaby tylko nieudaną powieścią. Ostatecznie w książce pozostały wszystkie postacie z prawdziwymi nazwiskami. Jeśli ktoś z wymienionych z imienia i nazwiska bohaterów lub ich potomków poczułby się urażony, to ich za to serdecznie przepraszam. Być może takiego kłopotu nie będę miał, gdyż nie spodziewam się, że tę moją opowieść przeczyta ktoś jeszcze spoza najbliższej rodziny. W końcu piszę przede wszystkim z myślą o nich.

Opowieść zadedykowałem mojemu ojcu w 90 jego urodziny. Nie zdążyłem jej ukończyć przed jego śmiercią, choć cieszę się, że jeszcze zdążyłem mu przeczytać obszernie jej fragmenty. Podobało mu się i aprobował pomysł, miał też trochę uwag, które pozwoliły na doprecyzowanie wielu faktów. W końcowej fazie redagowania tekstu bardzo mi zabrakło jego wspomnień i życzliwych uwag. Co chwilę łapałem się na myśli - jaka szkoda, że nie mogę już spytać o ten czy inny szczegół. Trudno, już się nie dowiem jak to było naprawdę - musiałem więc zrezygnować z wielu wątków, inne uzupełnić moją wyobraźnią.

Mimo że ojciec nie wysłucha już dokończenia tej opowieści, to dedykację na stronie tytułowej pozostawiam. Chciałem, żeby był moim pierwszym Czytelnikiem i takim był. Wyczułem, że bardzo mu zależało, aby moja praca zakończyła się sukcesem i prawda o jego ojcu i o „skarbach” została utrwalona w bardziej trwałej niż jego rękopisy formie. Mam nadzieję, że ta publikacja spełnia te jego oczekiwania.

Serdecznie dziękuję naszym rodzinnym seniorom - stryjowi Tadeuszowi Fijewskiemu i cioci Zdzisławie Dąbrowskiej - za podzielenie się ze mną swymi cennymi wspomnieniami. Karolinie Ludmile Mazur, Ewie Dunaj - Kozaków, Annie Winnickiej, Basi Wojciechowskiej i Henrykowi Grocholskiemu a także mojemu rodzeństwu Renacie i Januszowi oraz córce Joannie za trud czytania surowego jeszcze tekstu, życzliwe uwagi i pomoc w odnajdywaniu błędów i korygowaniu niedoskonałości. Dziękuję Ewie Misiewicz, która jako specjalistka od pisania scenariuszy pomogła doskonalić tekst także od strony formalnej. Dziękuję mojej żonie Ewie za cierpliwe wysłuchanie czytanych jej fragmentów tekstu i czynione przez nią wiele przydatne uwagi. Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tej książki.

Materiały źródłowe:

1. Cierpiszewska E., *Wysiedleni. Wspomnienia czasów z wojny*, muzeum.gostyn.pl
2. Fijewski A. *Opowieść mego ojca Mieczysława Fijewskiego o konspiracyjnej działalności Stanisława Fijewskiego*, tekst powstał na podstawie nagranych wywiadów, Radzyń Podl., 2019
3. Fijewski W., *Niedobre dni*. Wrocław 1992
4. *Grocholski Adam Remigiusz (1888-1965)*, Muzeum Armii Krajowej
5. *Historia Gminy Milanów*, pdf
6. Jadczak S., *70 rocznica bohaterskiej akcji likwidacji radzyńskiego szefa gestapo Adolfa Dykowskiego*, pdf
7. Karpiński G., Roguski R., Sitkiewicz D., *Okupacja niemiecka w Radzynie Podlaskim i powiecie radzyńskim w latach 1939-1944*, wyd. Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych, Radzyń Podlaski 2019
8. *Kronika Parafii*, pdf, gokmilanow.pl
9. Lewandowska-Kąkol A., *Arystokracja – powojenne losy polskich rodów*, Warszawa 2017.
10. *Moje Powiśle.com*
11. *Nie zapomnij o Woli*, sppw1944.org
12. Rodak W., *Remigiusz Adam Grocholski. Pierwszy dywersant II Rzeczypospolitej*, polskatimes.pl, 1918
13. *Rzeź Woli*, Wikipedia
14. Sitkiewicz D., *Konstanty Bolesław Witkowski ps. Müller – Komendant Obwodu Armii Krajowej Radzyń Podlaski 1941-1944*, Radzyński Rocznik Humanistyczny, tom 17, 2019.
15. Smoczyński J. *Schówek w budynku Sztandaru Młodych wykonał sierżant „Szprycha” z Parasola – rozmowa z Czesławem Bożymem*, Sztandar Młodych
16. Smoliński A., *Milanów-wieś podlaska. Ze wspomnień, opowiadań i kronik*, 2013
17. Sokół K. i in., *Pacyfikacja wsi Rudno 30.05.1940*, Rudno 2015
18. Szukała M., *Bitwa pod Jaktorowem*, <https://dzieje.pl/artykuly-histeryczne/bitwa-pod-jaktorowem>
19. Utracka K. *Akcja skrytka. W sieci – Historia 16 -22 lutego 2015*
20. *Wielokulturowość_Wohyń*, PDF
21. Żuczkowski M., *W czyim imieniu? "Wachlarz" (1941-1943)*, IPN

Zdjęcia i dokumenty



Ryc. 1. Ludwika Bożym (po prawej) z Janiną Tymosiewicz, późniejsze żony Stanisława Fijewskiego i Czesława Bożyma



Ryc. 2. Zdjęcie ślubne Ludwiki Bożym i Stanisława Fijewskiego – 7.10.1928



Ryc. 3. Dom Fijewskich zbudowany w 1931 roku. Zdjęcie zrobione w maju 1944 roku przez niemieckiego oficera, który w tym czasie mieszkał w domu Ludwiki. Działało wtedy w Kopinie polowe lotnisko Luftwaffe i we wsi stacjonowało mnóstwo lotników i żołnierzy z obsługi lotniska.



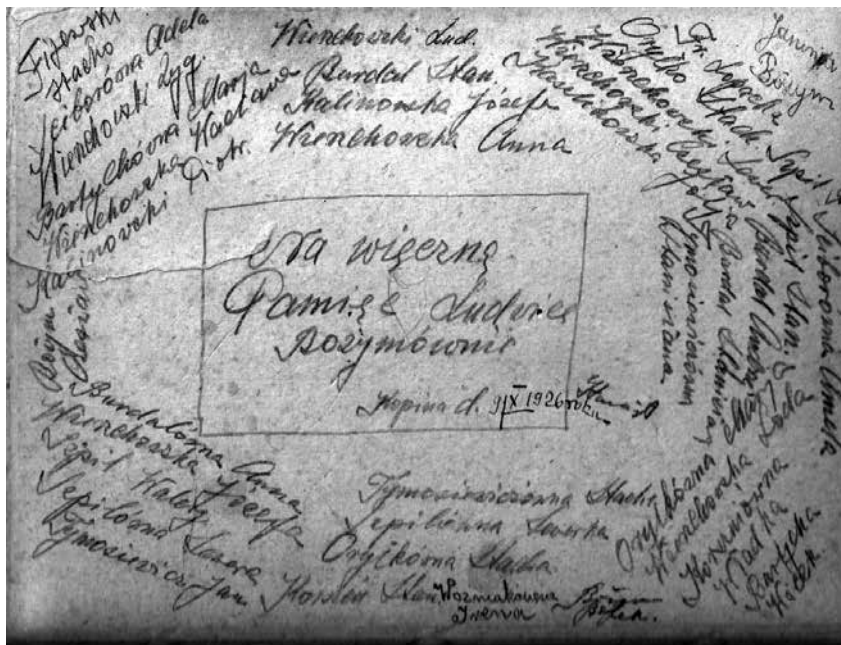
Ryc. 4. Zdjęcie z okładki. Rodzina Fijewskich – od lewej siedzą: Ludwika, Aniela, Wawrzyniec, obok Anieli pięcioletni Mietek, stoją od lewej - Władysław, Marysia Dąbrowska i Stanisław. Zdjęcie wykonane przez wędrownego fotografa w 1933 lub '34 roku.



Ryc. 5. Stanisław Fijewski (stoi) ze swoim przyjacielem Andrzejem Burdalem. Zdjęcie wykonane w zakładzie fotograficznym w Parczewie prawdopodobnie w 1928 lub 29 roku.



Ryc. 6. Koło Młodzieży Wiejskiej założone w Kopinie w 1926 r. przez Stanisława Fijewskiego. Na zdjęciu są obecni prawie wszyscy bohaterowie opowieści, którzy byli mieszkańcami Kopiny. Między innymi - Stanisław Fijewski siedzący w środku (z małym kwadratowym wąsikiem), Ludwika Bożym (później Fijewska) piąta od lewej w górnym rzędzie, obok niej po prawej stronie jej brat Czesław i Janina Tymosiewicz - wtedy już była żoną Czesława Bożyma.



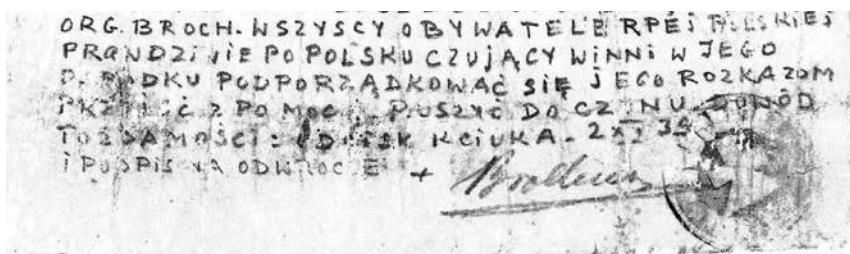
Ryc. 7. Na odwrocie podpisy wszystkich osób widocznych na zdjęciu.



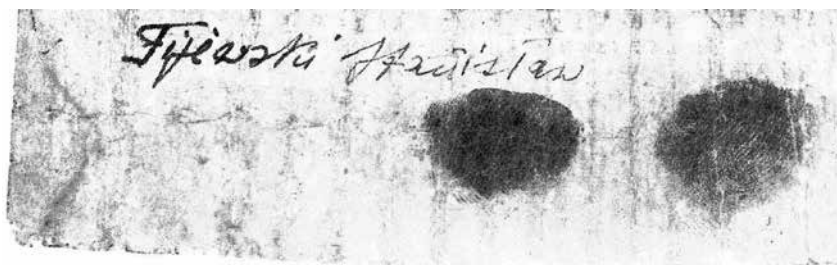
Ryc. 8. Stanisław Fijewski (w środku) w otoczeniu kolegów z koła strzeleckiego



Ryc. 9. Stanisław Fijewski (pierwszy z prawej na dole) w grupie instruktorów „Strzelca”. Trzeci z prawej w drugim rzędzie od dołu – Czesław Bożym.



Ryc. 10. Pierwsza strona gletu wydanego przez majora Grocholskiego, którym posługiwał się Stanisław Fijewski werbując ludzi do organizacji „Brochowicz”



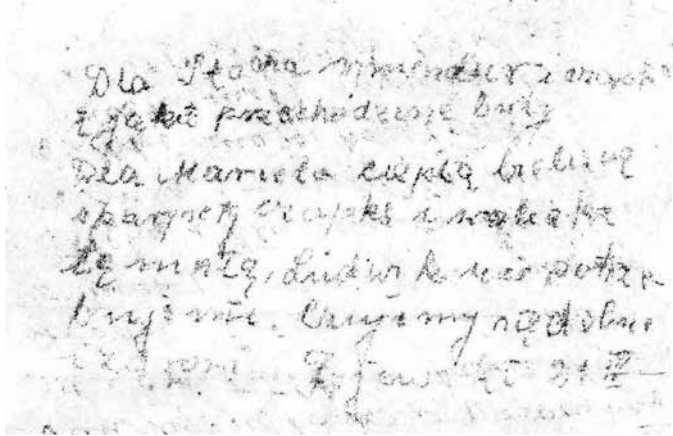
Ryc. 11. Druga strona tego samego dokumentu z podpisem Stanisława Fijewskiego i z odciskami dwóch jego palców.



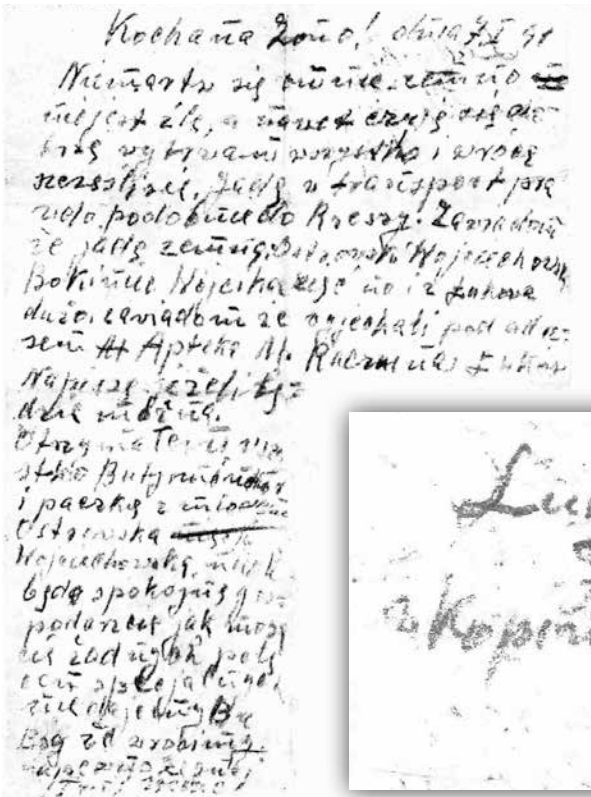
Ryc. 12. Major Adam Remigiusz Grocholski

Pracownicy Państwa proszą o do-
czenie się do brata w Warszawie
Kierując się z którym Państwo
nie ma wątpliwości, w pomysłach
Gdyby było możliwe, we wrześniu
Pracownicy Państwa i 20 Sport
Pan będzie także powołany
do brata i do Państwa w
grodzie. Proszę o dołączenie
do wasz potrzeb. Ja sam nie
chcę i tu nie mogę być
czymkolwiek, ale w tym celu
będę mógł być po prostu
po prostu: miłk, przy was, co
właśnie jest dla Państwa

Ryc. 13. Gryps Stanisława Fijewskiego napisany z lubelskiego Zamku, adresowany do brata Władysława (znaczne powiększenie)

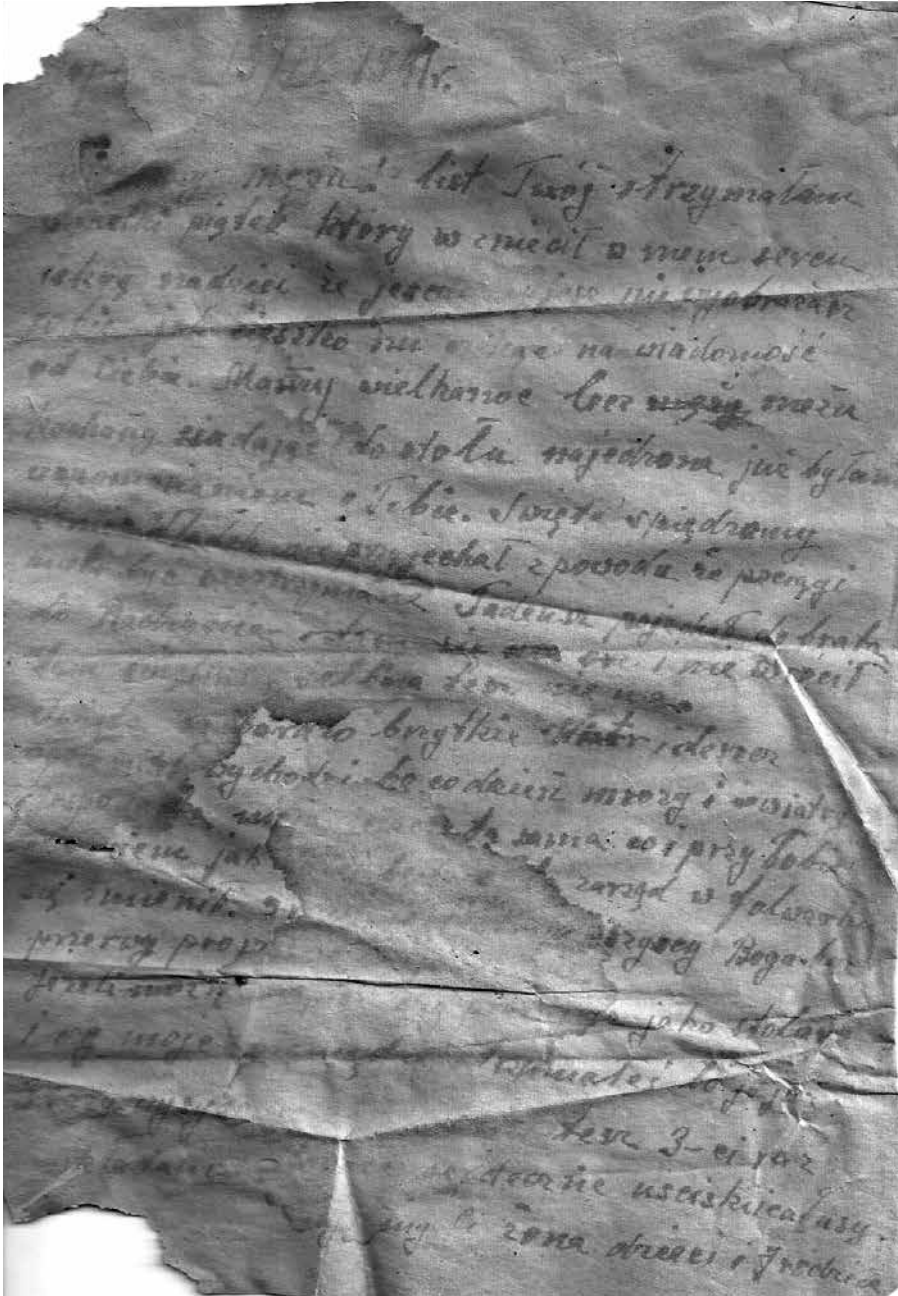


Ryc. 14. Druga strona tego grypsu

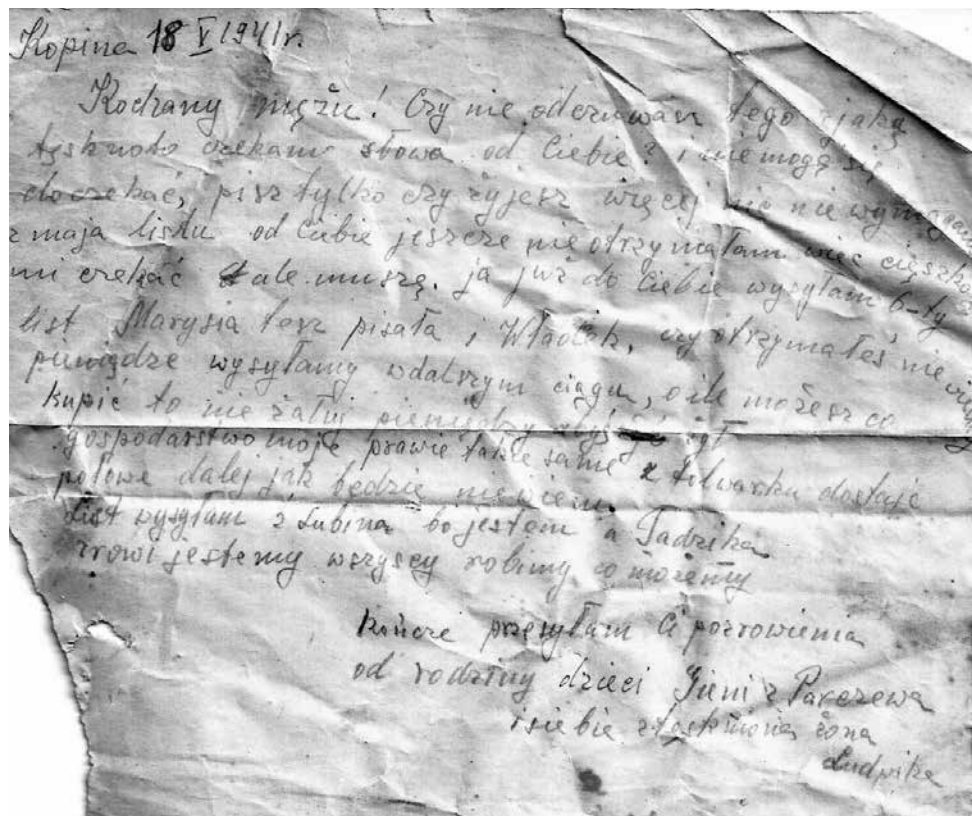


Ryc. 15. Gryps z 7 stycznia 1941 roku z informacją, że Stanisław będzie wywieziony do Rzeszy. Jak się później okazało był to pierwszy transport więźniów z Zamku Lubelskiego do Oświęcimia.

Ryc. 16. Druga strona tego grypsu



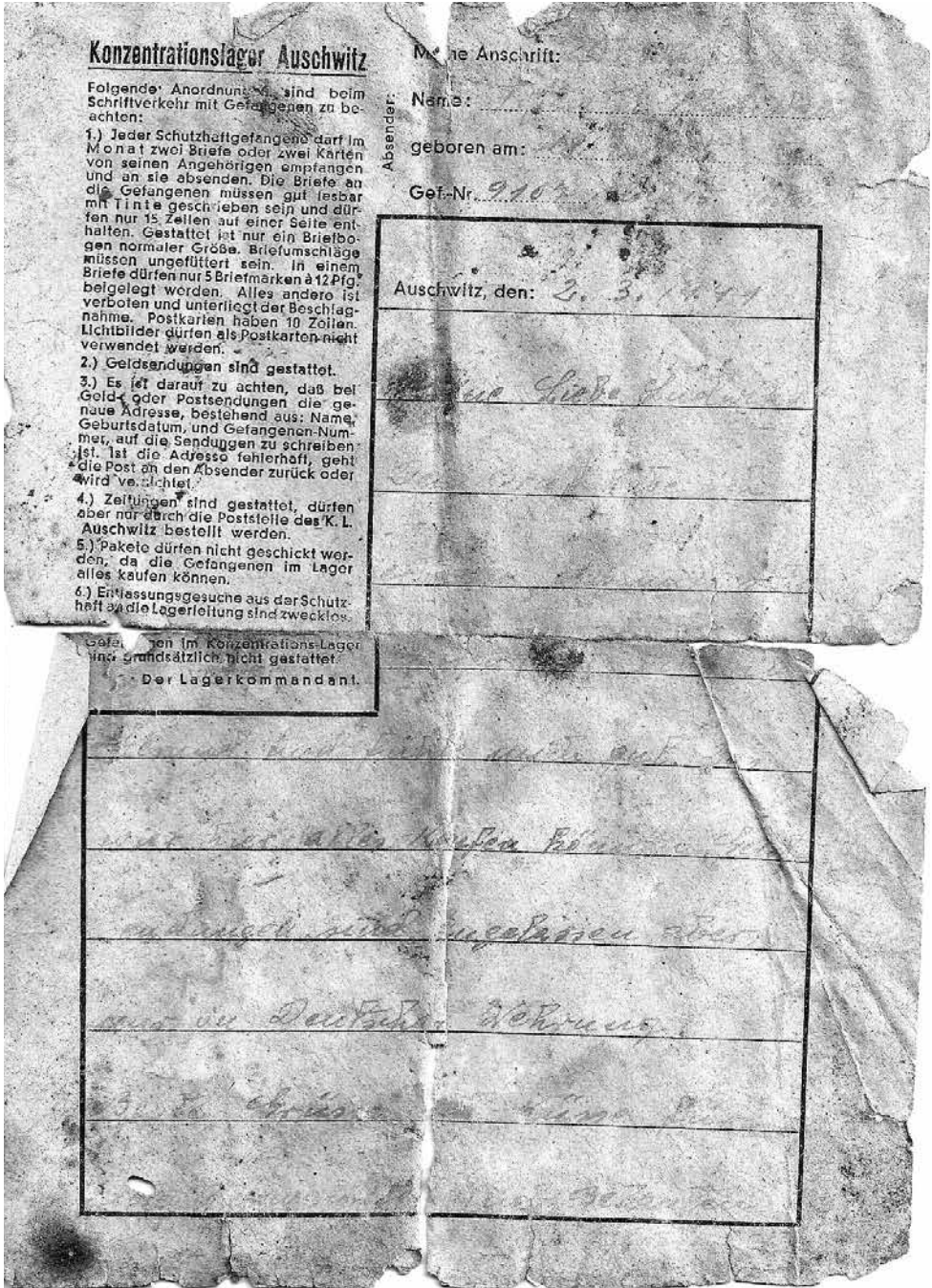
Ryc. 17. List Ludwiki Fijewskiej pisany do męża do Oświęcimia. Przed wysłaniem list musiał być przetłumaczony na język niemiecki i w takiej formie był wysyłany.



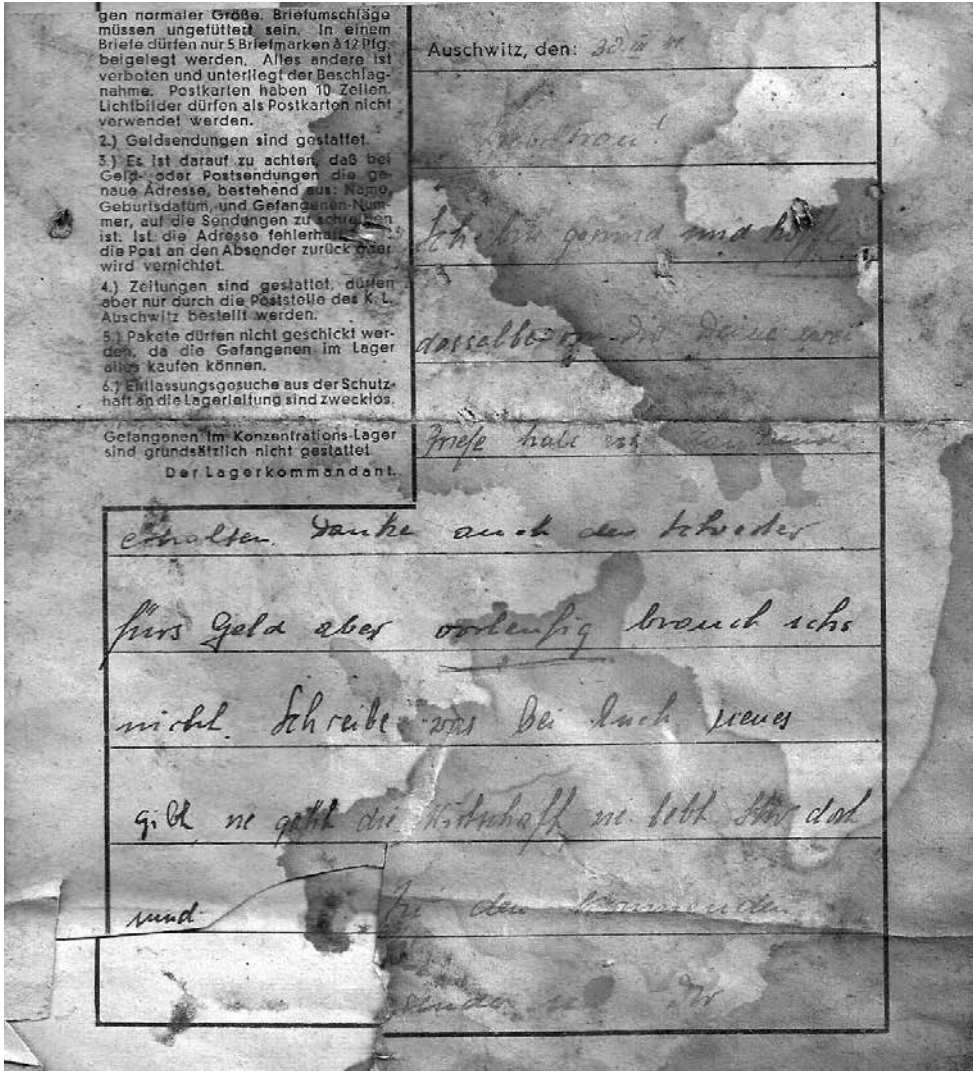
Ryc. 18. Jeszcze jeden z zachowanych listów Ludwiki do Stanisława



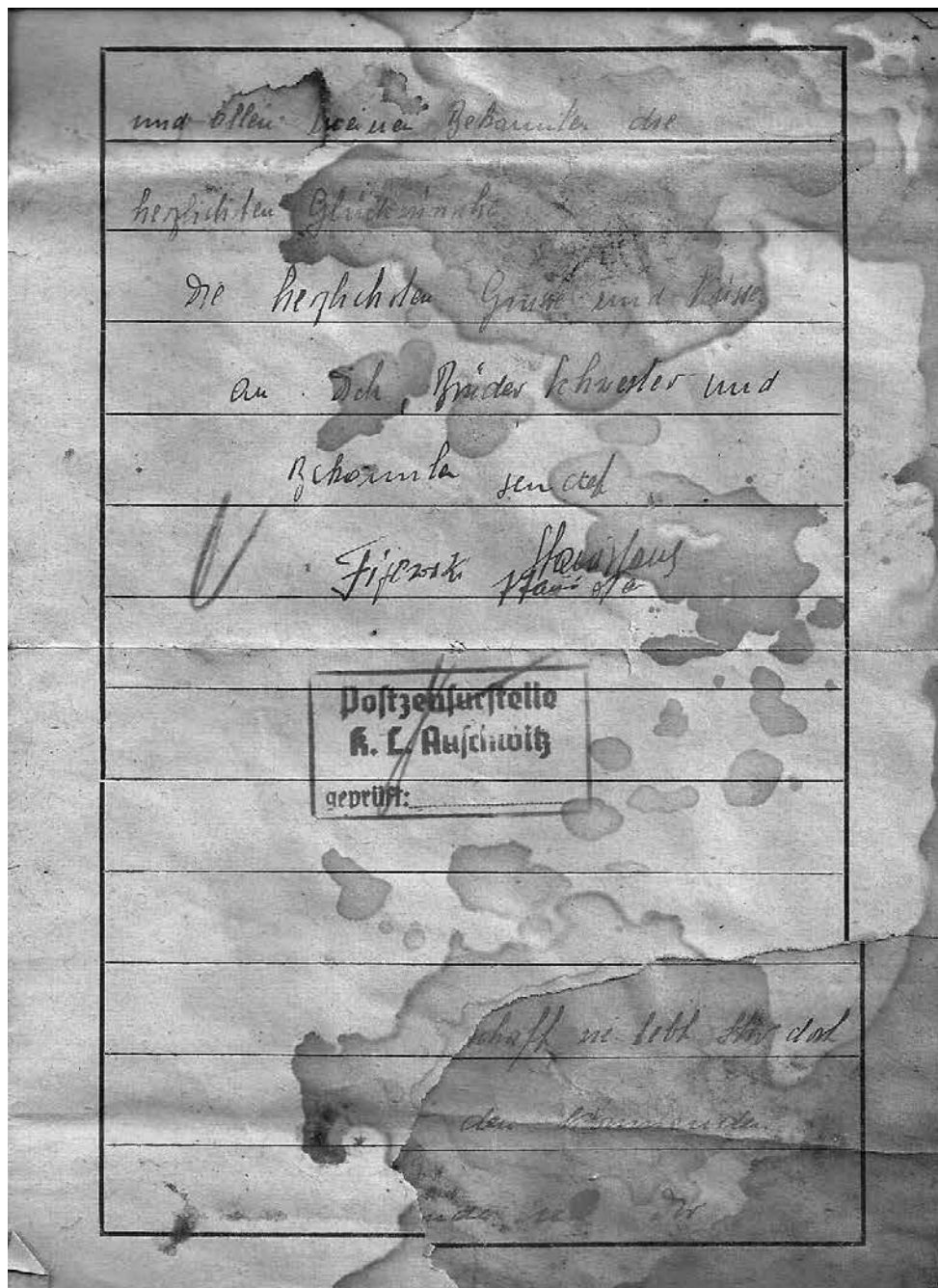
Rys. 19. Zdjęcie Tadeusza Bożyma z archiwum Kl. Auschwitz



Ryc. 20. Pierwszy list z Oświęcimia z 2 marca 1941 roku od Stanisława Fijewskiego do rodziny



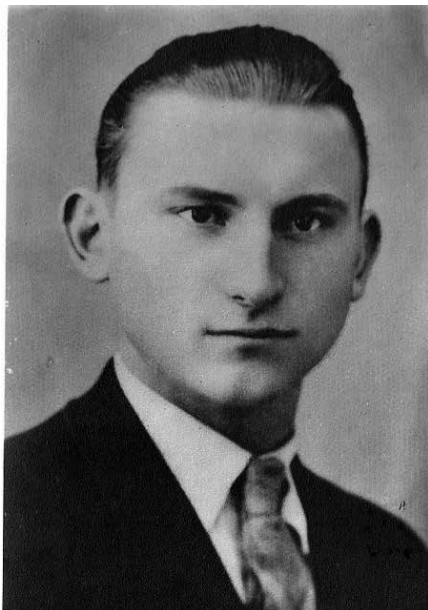
Ryc. 21. List z Kl. Auschwitz z 30 marca 1941 roku



Ryc. 22. Druga strona listu z 30 marca 1941 roku



Ryc. 23. Zdjęcie wykonane w lecie 1941 roku, po to aby je wysłać do Stanisława do Oświęcimia. Ludwika z synami - Mieczysławem (po lewej) i Tadeuszem



Ryc. 24. Stanisław Bożym – najmłodszy brat Ludwiki. Zdjęcie wykonane kilka tygodni przed jego śmiercią



Ryc. 25. Sylwin Bożym (po prawej) w drzwiach swojej stodoły w Kopinie



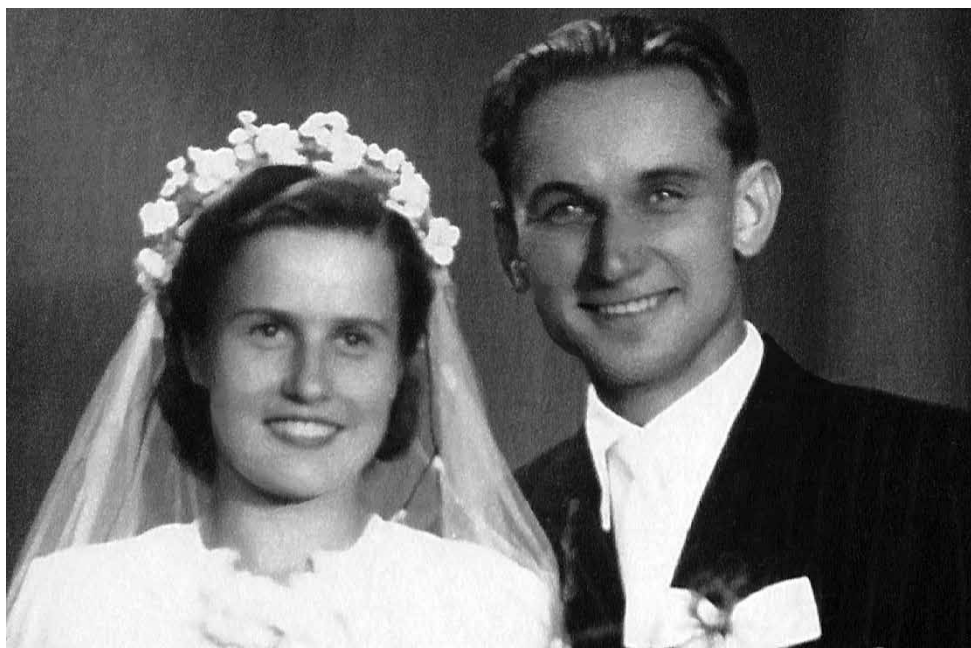
Ryc. 26. Dom sąsiadów Tymosiewiczów, u których Sylwin wynajmował pokój w latach wojny. Przed domem Janek Tymosiewicz po prawej stronie (pochylona) jego żona - Zofia, Danuta Bożym - żona Mieczysława Bożyma i Ewa Bożym córka Danuty i Mieczysława - zdjęcie z lat 60-tych XX wieku



Ryc. 27. Władysław Fijewski w Lublinie czasie okupacji



Ryc. 28. Władysław Fijewski w kapeluszu i płaszczu z futrzanym kołnierzem. W tym stroju fotografował się w Lublinie NKWD-ista po aresztowaniu Władysława i wywiezieniu go do obozu w Rosji



Ryc. 29. Ślubne zdjęcie Marianny Plebanowicz i Mieczysława Fijewskiego - 14 lipca 1951 roku



Ryc. 30. Zdzisława Dąbrowska i Tadeusz Fijewski w czasie ich nauki we Wrocławiu



POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Zarząd Główny
Biuro Informacji i Poszukiwań

ul. Młoczyńska 14, 00-561 Warszawa
tel. (22) 585-12-21, fax (22) 630-40-48
e-mail: biuro_poszukiwani@pck.org.pl, biuro@pck.org.pl
http://www.pck.pl

ZG. 10. 785

Pan Janusz FIJEWSKI
Ul. Korczaka 10/12
21-300 Rudzyna Podlaska

B. Inf. 156/202

Dot. Stanisław FIJEWSKI nr. 18.09.1904 Antonin pow. Radzyna Podlaska, s. Wawrzyńca i Anieli

Szanowny Panie

W nawiązaniu do Pana zgłoszenia z 16.01.2014 uprzejmie informujemy, że w naszej ewidencji figuruje następujące nazwisko:

FIJEWSKI Stanisław nr. 18.09.1905 Antonin wg innej informacji Kopina pow. Raczynski, zawil stolarz, adres rodziny: Mar. a Dąbrowska z Fijewskich, nauczycielka w Branicy pow. Radzyna Podlaska woj. lubelskie, który 9.01.1941 został osadzony w KL Auschwitz, nr więzienia 9107, kategoria więźnia polityczny. W dn. 5.05.1941 odmówiono jego prześwietlenie rentgenowskie. Zmarł (data brak) w KL Auschwitz. W uwagach jest adnotacja: ks. rlg. I.

Podstawa I. Str. PCK 10009, 19185 - Kartoteka i materiały ewidencyjne, przekazane w 1949 przez filię Biura Informacyjnego PCK w Krakowie, w tym m.in. spisy osób cywilnych, które w czasie II wojny światowej przebywały w obozach jenieckich, obozach koncentracyjnych i na terenach przymusowych.

Z poważaniem



ST. SPECJALISTA
Biuro Informacji i Poszukiwań
Iwona Zawadzka

Ryc. 31. Odpowiedź z Czerwonego Krzyża o archiwalnych zasobach dotyczących więźnia KL. Auschwitz - Stanisława Fijewskiego



Ryc. 32. Sztućce wykopane w lesie „Szpakowizna”



Ryc. 33. Monogram księcia Seweryna Czetwertyńskiego na odnalezionych sztuccach.



Ryc. 34. Miejsce śmierci Melchiora Domalskiego upamiętnione krzyżem postawionym przez mieszkańców Planty.



Ryc. 35. Symboliczny grób Stanisława Fijewskiego na cmentarzu w Wohyniu

24.12.1998r.

Szanowny i Drogi Panie,
 Rozmaite dolegliwości i zatrudnienia
 nie pozwoliły mi wreszcie wyrazić
 Panu, mojej i mojej żony, szczerunku
 za radość jaką Pan sprawił tym
 co na Laurce widnieją, podpisani.
 Również czas, który zbliżył panie -
 by Polska a Kanada i Korea -
 polencją moją z ks. Elżbietą by
 jej i zalewian w dysponowaniu tych
 wspomnień (sreber) stało się radość -
 oddalił moje odcieranie się do
 Pana.

Zbiera się coś ze Świątami i
 Nowym Rokiem w którym życzymy
 by stało się radość wszystkim
 Pana i żony, a najbardziej by
 Pan Bóg ~~pozostawał~~ pobogostawit
 w zamienieniu ci: i: i: i: i:
 Serdecznie oddaj

Andrzej Żółtowski z żoną

Warszawa
 Stolarska 50/37
 20-789

Ryc. 36. List od Andrzeja Żółtowskiego do mego ojca z 24 grudnia 1998 roku



Z WIELKĄ
WDZIĘCZNOŚCIĄ
SKŁADAMY NAJLEPSZE
ZYCZENIA DLA PANA
I PANA RODZINY, NA
ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA
I ROK NOWY 1999

WASOWSCY
GROCHOLSCY
E. GROCHOLSKA - ZANDSI
POTOCY
PLATER-ZYBERK
CZETWERYŃSKI
GUÏBOURGE - CZETWERYŃSKI

Szanowna Pani Elżbieta!

Spełniając dawny Pani prośbę, w związku z przesłaniem swojej wersji o "Skarbach ukrytych" napisanej po 42-tych miesiącach od obejrzenia filmu p. Krzysztofa Zanussiiego. Ten czas był mi potrzebny na współczesne rozważanie przyczyn zważyć i prawdziwości faktów z lat wojny i czasu wojny w polskiej historii z artystycznym przesłaniem, z literackim wężem / scenariuszem i filmem. Rozważam jego głęboki aspekt moralny, ale co to ma wspólnego z historycznymi faktami? Pomysłowo rozstrzygam się z zabianym przesłaniem pani K. Zanussiiego swojej, bardziej wiarygodnej historii: "skarby ukryte", lecz dostaję do wiadomości, że nie mam żadnego prawa do udzielenia uwagi do jego interpretacji. Jako twórca ma prawo, kaszuba kwestie przedstawiać w/o własnego zdania, tym bardziej że wszystkie osoby z filmu są anonimowe. Całą sprawę, dla mnie le. wojna, wygłosił się z informacją, że scenariusz oparty / zarty na mojej relacji i odnośniach autentyzował. Z tego wynika się świadomość, że w ocenie "skrypta" ludzi pełnym, choćym, telewizyjnym środowiskiem, który bez skrupułów skradł cudzą własność. Przypuszczam, że zrodziło w osobistych kontaktach, jak i abszerną korespondencją, nigdy ze strony Pani nie otrzymałem ani jednego uwzględnienia. Udatkowały mi kredyt zarządania dawać mi satysfakcję i radość, że robię coś dobrego i jest to kontynuacją bezinterferencyjnej działalności mego Ojca.

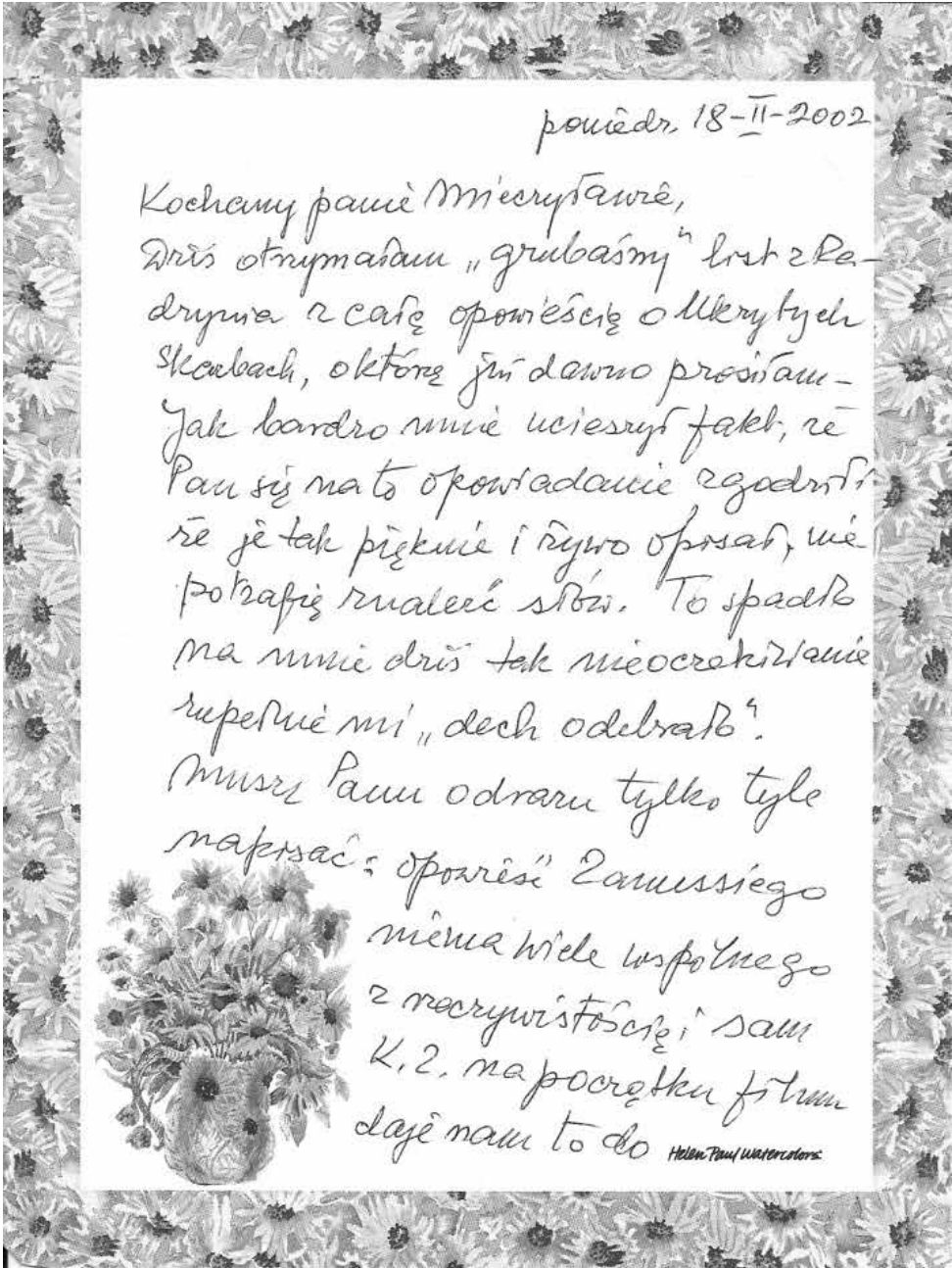
Przejmuję prośbę o zapoznanie się z zestawionymi przesłaniami faktami i wnioskami i udzielenie mi odpowiedzi przynajmniej na niektóre pytania. Do Pani decyzji pozostawiam przekazanie mego odwołania

u tej sprawie p. k. Janussiemu, i ewentualnie innym zainteresowanym osobom.

Wspominania o Szymon Ojcu i jego pracy kosmograficznej opisanej oddzielnie dla bratanków moich synów i wnuków.

Sądząc o skutku z państwa i zjawiska zjawisk i uwarunkowań, jak zawsze piękne i urozmaicone. Proszę również przysłać od całej mojej rodziny, a szczególnie od nas obojga z nadzieją najlepiej zjedzenia, by Dobry Bóg darzył Was zdrowiem i przez długie lata dawał pozwolić się cieszyć urokiem doboru. Państwa na tej ziemi przygotował dla jej mieszkańców.

A. Fijewski



Ryc. 38. Ostatni list Księżnej Elżbiety Czetwertyńskiej do mego ojca Mieczysława Fijewskiego z 18 lutego 2002 roku

Zrozumienia, zastępuje się, że jeżeli cokolwiek
 w tym filmie mogłoby przypomnieć coś neoromantyzmu:
 to jest to zupełny przypadek. Zamysł charak-
 teryzujący dzieło permy starszej pańi i obraz
 sobie mnie za „bohaterki”, osnuł opowieść
 tylko opierając na ruanych i ni faktach

z opowieści rodzinnych (Cretów, Grocholskich,
 Zółtowskiego) a resztę wymyślił, aby opowiedzieć
 miłośnikom mocniejszy charakter. Jakiś ten
 odlebiać (opowiada z góry wiedzącym
 mniej więcej, że zupełnie zniknął neoromantyzm,
 nie wiedzącym opowiada co zniknął, ale
 byłam przygotowane i dlatego nie było tam
 podobało wznieście końcowe)

(naprawdę więcej za dźwięki, przez poprawek
 i wyjaśnień, które (mam wrażenie) były
 już „wyjaśnione”. Bardzo serdecznie
 podziękuję i dziękuję za jesiore za Pańa
 wyitek, serdeczności dla Pańy i całej
 rodziny

Elżbieta Czernostyńska